



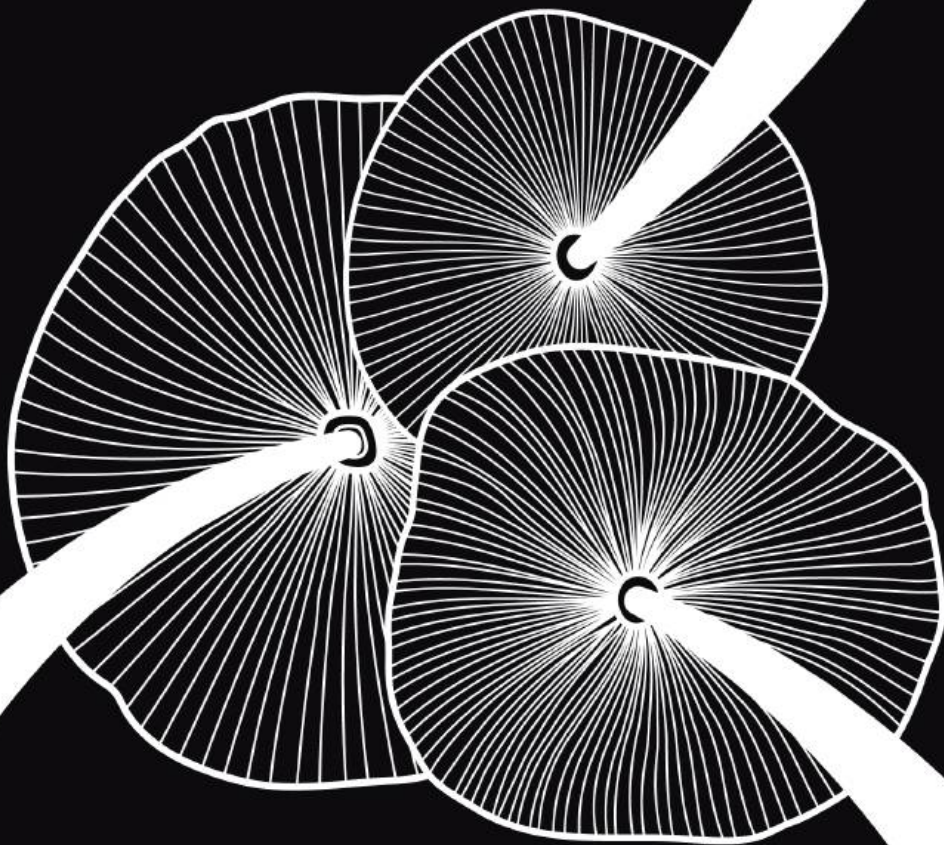
PiS pompuje narodowy balon

ZŁUDZENIE SUWERENNOŚCI



teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca



Grzyby

reż. Weronika Szczawińska, Piotr Wawer Jr

premiera 19 listopada 2022

kolejne pokazy: 20, 23-27.11

Czy grzyby naprawdę mogą rozłożyć nasze śmieci, unieszkodliwić nasze zanieczyszczenia, uratować nasze gleby przed erozją, dostarczyć nam alternatywnych materiałów budowlanych, uchronić nas przed rakiem, wyleczyć z depresji, złagodzić nasz lęk przed śmiercią i nauczyć nas empatii? A może trochę zbyt wiele od nich oczekujemy?

Mykologiczna mania trwa: w nauce, popkulturze, modzie i sztuce. Twórcynie i twórcy spektaklu „Grzyby” przyłączają się do niej i zapraszają do uczestnictwa w nowej terapii grupowej – mykoterapii. W jej ramach czwórka pacjentów pod kierunkiem terapeuty postara nauczyć się czegoś od nie-ludzkiej przyrody.

Patroni
medium

■ wyboreza.pl



www.powszechny.com



Król jest nagi

Inflacja boli już większość Polaków, a jakoś nie słychać powtórki sławnego pytania, które zadał kiedyś premierowi Tuskowi producent papryki: „Panie premierze, jak żyć?”. Pytania nie ma, bo prawie wszyscy znają odpowiedź premiera Morawieckiego z nagrań w restauracji. W czasie biznesowego lunchu dzisiejszy premier podzielił się uwagą, że jego rodacy powinni zapieprzać za miskę ryżu. Jeszcze parę lat jego rządów i słowo stanie się ciałem. Bo choć władza mówi mięciutko o spowolnieniu i turbulencjach, to ludzie widzą pogłębiający się ostry kryzys. Wiedzą, jak na problemy energetyczne i ceny wpływa wojna na Ukrainie. Ale patrząc na rachunki uważniej, przyglądają się też rządzącym i ich decyzjom. Do ludzi zaczyna docierać, że wiele z ich kłopotów ma rodowód rządowy. Że za pompacyjnymi słowami kryje się zwyczajne nieuctwo. A wyciągnięci z kapelusza wicepremierzy Błaszczak i Sasin to dyletanci. W kraju milionów magistrów rządzą ludzie po szkołach średnich albo wyższych szkołach niczego. Ten eksperyment kadrowy nie może się udać. Jest skazany na klęskę. Za sprawą tych niemot w dramatycznym położeniu znajduje się coraz więcej firm. Trudno o optymizm, bo przecież ta ekipa nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Ile przepisów jeszcze wyprodukują w nocy? By rano je zmienić.

Symbolem tego, że rządzą nami politycy, którym gdzieś uciekły rzeczywiste problemy, jest sam głównodowodzący. Widzimy prezesa Kaczyńskiego, który jeździ po kraju. Jeździ i mówi. Ale nawet od życzliwych mu nie słyszę opinii, że są to występy męża stanu.

Król jest nagi. I w coraz gorszej formie. Widok Kaczyńskiego snującego opowieści z mchu i paproci nawet dla jego przeciwników jest przynębiający. A dla wszystkich groźny. Bo biorąc pod uwagę, jak wielką prezes ma władzę, zaczyna być niebezpieczny. Otoczony kokonem potakiwaczy ma receptę na wszystkie choroby państwa. I chętnie o nich mówi na zamkniętych i wyreżyserowanych spotkaniach. Wszystko, co ogłasza, spotyka się z aplauzem wielbicieli. Gdy spektakl się kończy i kurtyna opada, trzeba się zderzyć z realiami. A te są dla władzy coraz mniej miłe. Przeciwno temu, co mówi Kaczyński, protestują kolejne grupy zawodowe. Także te z zaplecza wyborczego PiS. Od górników z Solidarności prezes doczekał się słów, które jeszcze parę miesięcy temu na pewno by nie padły. „Opowiadając kompletne niedorzeczności na temat węgla, wykazuje się Pan nie tylko brakiem wiedzy, ale przede wszystkim skrajną arogancją”. Podobnie mówią rolnicy. A jak raz ktoś powie, że król jest nagi, to innym oczy też się otwierają.



Z NEWSLETTEREM SKLEPOWYM TANIEJ

Zapisz się do naszego newslettera na sklep.tygodnikprzeglad.pl

Będziesz otrzymywać **kody rabatowe** do wykorzystania na przedświąteczne zakupy



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Złudzenie suwerenności**
Polska ma być pisowska
- 12 Atomowe jądra Sasina**
Najgorsze przed nami
- 16 Kaczyński i biskupi**
– rozmowa z dr. hab. Pawłem Boreckim
- 20 Aborcyjne zaklinanie rzeczywistości**
Aborcja według prawicy
- 22 Śmierć zasadniczo opisana**
Na co umierają Polacy

ZAGRANICA

- 24 Wszystkie kłopoty Trumpa i co z nimi zrobi**
Korespondencja z USA
- 28 Głębszy oddech wolności**
Brazylia po wyborach
- 32 Bibi królem czy zakładnikiem?**
Korespondencja z Jerozolimy

OPINIE

- 36 Paweł Siergiejczyk**
25 lat samotności
- 40 Piotr Kimla**
Balansowanie na linii antyniemieckości

KSIĄŻKI

- 42 Intelektualista w krainie onuc**
O książce prof. Kołodki

MEDIA

- 44 Oszukana encyklopedia**
Ostrożnie z Wikipedią

KULTURA

- 48 Rytm pożądania**
Inspiracje Tamary Łempickiej
- 51 Kulturalia**
- 66 Murale i graffiti na warszawskiej Pradze**

PSYCHOLOGIA

- 52 Melancholia, pośepnica, smutnodur**
– rozmowa z dr. Mirą Marcinów

NAUKA

- 56 Cyjanek i profesor z Pittsburgha**
Trucizna wszech czasów

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Król jest nagi
- 15 Jan Widacki**
Profesor na cmentarzu
(z którego jeszcze wrócił)
- 27 Andrzej Romanowski**
Czerwony sztandar
- 31 Roman Kurkiewicz**
Kup pan se internet
- 47 Tomasz Jastrun**
Kruszenie pomnika
- 55 Wojciech Kuczok**
Dobry chłopcy



28

ZAGRANICA

GŁĘBSZY ODDECH WOLNOŚCI

Brazylia po wyborach

48

KULTURA



RYTM POŻĄDANIA

Inspiracje Tamary Łempickiej w historii



52

PSYCHOLOGIA

MELANCHOLIA, POŚEPNICA, SMUTNODUR

– rozmowa
z dr. Mirą Marcinów

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. SHUTTERSTOCK (2), JACEK PISKI/REPORTER



✉ Dlaczego Polacy tak anemicznie reagują na afery wywołane przez PiS?

Rozlewa się fala zobojętnienia. Część obywateli przez te siedem lat odpaństwowiła się, tzn. straciła obywatelskie zainteresowanie państwem, ponieważ przestało

to być państwo obywateli, a stało się strukturą PiS. Inna część, poddana propagandzie mediów pisowskich i katolickich, oderwała się od rzeczywistości, stając się wyznawcami, a nie wyborcami.

Pozostali ludzie, metodycznie ogłupiani, oszukiwani i omamiani, stracili rozum (jeśli go mieli), rozsądek, racjonalne myślenie. Tak więc zdecydowana większość nie jest zainteresowana problemami afer, nadużyć, niszczenia państwa, łamania prawa.

Nasuwa się pytanie, kto ma ludzi wydobywać z ciemnoty, marazmu, zobojętnienia, przyzwyczajenia. Większość opozycji to prawica (PO, PSL, Hołownia, Konfederacja, Kukiz), a na „lewicy” sami wypasieni – Czarzasty, Biedroń, Zandberg i jakaś drobniaczka. Oni już się nachapali. Syty głodnego nie zrozumie. Niestety, ludzie mądrzy do polityki już nie wchodzi – chcą zachować godność, swoje poglądy, niezależność.

Piotr Krzeszewski

Przyzwyczaili się. To już nie razi. Patologia stała się naszą codziennością.

Nina Bartkiewicz

Nie nadążają z reakcją. Za szybko i za dużo się dzieje. Trzeba mieć refleks jak pilot odrzutowca.

Mirek Nap

f Śmierć śledztwa, którego nie było

W Polsce najmniejszą wartość mają ci, którzy są wśród nas. Bardziej liczą się zygoty, czyli coś, co jest potencjalnie zaczątkiem życia, oraz trupy, najlepiej liczone w setkach tysięcy, równie bezimienne jak zygoty.

Być może zbyt dosadnie to ująłem, ale jakże często źle traktuje się innych ludzi za życia, by po ich śmierci utrzymywać grób, zamiast wcześniej dobre relacje.

Jeśli brakuje w tym kraju jakiegś fundamentalnej wrażliwości na los ludzi, którzy nas otaczają, to czego można się spodziewać, gdy chodzi o los jakiegoś nieznanego człowieka z zupełnie innej kultury, któremu już z powodu pochodzenia wystawiono złą opinię? *Michał Błaszczak*

f Lewico, docień wreszcie Październik '56

Nowa Lewica to nie lewica, tylko projekt polityczno-biznesowy Czarzastego służący do utrzymania się przy korycie. Czarzasty zawłaszczył nazwę lewica. Jak można mówić o demokratycznym państwie, kiedy nie ma demokracji wewnątrz partii? To farsa.

Nie ma rewolucji bez kasy i sponsora, a sponsor oczekuje zwrotu inwestycji i działania zgodnie z jego wytycznymi. Opozycja finansowana przez zachodni kapitał wyprowadziła ludzi na ulice i tam ich zostawiła.

PRL miała swoje ciemne strony i wymagała reform, to fakt. Niestety, każdy przewrót w PRL był organizowany przez własne służby specjalne. To służby zbierają informacje, to one te informacje analizują i to one przedstawiają rozwiązania politykom. Kto dziś chce być sponsorem społecznych buntów? Jaki cel chciałby osiągnąć sponsor?

Piotr Rączkowski



ZDJĘCIE TYGODNIA

Polscy żołnierze budują ogrodzenie na granicy polsko-rosyjskiej w obwodzie kaliningradzkim. Żerdziny, 3 listopada 2022 r.



Fundacja na rzecz Nauki Polskiej przyznała nagrody, zwane polskimi Nobelami i uważane za najważniejsze wyróżnienia w kraju. Otrzymał je: **prof. Marcin Nowotny** z Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej za badania nad DNA; **prof. Bartosz Grzybowski** z Instytutu Chemii Organicznej PAN i Instytutu Naukowo-Technicznego w Korei Płd. za prace nad planowaniem syntezy chemicznej i **prof. Adam Łajtar** z Wydziału Archeologii UW za badania nad graffiti z doliny Nilu.

W Lubiatowie-Kopalinie, gm. Choczewo, woj. pomorskie, ma powstać pierwsza elektrownia atomowa w Polsce oparta na technologii amerykańskiego koncernu Westinghouse. Początek budowy planowany jest na 2026 r., a oddanie pierwszego z trzech reaktorów na 2033 r. Prowadzone są również rozmowy w sprawie budowy kolejnej elektrowni z Koreą Płd.

17,9% wyniosła inflacja w październiku. Mierzona rok do roku jest najwyższą inflacją od ponad 25 lat.

Notowania rządu premiera Morawieckiego nawet w sondażach rządowego Centrum Badania Opinii Społecznej są dramatycznie niskie. **Rząd popiera tylko 26% badanych Polaków**, 47% jest przeciw, a 23% jest obojętnych.

Emerytury i renty wzrosną w 2023 r. o wskaźnik waloryzacji, który prognozowany jest obecnie na poziomie 13,8%. Minimalne świadczenie ma wynieść 1588,44 zł.

Polacy mają **370 tys. kredytów hipotecznych we frankach szwajcarskich**. Do sądów powszechnych trafiło już 95 tys. pozwów wobec banków.

Premier Morawiecki potwierdził, że jest sobą, tylko gdy kłamie. Obiecał, że w październiku Polska wystąpi z pierwszym wnioskiem o wypłatę z Krajowego Planu Odbudowy. Może nie wiedział, że ciągle nie spełniamy warunków UE. Tak czy owak, znowu skłamał. A do pieniędzy daleko.

200-kilometrowa zapora elektroniczna zostanie wybudowana na granicy z Rosją pod koniec przyszłego roku.

358 kg odpadów komunalnych wytworzył przeciętny Polak w 2021 r. To o 16 kg więcej niż rok wcześniej. Razem było to 13,7 mln ton, z czego tylko 60% trafiło do recyklingu, kompostowania lub fermentacji.

Coraz więcej Polaków wybiera mieszkanie poza miastem i bywa tak jak w gminie Kamienna Góra. Matce z córką tak przeskadza zapach krów w sąsiedztwie, że w ciągu czterech lat doprowadziły do 100 kontroli z 20 instytucji w jednym gospodarstwie. A dwa wydziały w gminie zajmują się wyłącznie rozpatrywaniem skarg (**program „Państwo w państwie”, Polsat**).

O aktywności byłego przewodniczącego SLD Grzegorza Napieralskiego można się dowiedzieć, oglądając go w TVP Info i śledząc loty do Szczecina. Obecny poseł PO zaliczył w 2021 r. 113 lotów za skromne 64 tys. zł. Aktywność polityczna Napieralskiego mieści się w naparstku. Za to ślad węglowy ma rozmiarów stodoły.

W 2021 r. wystąpiło z Kościoła w Niemczech prawie 360 tys. osób, czyli 86 tys. więcej niż w rekordowym 2019 r.

PRZEBŁYSKI

Biskupie, czytaj uważniej

Trafiła kosa na kamień. Słowa świdnickiego biskupa Marka Mendyka wziął na tapet Norman Tabor („Fakty po Mitach”). I wyszło, że choć biskup jest doktorem teologii i asystentem Rady Szkół Katolickich, to w znajomości Pisma Świętego orłem nie jest. „Dlaczego mnie bijesz, skoro mówię tobie prawdę”, przywołał słowa Jezusa, które rzekomo wypowiedział on do Piłata, po tym gdy ten go spoliczkował. Ale to nie rzymski prefekt, tylko sługa arcykapłana Annasza podniósł rękę na Chrystusa i w odpowiedzi usłyszał: „Jeżeli źle powiedziałem, udowodnij, co było złego. A jeżeli dobrze, to dlaczego mnie bijesz?”. Tak bywa. Zwłaszcza gdy biskup musi improwizować, bo mu brakuje wiedzy.



Kowalczyk o trzeźwości, ale bez Głódzia

Wiesz ma tyle problemów, że słabo sobie z nimi radzący wicepremier Henryk Kowalczyk, minister rolnictwa, uznał, że lepiej mu pójdzie walka z pijaństwem. Czytelnicy, którzy pomyśleli, że Kowalczyk poprzez osobistą degustację znacząco zmniejszył ilość tych napojów, będą rozczarowani. Wicepremier minister walczył o trzeźwość narodu oralnie. Na prelekcji w diecezji drohiczyńskiej. Pojawił się tam jako członek Krucjaty Wyzwolenia. Na konferencji „Ku trzeźwości Narodu – wezwani do działania” zaprezentował się nieźle. Widać, że jest prawdziwym znawcą tematu. Niestety, do walki o trzeźwość narodu nie stanął mający sporo do powiedzenia, a mieszkający w pobliżu, arcybiskup-sołtys Sławoj Leszek Głódź.

Gadowski jako stan umysłu

Z sobie tylko znanych powodów Tomasz Sakiewicz, właściciel „Gazety Polskiej” z przyległościami, przegarnął Witolda Gadowskiego. Bez sukcesu wędrującego po mediach. Człowieka z takimi manierami, że nawet wśród wielbicieli dojrzałej zmiany kontakt z nim uważa się za intelektualne faux pas (taki żarcik, bo to nie ten target).

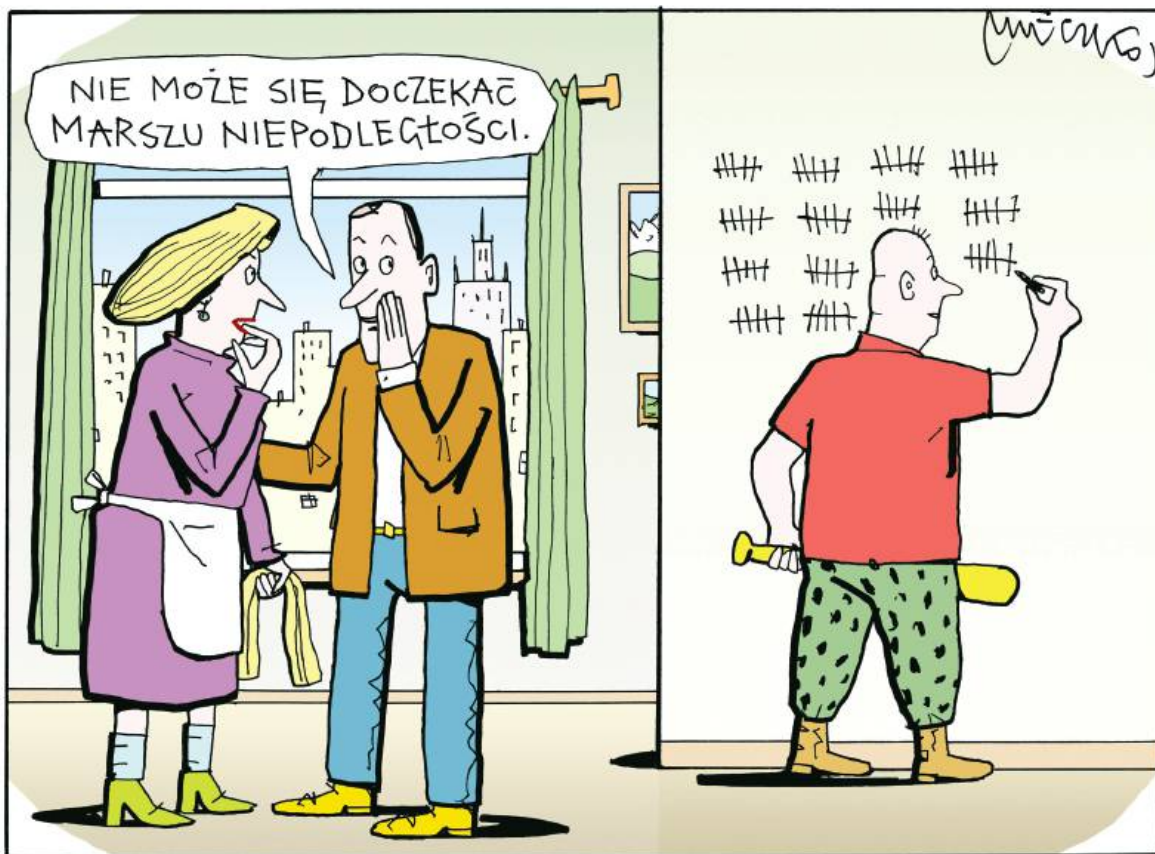
Gadowski w tekstach pod nagłówkiem „Szczyty żenady” daje dowody swojego umysłowego prymitywizmu. Zapał, z jakim bronił budowy szkaradnego badziewia nazywanego pałacem Saskim, jest w prostej linii stanem umysłu Gadowskiego. I dowodem, że obie myśli latają mu po głowie bez ryzyka, że się spotkają.



Bajki korwinowców

Pamiętacie ten lament ortodoksyjnych zwolenników wolnego rynku, gdy wolny rynek wypiął się na nich pewną częścią ciała i w czasie pandemii groziła im plajta? Pamiętacie to wołanie: gdzie jest państwo? Gdzie jest pomoc?

Polacy pamiętają, ale Sławomir Mentzen, nowy prezes partii KORWiN, ciągle głosi bajki, że normalność to „niskie podatki i żeby każdy żył na swój koszt, a nie na koszt swojego sąsiada”. Piękna zasada. Aż żal, że korwinowcy jej nie praktykują na sobie. Jak trwoga, to od razu... wyciągają wolnościową łapkę do państwa. Czyli, panie Mentzen, do sąsiadów. Bo to oni muszą się złożyć na upadających biznesmenów.



PYTANIE TYGODNIA

Którzy politycy opozycji najbardziej ją ośmieszają?

DR PAWEŁ SĘKOWSKI,

historyk, Uniwersytet Jagielloński, Stowarzyszenie Kuźnica

Odpowiadając na to pytanie, skupiłbym się na tych politykach, którzy jeszcze całkiem niedawno byli zdyscyplinowanymi współpracownikami strony partyjno-rządowej, a dzisiaj stroją się w piórka pierwszych przeciwników PiS; mam tu na myśli przede wszystkim Jarosława Gowina. Nie uważam, że musi on być skreślony na zawsze, bo są przykłady polityków, którzy byli po „złej stronie mocy”, a dzisiaj jest sens z nimi rozmawiać o ewentualnej współpracy, ale potrzebna jest do tego pewna „kwarantanna”. Bez niej stawanie w pierwszych rzędach opozycji jest po prostu niesmaczne, nie mówiąc o tym, że najpierw trzeba rozliczyć pewne fakty. Z kolei lewą stronę sceny politycznej ośmieszają ci, których racją politycznego bytu jest przede wszystkim walka z innymi środowiskami lewicowymi, a nie z obecną władzą.

WIESŁAW GAŁĄŻKA,

dziennikarz, Dolnośląska Szkoła Wyższa

Odpowiedź jest moim zdaniem łatwa: chyba wszyscy. Nie tylko nieraz stawiają się w żałosnym położeniu, ale jeszcze dają się wkręcać w sprytnie działania PiS. Przykładem jest spadek popularności Donalda Tuska, który postanowił rywalizować w showmaństwie z Jarosławem

Kaczyńskim. Ten ostatni ma pewnie dużo radości, widząc, jak Tusk podobnie jak on jeździ i bawi się w stand-upera, mówiącego do swojego elektoratu, co mu ślina na język przyniesie. O pozostałych politykach opozycji aż żal wspominać; Hołownia, Kosiniak-Kamysz, a nawet Czarzasty mogą budzić jedynie wesołość tych, którzy naprawdę interesują się polityką.

MICHAŁ MARSZAŁ,

tygodnik „Nie”

Wyróżniłbym dwie grupy: młodych i starych. Wielu młodych nie dorosło jeszcze do poważnej polityki i zajmują się raczej performansami, które wbrew ich mniemaniu nie przysparzają opozycji poklasku, a jedynie wywołują poczucie tzw. krindżu, czyli żenady. Wielu starych z kolei nie zauważyło, że świat w ciągu ostatniej dekady trochę się zmienił i głoszenie konserwatywnych, kościelnych idei nie ma już takiego wzięcia. Tym bardziej że poglądy Polaków choćby w sprawie aborcji stały się postępowe. Najbardziej opozycję ośmieszają jednak politycy leniwi – dwoje postów KO miało w tej kończącej się powoli kadencji tylko po jednym wystąpieniu. Jeśli tak będą pracować w toczącej się już de facto kampanii, to sukces PiS murowany.

Not. Michał Sobczyk

Złudzenie suwerenności

Dla PiS nie jest ważne, czy Polska będzie biedna, czy bogata, ważne, żeby była pisowska

Robert Walenciak

Suwerenność to dziś słowo wytrych. Nie trzeba długo szukać dowodów – co drugie wystąpienie ludzi PiS jest nim zdobione. Bronimy suwerenności, musimy walczyć o suwerenność, polska suwerenność nie jest na sprzedaż itd.

I nie mówmy, że to polityczny trik, odwracanie uwagi od innych spraw, że tak sobie gadają, bo nic lepszego nie przychodzi im do głowy. Owszem, te podejrzenia – że PiS suwerenność odmienia przez wszystkie przypadki, ale rozumie pod tym określeniem tylko własną polityczną korzyść – mogą być prawdą i pewnie prawdą w dużej części są.

PiS suwerenność odmienia przez wszystkie przypadki, ale rozumie pod tym określeniem tylko własną polityczną korzyść.

Pamiętajmy jednak o drugiej stronie medalu – gdyby to w duszach ludzi nie grało, pisowcy o tym by nie mówili.

Jesteśmy bezpośrednimi kontynuatorami XIX-wiecznego poczucia narodowego, pieśni wówczas zrodzone, mity narodowe, symbole – to wszystko, wzmocnione wydarzeniami XX w., w nas tkwi. Chętnie ubieramy się w dawne szaty, próbując wrócić do porządku, który chroni nas przed nowym, przed światem pełnym wyzwań. Nie jesteśmy zresztą jakimś wyjątkiem – w Europie mamy renesans podobnych postaw i wychodzą one poza prosty podział lewica-prawica.

Politycy więc tym grają. Argument obrony suwerenności nie schodzi im z ust. Nawet kiedy wiedzą, że ewidentnie kłamią. Bo suwerenność

to nie jest możliwość robienia tego, co się chce, bez oglądania się na innych. Tłumaczył to obrazowo już w XVIII w. Jerzy Waszyngton, namawiając przedstawicieli niepodległych stanów do federalizmu – że nikt nie jest absolutnie suwerenny, że każdy człowiek, wchodząc do społeczeństwa, oddaje część swojej swobody. Musi przyjąć normy społeczne, zaakceptować normy prawne. Funkcjonuje w świecie ograniczeń. Ale w zamian ma korzyści. Nie jest sam! Jest bezpieczniejszy, może liczyć na pomoc, grupa jest skuteczniejsza niż jednostka.

Trudno z takim argumentem polemizować, wobec tego politycy go modyfikują. I wołają, że jednostka jest przez grupę krzywdzona. Czyli

Europejskiej powiększyło nasze możliwości gospodarcze i polityczne. Od roku 2004 mamy w świecie inną pozycję, niż mieliśmy wcześniej.

Owszem, udział we wspólnocie nakłada na Polskę określone obowiązki – dotyczące rozwiązań wewnętrznych (zanim Unia nas przyjęła, musieliśmy dostosować do jej zasad swoje prawo) czy też działań w sferze międzynarodowej (członkostwo w NATO zobowiązuje nas do określonych zachowań). To są rzeczy oczywiste. Warto o tym pamiętać. Wiedząc równocześnie, że suwerenność państwa nie upoważnia do nieprzestrzegania wiążącego je prawa międzynarodowego. I że państwo nie może się powoływać na swoje prawo wewnętrzne, by nie wykonać ciążących na nim obowiązków prawnomiędzynarodowych. Przestrzeganie bądź nieprzestrzeganie prawa międzynarodowego nie należy bowiem do sfery suwerenności.

Dlatego Polska, wchodząc w spór z Unią i jej instytucjami, stoi przed wyborem: czy chce być częścią wspólnoty, czy zamierza odgrywać w niej rolę chuligana?

Z prawnego punktu widzenia nie ma wyboru – musi przyjąć wyrok Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, nawet jeżeli ten wyrok jej się nie podoba. A jednocześnie może wykorzystać wszystkie procedury, by ten wyrok zaskarżyć, uchylić, namówić inne kraje Unii do wprowadzenia nowych zasad itd. A w ostateczności – może z Unii wyjść, co dopuszcza art. 50 traktatu lizbońskiego. Choć proces ten musi przebiegać – tak jak to robiła Wielka Brytania, przeprowadzając brexit – z poszanowaniem prawa. Zresztą z traktatów unijnych wprost wynika, że państwa członkowskie nie są uprawnione do jednostronnego

Polska jest krzywdzona przez Unię Europejską, jej instytucje i sądy. Czyżby?

Spór polskiej władzy z Unią jest klasycznym sporem państwa, które weszło do pewnej wspólnoty, akceptując obowiązujące w niej zasady i zobowiązując się do ich przestrzegania, a które teraz mówi, że one go nie dotyczą, że zostały zmienione.

Dla prawników rzecz jest oczywista – związanie się normą prawa międzynarodowego nie ogranicza suwerenności państwa, przeciwnie, jest to wyraz jego suwerenności. Bo państwo z własnej woli nakłada na siebie zobowiązania, przyjmując, że na tym zyska, że powiększy swój potencjał i swoje możliwości. Członkostwo w NATO powiększyło nasze bezpieczeństwo, członkostwo w Unii



Wszystko, co Jarosław Kaczyński ogłasza na zamkniętych wiecach, spotyka się z aplauzem wielbicieli. Nz. wizyta w Radomiu, 26 października 2022 r.

unieważniania lub niewykonywania norm prawa UE.

Polska PiS te zasady chciałaby po-
minąć. Efekt mamy oczywisty – Unia
zablokowała kilkadziesiąt miliardów
euro należnych nam w ramach Kra-
jowego Planu Odbudowy, realnie
grozi nam blokada pieniędzy z fun-
duszu spójności (75 mld euro) i za-
płaciliśmy już ponad 1 mld zł kar za
niewykonywanie wyroku Trybunału
Sprawiedliwości UE.

Czy taka sytuacja czyni Pol-
skę mocniejszą, czy słabszą? Czy
w związku z tym nasza suwerenność
i sprawczość jest większa, czy bar-
dziej ograniczona?

Tak wygląda front ciągnącego się
od lat sporu z Unią. To znaczy, wyglą-
dał w ubiegłym tygodniu. Bo w ostat-
nich dniach widzimy rejteradę PiS.
I jeżeli latem Jarosław Kaczyński wo-
łał, że nie ustąpi w sporze z Unią ani
kroku, że „dość tego!”, to dziś opo-
wiada, że „trzeba być elastycznym”.

Czyli przyznaje, że przez wiele miesię-
cy toczył bezsensowny bój. Że naraził
Polskę na straty.

Nasuwać się więc pytania: dla-
czego PiS było takie uparte, dlaczego
prowadziło wojnę z Unią Europejską,
dlaczego próbowało Polaków do Unii

system, zapewnić sobie władzę na
zawsze, musi przejąć kontrolę nad
trzecią władzą i nad mediami. Temu
służyć ma „reforma” sądów – pod-
porządkowaniu ich partii rządzącej.

Mając w ręku sądy, można nękać
opozycję, można zapewnić sobie

Suwerenność państwa nie upoważnia do nieprzestrzegania wiążącego je prawa międzynarodowego.

zniechęcić? I jak to się ma do głośno-
nej wszem wobec teorii, że walczy
o suwerenność?

Jest kilka odpowiedzi na te pyta-
nia, zresztą uzupełniających się.

**1. Ta władza nie chce być czym-
kolwiek skrupowana.**

To najprostsza odpowiedź. PiS
chciałoby rządzić jak najdłużej, nie
patrząc na jakiekolwiek zasady, jest
gotowe prowadzić Polskę drogą
Węgier i Turcji. Ale żeby domknąć

bezkarność i jednocześnie kontrolę
nad wyborami, bo to sądy orzekają,
czy odbyły się one zgodnie z pra-
wem, czy nie. Mając media, można
w decydujący sposób wpływać na
opinię publiczną.

Z tego punktu widzenia spór PiS
z Unią ma logiczne wytłumaczenie.
Nie jest jednak ważne, czy Polska bę-
dzie biedna, czy bogata, ważne, że-
by była pisowska. Żeby oni rządzili,
byli w spółkach skarbu państwa,
rozdawali karty.

► A suwerenność? Zjednoczona Prawica pojmuję ją w ten sposób, że to prawo rządu do trzymania za twarz sędziów. To jest dla nich suwerenność. Ich własna.

2. PiS chce zyskać w sondażach, kreując antyniemieckie lęki.

Jeżeli one wciąż w wielu Polakach tkwią, to dlaczego ich nie wykorzystać? Z podróży Jarosława Kaczyńskiego po kraju zapamiętamy pewnie dwa elementy: szczucie na osoby LGBT+ oraz ciągłe ataki na Niemcy.

Ośmieszają nasz kraj „geopolityczne” miraż o militarnym pakcie Międzymorza czy o uprzywilejowanym partnerstwie z USA.

„Mówię o naszych sąsiadach z zachodu. Oni by chcieli, aby Polska była z tyłu, nie była za silna, była pod niemieckim nadzorem” – to jedna z takich wypowiedzi prezesa PiS. Do tego dokładał, że Niemcy chcą Polaków „doić”: „Jeśli Polacy jeździli tam, aby za marne pieniądze zbierać szparagi, to było właśnie to dojenie. Jeżeli mi kupujemy w naszych supermarketach, ale niemieckich naprawdę, towary za taką samą cenę jak w Niemczech, tylko że te towary są wyraźnie gorsze, stąd są te sklepy ze środkami do prania prosto z Niemiec, to co to jest? To jest oszukiwanie, dojenie. My się na to nie możemy godzić”.

Kaczyński narzuca melodię, a gromada pomniejszych członków orkiestry ją gra. Wypowiedzi oskarżających Berlin jest zatem w prawicowej przestrzeni cała masa. Jedne atakują Niemcy, wypominając II wojnę światową i faszystowskie bestialstwo. Z czym współgra żądanie reparacji. Drugie z kolei mówią o rozgrywce politycznej, o wewnątrz europejskiej grze.

Europeoseł Ryszard Legutko w niedawnej rozmowie dla „Sieci” porównał działania Niemiec i Francji w Unii Europejskiej do doktryny Breżniewa: „Ich niemożliwie irytuje ktoś, kto okaże minimum samodzielności”. I pyta dziennikarza: „Czy wyobraża pan sobie, że po wyjściu z dominacji sowieckiej mielibyśmy świadomie wstępować do Unii z dominacją niemiecką albo jakąkolwiek inną?”.

Trzeba wielkiego tupetu, by solidarność europejską przyrównywać do doktryny Breżniewa, a Niemcy do ZSRR. Albo dziwić się, że Francja może w Unii więcej niż np. Słowenia. Ale tak się dzieje. W ten sposób Legutko kreuje nową doktrynę polityki zagranicznej PiS. To nic, że Polska poddała się, jeśli chodzi o próby budowania sojuszy wewnątrz Unii Europejskiej, ważniejsze jest, by zмагаć się z Niemcami, bo to jest obrona polskiej suwerenności,

i w polityce, i w gospodarce, oraz naszej tożsamości. Co zresztą jest kolejnym ważnym punktem w polityce partii rządzącej.

3. PiS pielęgnuje wizję Polski konserwatywnej, antylewicowej, czyli idącej w kontrze do Unii Europejskiej.

To nic nowego, tak było zawsze. Już od czasów oświecenia mamy w europejskiej przestrzeni konflikt między zwolennikami nowoczesności a konserwatystami, którzy próbują zatrzymać to, co nadchodzi, i pielęgnują mit dawnych, dobrych czasów.

Ten podział rozkwitł w wieku XIX, wraz z rewolucją przemysłową, i podzielił Europę dość dokładnie. A nie

mirażem”. To są słowa Charlesa Mastermana, polityka brytyjskich wigów, czyli Partii Liberalnej, napisane w roku... 1902! 120 lat temu!

Jak więc widać, spór między zwolennikami postępu i nauki a tymi wątpiącymi jest immanentną cechą naszej cywilizacji. W tym sporze Kaczyński zajmuje jednoznaczne stanowisko. Głosi, że utrzymanie dawnych zasad, Kościół, wiara, tradycja, rodzina to są rzeczy sprawdzone i tego się trzymajmy. Że Unia Europejska afirmuje rzeczy niebezpieczne. Groźne dla cywilizacji. Polska musi przed tym się bronić.

To nigdy nie był w Polsce dominujący elektorat – antyeuropejski, prokościelny, tradycjonalistyczny. Opowiadający sobie, że Unia to „gejland” i obszar, w którym osoby LGBT+ są uprzywilejowane. Ale Kaczyński, zbierając prawicowe grupy, zauważył go i docenił. A dziś jest on coraz ważniejszą częścią Zjednoczonej Prawicy. I jego fobie, zwłaszcza dotyczące Zachodu, Unii Europejskiej, odgrywają w polityce PiS (nie tylko w propagandzie) coraz ważniejszą rolę.

Zwłaszcza że na świecie polityków odwołujących się do wiary, do tradycyjnych wartości, lekceważących liberalną demokrację i liberalizm w ogóle, przybywa, a nie ubywa. Z tej sytuacji PiS też wyciąga wnioski. Tym razem dotyczące wielkiej polityki.

Ostabiają – ataki na Unię Europejską, na jej jedność i mechanizmy rozwiązywania nadchodzących problemów.

jest wcale tak jednoznaczny. Dla tego, że nadzieje na szklane domy okazały się złudne. Proszę zresztą przeczytać ten fragment: „Nauka, która miała uśmierzyć wszystkie choroby, handel, który miał położyć kres wojnie i wszystkie narody połączyć w jedną rodzinę, myśl, która etykę i religię oprzeć miała na mocnym i bezpiecznym fundamencie, wynalazczość, która wszystkim ludziom, po paru godzinach nieuciążliwej pracy, pozwoliła spędzić resztę dnia w spokoju i słońcu – wszystko to okazało się nieosiągalnym

4. Geopolityczna gra.

Jest jakimś fenomenem, że rodzą się po prawej stronie różne konstrukcje dotyczące przyszłego świata. Mimo tego zróżnicowania pewne cechy mają wspólne. Po pierwsze, oderwane są od rzeczywistości materialnej. Rzadko kiedy uwzględniają siłę ekonomiczną państwa, dyscyplinę społeczeństw, ich kreatywność. W związku z tym na równi stawiają Europę Środkową i Europę Zachodnią, Rosję znacznie powyżej Unii Europejskiej itd. Po drugie, te różne teorie (czy raczej opowieści)

łączy przekonanie o nieuchronnym upadku Unii Europejskiej. Po trzecie wreszcie – podzielają one przeświadczenie o wielkiej roli Polski (w przyszłości) i naiwną wiarę, że inne państwa chętnie podporządkują się woli Warszawy.

Dodajmy – to ważne w tych planach – że rolę lidera regionu Polska ma odgrywać w sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. Nasz kraj w wyobraźni autorów tych różnych geopolitycznych układanek ma być w tym związku stroną intelektualnie dominującą, narzucającą swoją wolę. Powinno to się powieść tym łatwiej, że Polska zaangażuje miliardy dolarów w zakupy amerykańskiego sprzętu wojskowego, że odegra rolę amerykańskiego ambasadora wewnątrz Unii Europejskiej, czyli antyeuropejskiego tarana, i stworzy dla Ameryki regionalny pakt militarno-gospodarczy.

Pierwszym elementem takiego planu jest stała obecność tysięcy amerykańskich żołnierzy na polskiej ziemi, oczywiście uzbrojonych, także w broń jądrową. Drugim – zawiązanie sojuszu Międzymorza, od państw bałtyckich po Bałkany. Polska miałaby w nim dominować. W ten sposób powstałby związek państw oparty na sojuszu militarnym z USA, potrafiący opierać się zarówno Rosji, jak i Niemcom.

Nic w tej konstrukcji nie jest realne, za to przynajmniej jedna rzecz jest humorystyczna. Prawica bowiem na jednym oddechu mówi o zagrożeniu rosyjskim i niemieckim oraz potrzebie przeciwstawienia się temu w imię ochrony suwerenności. A tę suwerenność ma zagwarantować korpus obcych żołnierzy stacjonujących w Polsce. Czyli Amerykanów.

Oto więc pułapka, w którą rządzący chcą nas łapać: wielka opowieść o suwerenności Polski, o którą PiS się troska, którą chce wzmacniać. I prosta tego konsekwencja, czyli pytanie: jesteś patriotą czy nie?

Ale gdy przeanalizuje się te wszystkie opowieści na spokojnie, rzuca się w oczy, jak bardzo są fastrygowane. I że w rzeczywistości Polskę osłabiają i ośmieszają.

Ośmieszają nasz kraj „geopolityczne” miraż o militarnym pakcie Międzymorza czy o uprzywilejowanym partnerstwie z USA.

Oślabiają – ataki na Unię Europejską, na jej jedność i mechanizmy rozwiązywania nadchodzących problemów. Propaganda PiS z jednej strony domaga się rozluźnienia unijnych struktur i uderza w Niemcy,

29% opowiada się za zachowaniem obecnego stanu, a 16% preferuje ograniczenie integracji i zwiększenie roli państw narodowych.

Większość Polaków jest też za tym, by Unia sprawniej działała, nawet kosztem rezygnacji z prawa weta: 60% jest za podejmowaniem decyzji większością głosów, 28% – za zachowaniem prawa weta.

Suwerenność to nie jest możliwość robienia tego, co się chce, bez oglądania się na innych.

najsilniejsze państwo UE. A z drugiej pomija fakt, że takie sprawy jak walka z covidem, walka z nadchodzącą recesją gospodarczą, pomoc ukraińskim uchodźcom oraz wojna na Ukrainie wymagają większej europejskiej solidarności i integracji.

W tym wszystkim intrygujące jest to, że PiS – partia znakomicie czująca nastroje społeczne, tym razem idzie wbrew nie tylko większości Polaków, ale i wbrew opinii swoich wyborców. Świadczą o tym badania, także całkiem świeże, bo z czerwca 2022 r., sondaż CBOS.

Zwróćmy uwagę: aż 92% Polaków, co jest rekordem, popiera przynależność naszego kraju do Unii Europejskiej. A sprzeciwia się zaledwie 5%.

Nasuwa się zatem pytanie, o jakiej Unii ankietowani myśleli. Otóż myśleli o różnych uniach, choć i tu zwolennicy coraz ściślejszej integracji mają przewagę. 38% chciałoby pogłębienia unijnej integracji,

Podobne odpowiedzi padły, gdy ankietarzy pytali, czy członkostwo w Unii nie ogranicza zbyt suwerenności Polski. Nie ogranicza – odpowiedziało 55% pytanych. Przeciwnego zdania było 33%.

A co do sporu o pieniądze z KPO – 70% uważa, że Polska powinna wycofać się z kwestionowanych przez Brukselę „reform” w sądownictwie. A przeciwnych ustępstwu było ledwie 12% ankietowanych.

Jak widzimy, ludzie nie są tacy naiwni, jak PiS się wydaje. I poważniej traktują swoje państwo niż partyjni spin doktorzy.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Czytelniku,
kupując nasze książki,
wspierasz PRZEGŁAD

Mamy już 39 tytułów!
Wszystkie e-booki tylko 9,90 zł

**Promocja tylko
do 15 listopada!**

Zamów na
sklep.tygodnikprzeglad.pl





31 października br. w Seulu w obecności wicepremiera Jacka Sasina oraz ministra handlu, przemysłu i energii Korei Lee Chang-yanga podpisano list intencyjny w sprawie budowy elektrowni atomowej w Polsce.

Atomowe jądra Sasina

Budowa elektrowni jądrowej w Polsce. Najgorsze jest przed nami

Marek Czarkowski

Informacja o tym, że amerykańska firma Westinghouse zbuduje pierwszą w Polsce elektrownię atomową, pojawiła się najpierw na Twitterze. Pochwalili się tym sekretarz Departamentu Energii w administracji Bidena Jennifer Granholm, premier Mateusz Morawiecki oraz ambasador USA w Polsce Mark Brzezinski. Szczegóły umowy dopinali w Waszyngtonie wicepremier Jacek Sasina oraz minister klimatu i środowiska Anna Moskwa.

Koszt inwestycji szacowany jest na 100 mld zł, choć nie brakuje wyższych kwot, sięgających nawet 184 mld zł. Budowa elektrowni ma się rozpocząć w roku 2026. Siedem lat później powinien zacząć pracować pierwszy reaktor. Należąca do skarbu państwa spółka Polskie

Elektrownie Jądrowe jako lokalizację wskazała okolice Lubiatowa i Kopaliño na Kaszubach.

Nie liczyły się pieniądze

O tym, że Polska wybierze amerykańską ofertę, wiadomo było od dawna. To była decyzja polityczna. Chodziło nie o pieniądze, lecz o silny sojusz, zacieśnienie współpracy oraz „jasny sygnał dla Rosji” – jak napisała w komunikacie sekretarz energii Jennifer Granholm.

O ten kontrakt ubiegały się też południowokoreański koncern KHNP (Korea Hydro & Nuclear Power) oraz francuskie przedsiębiorstwo państwowe EDF (Électricité de France). Oferta Koreańczyków wydawała się najbardziej korzystna. Obejmowała budowę sześciu reaktorów oraz nawiązanie współpracy w wielu innych dziedzinach przemysłu. KHNP

zadeklarował gotowość objęcia 49% udziałów w spółce budującej elektrownię i współfinansowanie inwestycji. Koreańczycy gotowi byli także dokonać transferu do Polski technologii produkcji paliwa. Poza tym produkują oni turbiny, zbiorniki reaktora, generatory pary i wiele innych urządzeń dla energetyki jądrowej. Co z pewnością ułatwiłoby realizację projektu.

W ostatnich miesiącach Polska dokonała poważnych zakupów uzbrojenia w Korei Południowej, w tym 180 czołgów K2 Black Panther oraz 288 zestawów systemu artylerii rakietowej K239 Chunmoo, które są odpowiednikami amerykańskich systemów HIMARS. Zapowiadało to, że naszym dalekowschodnim partnerom powinien przypaść kawałek atomowego tortu. I tak się stało. 31 października br. w Seulu Wojciech Dąbrowski,

prezes należącej do skarbu państwa spółki Polska Grupa Energetyczna, wspólnie z Zygmuntem Solorzem, kontrolującym spółkę Zespół Elektrowni Pątnów Adamów Konin (ZE PAK), w obecności wicepremiera Jacka Sasina oraz ministra handlu, przemysłu i energii Korei Lee Chang-yanga, podpisali z KHNP list intencyjny dotyczący współpracy przy realizacji projektu budowy kolejnej elektrowni atomowej w naszym kraju. Tym razem w Pątnowie, w okolicach Konina. Finalna umowa ma zostać podpisana w roku 2023.

Nadszedł czas na bardzo trudne rozmowy o konkretach.

Wiemy, że nic nie wiemy

Westinghouse na razie nie otrzymał tego, co chciał. Amerykanie sądzili, że – zgodnie z planami polskiego rządu – wybudują sześć reaktorów. Czyli dwie elektrownie jądrowe, w każdej po trzy reaktory. A mają zamówienie na jedną.

Nieznany jest koszt budowy tej elektrowni. Może to być 100 mld zł, a może nawet 184 mld zł. Pikanterii

Następnie pojawił się rok 2023. Potem rok 2025. A ostatnio słychać, że elektrownia rozpocznie działalność w roku 2027. Jako powód podano pandemię COVID-19, która zakłóciła łańcuch dostaw, oraz problemy z wykonaniem robót ziemnych i konieczność spełnienia dodatkowych wymagań postawionych przez władze brytyjskie.

Prawda jest bardziej złożona. Pierwsze kłopoty z dotrzymaniem terminów pojawiły się już w roku 2019. Koncern EDF stwierdził, że może dojść do opóźnienia budowy pierwszego reaktora o 15 miesięcy, drugiego zaś o dziewięć. Wzrosły również koszty budowy, z 21,5 do 22,5 mld funtów (w 2015 r. zakładano, że budowa Hinkley Point C będzie kosztowała zaledwie 16 mld funtów). Francuzi i Chińczycy tłumaczyli, że warunki finansowania inwestycji w Europie są znacznie gorsze niż na Dalekim Wschodzie, gdzie podobne elektrownie buduje się nawet trzy razy taniej.

Ile będzie kosztowała elektrownia jądrowa planowana przez PGE oraz ZE PAK, nie wiadomo. List intencyjny nie jest ostateczną umową. Co najwyżej to gest dobrej woli. Jego jedynym efektem jest dziś dynamiczny wzrost kursu akcji spółki ZE PAK, z 17,60 zł w połowie października do 28,95 zł 2 listopada. Wiele wskazuje, że ta tendencja się utrzyma.

Szkoda, że dotychczasowe decyzje rządu premiera Morawieckiego w tej sprawie były wyjątkowo mało przejrzyste. Nie ogłoszono przetargu.

Doświadczenia państw budujących elektrownie atomowe wskazują, że zarówno koszty, jak i terminy oddania siłowni do użytku są bardzo niepewne.

Francuzi od początku byli na przegranej pozycji. Relacje Warszawy z Paryżem nie należą do najlepszych. Rząd Prawa i Sprawiedliwości zerwał w 2016 r. kontrakt na dostawę dla polskiej armii śmigłowców wielozadaniowych Caracal produkowanych przez koncern Airbus. W Paryżu się obrażili, lecz w Warszawie nikt tym się nie przejął. W kwietniu 2019 r. Ministerstwo Obrony Narodowej podpisało umowę o wartości 1,65 mld zł z włoskim koncernem Leonardo na dostawę czterech śmigłowców AW101 do zwalczania okrętów podwodnych oraz działań poszukiwawczo-ratowniczych dla marynarki wojennej. Airbusowi zaś w ramach zawartej pod koniec 2021 r. ugody wypłaciliśmy 80 mln zł za zerwany kontrakt na caracale.

Francuska oferta budowy elektrowni jądrowej miała być niezbyt atrakcyjna cenowo. By osłodzić kłóskę Paryżowi, rzecznik PiS Radosław Fogiel powiedział ostatnio, że nadal trwają rozmowy z koncernem EDF i być może to on wybuduje trzecią elektrownię. Nie trzeba być ekspertem, by dojść do wniosku, że to klasyczna ściema.

Jednak myliłby się ten, kto by sądził, że w sprawie rozwoju energetyki jądrowej w Polsce zapadły ostateczne decyzje. To zaledwie początkowy etap, na którym mamy dwóch liderów – Amerykanów i Koreańczyków.

sprawie dodaje fakt, że Westinghouse to firma po przejściach. W 2017 r. – jej głównym udziałowcem była wtedy japońska Toshiba – gdy straty sięgnęły 9 mld dol., zmuszona była szukać sądowej ochrony przed upadłością. Rok później, za ponad 4 mld dol., Westinghouse został kupiony przez spółkę Brookfield Business Partners. Od 20 lat ta legenda amerykańskiego przemysłu nie wybudowała ani jednej elektrowni jądrowej.

Każde to postawić pytanie zarówno o ostateczne koszty, jak i o deklarowane terminy oddania elektrowni do użytku. Doświadczenia innych państw budujących podobne obiekty wskazują, że są to kwestie bardzo

Energetyka jądrowa podniesie wysokość rachunków za prąd w Polsce.

niepewne. Przykładem może być powstająca w pobliżu Bridgwater w Somerset w Wielkiej Brytanii elektrownia Hinkley Point C. To prywatne przedsięwzięcie, którego udziałowcami są francuski EDF oraz, jako mniejszościowi partnerzy, chińskie firmy China General Nuclear Power Corporation i National Nuclear Company. Zgodnie z początkowymi założeniami pierwszy reaktor miał być oddany do użytku w tym roku.

Nie było żadnej wymiany poglądów z opozycją na temat warunków kontraktu i wyboru wykonawcy. Choć możemy być pewni, że także jej politycy wybraliby Amerykanów.

Nigdzie też nie widać śladu dyskusji o przyszłych kosztach związanych z koniecznością spłaty kredytów zaciągniętych na budowę elektrowni. A będą one niemałe. Energia elektryczna produkowana przez elektrownie jądrowe wcale nie jest tania. ►

► Za to energia pochodząca z takich źródeł jak fotowoltaika i farmy wiatrowe jest coraz tańsza. Oznacza to, że w przyszłości cena dla odbiorców końcowych będzie uśredniana. Innymi słowami, energetyka jądrowa podniesie wysokość rachunków za prąd w Polsce.

Łatwo poza tym przewidzieć reakcję rządzących na pojawianie się nowych, tańszych i bardziej wydajnych źródeł energii. Zostaną one albo

czołgi, samoloty myśliwskie, systemy rakietowe i elektrownie atomowe, to żadne krzyki „Konstytucja, konstytucja!” nie wzbudzą zainteresowania Departamentu Stanu. I nie ma w tym nic osobistego. Po prostu Amerykanie dbają o swoje interesy. Trawestując prezydenta Franklina D. Roosevelta: Kaczyński *may be a son of a bitch, but he's our son of a bitch* (Kaczyński może i jest s...synem, ale to nasz s...syn).

Łatwo przewidzieć, że Polsat nie będzie w nadchodzących kampaniach wyborczych atakował Zjednoczonej Prawicy.

obłożone wysokimi podatkami, albo wręcz zakazane. By nie stały się konkurencją dla elektrowni jądrowych, które muszą być spłacone. Polscy politycy na ten temat milczą.

Czynnik polityczny

Aktywność wicepremiera Sasina w kwestii energetyki jądrowej świadczy o wzroście jego pozycji na scenie politycznej. Okazało się, że ma on „atomowe *cojones*”. To on, a nie premier prowadził finalne rozmowy z Amerykanami i Koreańczykami. Choć krążą dwie sprzeczne wersje historii o tym, kto kogo namówił do współpracy z Koreańczykami. Jedni twierdzą, że to Solorz przyszedł do Sasina, drudzy, że Sasin do Solorza.

Projekt budowy elektrowni w Pątnowie w założeniach jest prywatnym przedsięwzięciem dwóch spółek. Lecz bez błogosławieństwa władzy nie doszedłby do skutku. Łatwo przewidzieć, że Polsat nie będzie w nadchodzących kampaniach wyborczych atakował Zjednoczonej Prawicy. Tak czy inaczej, tą kombinacją Jacek Sasin potężnie zapunktował w oczach prezesa Kaczyńskiego.

Warto zwrócić uwagę na to, że o ile w roku ubiegłym amerykańscy politycy z Partii Demokratycznej pozwalali sobie na krytykę poczyną PiS, o tyle dziś tego nie robią. Najwyraźniej administracja prezydenta Bidena uznała, że z demokracją nad Wisłą wszystko jest OK. Jeśli nadal będziemy kupowali amerykańskie

Platforma Obywatelska będzie milczała, bo nie zechce się narażać na kontrę w postaci przypomnienia „atomowych zarobków” byłego ministra skarbu Aleksandra Grada, który jako prezes powołanej przez Polską Grupę Energetyczną spółki PGE EJ1 miał zarabiać 55 tys. zł miesięcznie. A po przejściu na fotel wiceprezesa Tauronu – 120 tys. zł.

Część opinii publicznej byłaby zachwycona, gdyby się dowiedziała, że za czasów Donalda Tuska i Ewy Kopacz dwie spółki – PGE Energia Jądrowa SA i PGE EJ1 Sp. z o.o. – od powstania w 2009 r. do końca września 2015 r. wydały na budowę

o współpracy w projektowaniu chłodzonego gazem eksperymentalnego reaktora jądrowego HTTR (*high temperature engineering test reactor*). Trzy lata temu podobne porozumienie z Japońską Agencją Energii Atomowej zawarło nasze Narodowe Centrum Badań Jądrowych. Czyżby nadszedł czas na kolejny krok?

Już w 2021 r. spółki należące do Zygmunta Solorza i Michała Sołowowa planowały budowę małych reaktorów SMR z wykorzystaniem amerykańskiej technologii. Pierwsza elektrownia miała powstać już w roku 2030. Dziś wiemy, że nic z tego nie będzie, bo prezes Solorz postawił na Koreańczyków.

W tym samym 2021 r. należąca do Sołowowa spółka Synthos Green Energy zawarła porozumienie z Orlenem w sprawie budowy małych reaktorów.

14 lutego 2022 r. w Waszyngtonie, w obecności wicepremiera Sasina oraz przedstawicieli amerykańskiej administracji, została podpisana umowa między KGHM Polska Miedź a firmą NuScale Power także na wdrożenie technologii małych reaktorów modułowych. Pierwsza elektrownia ma ruszyć już w roku 2029. Ze strony KGHM umowę podpisał prezes Marcin Chłodziński, który

O ile w roku ubiegłym politycy Partii Demokratycznej pozwalali sobie na krytykę poczyną PiS, o tyle dziś tego nie robią.

nieistniejącej elektrowni jądrowej w Polsce ok. 242 mln zł. Lecz jeśli nawet rząd Zjednoczonej Prawicy sfinalizuje negocjacje z firmą Westinghouse i podpisze umowę, nie on będzie ją realizował. Przy czym może się okazać, że kontrakt jest korzystny tylko dla Amerykanów.

Jądrowe wzmożenie

Takiego wzmożenia jądrowego jeszcze w Polsce nie było. 31 października br. agencja Kyodo podała, że Japońska Agencja Energii Atomowej poinformowała tamtejsze ministerstwo edukacji i nauki o planach zawarcia z Polską umowy

11 października br. został odwołany. Obecnie pełniącym jego obowiązki jest Tomasz Zdzikot, były prezes Poczty Polskiej, który niedawno pojawił się w KGHM Polska Miedź na fotelu wiceprezesa. Nie wiadomo, jakie będą jego plany odnośnie do energetyki jądrowej.

Prawdziwe wyzwania związane z realizacją podpisanych umów i porozumień są przed nami. Nie jest łatwo zbudować elektrownię jądrową. Polska, której gospodarka opiera się na węglu, wieprzowinie i służbach specjalnych, sama z takim wyzwaniem sobie nie poradzi. Ale to już inna historia.

Marek Czarkowski

Z Galicji



Jan Widacki

Profesor na cmentarzu (z którego jeszcze wrócił)

Znów weekend był długi. To z powodu 1 listopada, dnia Wszystkich Świętych, który w tym roku wypadł we wtorek. Zaczął się więc polski weekend (może bardziej tykend?) w sobotę, skończył we wtorek wieczorem lub w środę rano. Tak to się u nas przyjęło, że jak jest jakieś święto i dzień wolny od pracy, to mamy długi weekend, bez względu na to, czy dni wolne wypadają rzeczywiście na końcu tygodnia, czy na początku. Po prostu po polsku weekend tłumaczy się nie, jak by słownik nakazywał, jako koniec tygodnia, tylko jako dni wolne od pracy, obojętne, czy było to na końcu tygodnia, czy na początku. Tykend to tykend – i basta!

No więc ponieważ z racji Wszystkich Świętych tykend akurat wypadł na początku tygodnia, w dodatku pogoda była ładna, Polacy tłumnie pośpieszyli na cmentarze już w sobotę i niedzielę, trochę w poniedziałek, w efekcie w samych Wszystkich Świętych na cmentarzach było chyba trochę mniej ludzi niż zwykle.

Jak co roku, jeśli tylko jestem w Krakowie, idę na cmentarz Rakowicki raz rano, drugi raz po południu. Zwykle rano idę sam, po południu z całą rodziną. Mamy na Rakowicach rodzinny grobowiec, drugi, starszy, mamy na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, ale tam na Wszystkich Świętych byłem tylko raz.

Każda wizyta w nekropolii takiej jak cmentarz Rakowicki (także Powązkowski, Łyczakowski, Na Rossie) budzić musi szczególne refleksje. Oczywiście wspomina się zmarłych, ale też jest okazja, by pomyśleć o żyjących. O zmarłych wiadomo: *aut bene aut nihil* (dobrze albo wcale). O żywych można więcej. Poza tym cmentarze mówią nam o nas samych więcej niż o zmarłych, którzy na nich spoczywają.

No to trochę o żywych. Przy bramie cmentarza od wielu lat kwestują różne osoby publiczne. Znani artyści, aktorzy, dziennikarze, a w okresach przed wyborami zwiększa się istotnie liczba kwestujących polityków. Kwestują na cele szlachetne. Na odnowę zabytkowych pomników cmentarnych, nie tylko na tutejszym cmentarzu, ale od lat także na cmentarzu Łyczakowskim. Kwestują na hospicjum. Od kilku lat obok kwestujących na te cele pojawiła się konkurencja. Kwestujący na „żołnierzy wyklętych”. Chodzi zapewne o ich jeszcze większe upamiętnienie? Nie śmiałem zapytać. Kwestowała dama lat 50+ z opaską Narodowych Sił Zbrojnych na ramieniu. Obok niej dwie dziewczynki (15+) z minami dumnymi i godnymi. Później pojawiło się dwóch starszych jegomościów w mundurach. Jegomoście byli „starsi”, ale nie na tyle starzy, by jeszcze do „żołnierzy wyklętych” należeć. Raczej dzieci albo wnuki „wyklętych”, odziani w zgola współczesne, choć nieco zdekompletowane mundury.

Dawniej wojsko i harcerze zaciągali warty honorowe. Na ogół przy żołnierskich grobach. Żołnierzy nie widziałem (może byli nie cały czas, tylko akurat wtedy, kiedy mnie nie było, a może krakowski garnizon jest tak mały, że ich zabrakło?), harcerze byli jak co roku. Rośnie natomiast liczba poprzebieranych w nieodpasowane mundury historyczne uczestników rozmaitych tak modnych ostatnio rekonstrukcji. Jakichś dwóch wymizowanych „zrekonstruowanych” ułanów zaciągnęło wartę przy grobowcu Matejki. Może myśleli, że Matejko był generałem? Później już ich nie było. Może się dowiedzieli, że nie był, i przenieśli gdzieś indziej? Pod pomnikiem Daszyńskiego był wieniec od marszałek Elżbiety Witek. Bardzo to ładnie. Chyba pierwszy raz pani marszałek należy się pochwała.

Pouczające jest spojrzenie na pomnik ułanów (trzech oficerów i 11 żołnierzy) poległych w czasie tłumienia rozruchów robotniczych w listopadzie 1923 r. Jak co roku tonie on w blasku niezliczonych zniczy i w kwiatach. Tyle że oblepiony jest późniejszymi tablicami sławiącymi pamięć żołnierzy z rozmaitych formacji kawaleryjskich, poległych na różnych frontach w II wojnie światowej. Oblepiony tak skutecznie, że jak

Cmentarze mówią nam o nas samych więcej niż o zmarłych, którzy na nich spoczywają.

można podejrzewać, większość palących tam znicze nie wie, komu naprawdę jest poświęcony. Nie mogą zatem zrozumieć, co znaczy i do czego się odnosi napis na pomniku: „Przechodniu, powiedz Ojczyźnie, że wierni jej prawom tu spoczywamy”. Fundujemy sobie sami kolejną „białą plamę”. Przecież coś takiego nie pasuje do mitu II RP, a polegli ułani są najwyżej zapomniani, ale nie wyklęci.

Podobno Sejm pracuje nad ustawą, za sprawą której wszystkie cmentarze wojskowe (i wojskowe kwatery na cmentarzach komunalnych) przejdą na własność skarbu państwa i to rząd będzie decydował, kogo na nich można pochować, a kogo należy ekshumować. IPN dostanie kolejne odpowiedzialne zadanie. Zlustrować i zdekomunizować cmentarze! No to Happy Halloween! Idzie nowe!

Tylko grób Napoleona Cybulskiego, jednego z największych polskich uczonych przełomu XIX i XX w., współodkrywcę adrenaliny, autora jednego z pierwszych w świecie zapisów EEG, opuszczony i w coraz większej ruinie. W linii prostej 3 km od uniwersytetu, którego Cybulski był rektorem.

Kaczyński i biskupi

Kościół katolicki wykorzysta sytuację i od słabnącego PiS uzyska kolejne koncesje

Rozmawia Paweł Dybicz

Gdyby, trochę trywializując, zapytać, kto w Polsce rządzi: Kaczyński z PiS czy biskupi z proboszczami, to...

– Formalnie, to znaczy pod względem konstytucyjnoprawnym, podejmują decyzje polityczne i rządzi osoby należące do partii Prawo i Sprawiedliwość czy, szerzej, do koalicji Zjednoczona Prawica. Natomiast silną grupą nacisku jest Kościół katolicki rozumiany instytucjonalnie – czy nawet wężiej, hierarchicznie. Biskupi nie biorą bezpośrednio odpowiedzialności za podejmowanie decyzji państwowych, ale wytworzył się system przypominający okres II Rzeczypospolitej po zamachu stanu Józefa Piłsudskiego w maju 1926 r. System określany mianem cezaryzmu. Czujemy i widzimy, jaką rolę odgrywa jeszcze Jarosław Kaczyński, jakie podejmuje decyzje, ale wiemy też, jak bardzo stara się realizować oczekiwania i postulaty Kościoła hierarchicznego.

A nie przypomina to hasła rodem z PRL: partia kieruje, rząd rządzi? Czyli PiS rządzi, Kościół kieruje.

– To zależy, o jakich aspektach życia publicznego mówimy, bo jeżeli o kwestiach obyczajowych czy moralności, statusie mniejszości seksualnych, to niewątpliwie głos Kościoła jest decydujący. Rządzące ugrupowania prawicowe realizują postulaty Kościoła hierarchicznego, postępują zgodnie z oczekiwaniami artykułowanymi przez jego pasterzy. Dlatego obserwujemy odejście od zasady bezstronności władz publicznych w sprawach religijno-światopoglądowych, która jest zawarta w art. 25 ust. 2 Konstytucji RP. To odejście można dostrzec choćby w uzasadnieniach niektórych ustaw,



DR HAB. PAWEŁ BORECKI

– Zakład Prawa Wyznaniowego UW

np. dotyczącej zakazu handlu w niedzielę. Mamy w niej ewidentne odwołanie do doktryny i myśli katolickiej. Już to świadczy o odrzuceniu bezstronności ustawodawcy w sprawach światopoglądowych.

Teraz mamy projekt ustawy o ochronie wiary katolickiej.

– To na razie projekt – jeszcze formalnie niezgłoszony, ale na pewno będzie – nowelizacji Kodeksu karnego przedstawiony przez środowiska polityczne skupione wokół ministra sprawiedliwości-prokuratora generalnego. Projekt ten wyraźnie chroni religię, znacznie rozszerza zakres kryminalizacji niektórych czynów, np. godzenia w dogmaty religijne. Gdy projekt ten stanie się prawem, to nie wiem, jak będzie można mówić, że w Polsce obowiązuje zasada bezstronności, czyli neutralności państwa w sprawach religii i przekonań.

Klerykalizacja ma miejsce również w orzeczeniach sądów. Także tych najwyższych szczebli. Nie ma pan poczucia, że obserwujemy rozszerzające się zjawisko przyjmowania prawa kanonicznego do polskiego porządku prawnego?

– Zapoczątkowane to zostało przez orzecznictwo Sądu Najwyższego jeszcze w końcu lat 90. i zaczęło występować w sprawach cywilnych, a dotyczy reprezentacji kościelnych osób prawnych w obrocie cywilnoprawnym. Orzeczenia Naczelnego Sądu Administracyjnego w praktyce nie służą pełnej ochronie danych osobowych. Prawo jednostki do prywatności przegrało z tzw. autonomią instytucji kościelnych, którym przyznane zostało pierwszeństwo. NSA ugiął się pod presją potężnej instytucji kościelnej i nie stanął po stronie jednostki mającej prawo do zachowania prywatności, w tym wypadku do usunięcia danych z ksiąg parafialnych.

Niestety, RODO, czyli rozporządzenie o ochronie danych osobowych wprowadzone przez decyzje organów Unii Europejskiej w 2016 r., również szeroko otwiera ramy polskiego porządku prawnego na prawo kanoniczne. To niebezpieczne. Otwarcie godzi w bezpieczeństwo obrotu prawnego, wymusza znajomość prawa kanonicznego przez osoby świeckie.

Prokuratorzy, wraz z tymi z Prokuratury Generalnej, też nie są bez grzechu.

– Prokuratorzy mają ogromny problem z właściwym rozumieniem rozdziału państwa od Kościoła. Zastaniają się respektowaniem autonomii instytucji kościelnych i odstępują np. od poszukiwania dokumentów dotyczących przestępstw pedofilii, których dopuszczali się duchowni. Nie chcą wkraczać na tereny kurii, uważając, że ten obszar jest wyłączony spod jurysdykcji państwa, bo chroniony przez zasadę autonomii Kościoła.

Autonomia Kościoła nie jest absolutna, są przecież wartości, przed którymi musi ona ustąpić. Do nich w szczególności należy porządek publiczny.



Prokurator generalny ma poglądy klerykalne i one wpływają na działania całej prokuratury. Nz. Zbigniew Ziobro na 30. urodzinach Radia Maryja, Toruń, 4 grudnia 2021 r.

– Zwłaszcza w sprawach, gdzie łamane są podstawowe prawa i wolności innych osób. A już szczególnie, gdy mamy chronić dzieci przed pedomofilami w sutannach. Prokuratura powinna mieć odwagę wkroczyć na tereny kościelne, jak chociażby w Belgii, gdzie policja rozbijała krypty kościelne w poszukiwaniu dokumentów wskazujących na winę podejrzanych o pedofilię. Nie mówię, żeby prokuratura od razu podejmowała takie spektakularne działania, ale powinna mieć odwagę wkroczyć do kurii.

Słyszal pan o jakimś prokuratorze, który miał odwagę wystać ekipę, już nie mówię o godz. 6 rano, w celu zajęcia dokumentacji kościelnej traktującej o pedofilii duchownego czy grupy duchownych?

– Nie słyszałem. Niestety, prokurator generalny ma poglądy klerykalne i one wpływają na działania całej prokuratury. Prokuratorzy boją się reakcji swojego zwierzchnika, boją się odwołania, przesunięcia na gorsze stanowisko służbowe.

Władza nie tylko jest posłuszna biskupom, ale też chętnie pojawia się w ich otoczeniu.

– Nie można mówić o świeckim państwie, skoro państwowe

uroczystości nie mogą się odbyć bez duchownego, najlepiej biskupa. Jesteśmy świadkami święcenia przez duchownych katolickich nawet rzeczy błahych, poczynając od radio-wozów i komend policji po restaurację McDonald's. W zasadzie we wszystkich instytucjach publicznych wiszą krucyfiksy, poczynając od sali posiedzeń Rady Ministrów, na urzędach pocztowych kończąc. Do tego

Prokuratorzy nie chcą wkraczać na tereny kurii, uważając, że ten obszar jest wyłączony spod jurysdykcji państwa.

dochodzi wątpliwie uregulowana prawnie obecność duszpasterstw w różnego rodzaju instytucjach publicznych, w policji, straży pożarnej, służbie celnej, Krajowej Administracji Skarbowej, Straży Granicznej. Można by tak długo wymieniać.

Klerykalizacja jest coraz bardziej widoczna w oświacie. Minister oświaty to klerykał...

– Wręcz bigot! I robi wszystko, by swoje poglądy religijne przenieść do systemu oświaty. W przedszkolach i szkołach publicznych mogą wisieć wyłącznie krzyże, żadne inne symbole

religijne. Najpóźniej w przyszłym roku szkolnym młodzież zostanie pozbawiona możliwości nieuczestniczenia w zajęciach z religii lub etyki.

I wszystko wskazuje, że lekcje etyki będą ukrytą formą edukacji, a raczej indoktrynacji religijnej.

– Która narusza prawo rodziców do wychowania dzieci zgodnie z ich przekonaniami, co gwarantuje art. 48 ust. 1 Konstytucji RP. Narusza nawet prawa uczniów, bo oni też mają prawo wybierać, jaką edukację w sferze wyznania i światopoglądu chcą pobierać.

Nasi uczniowie nie mają takich praw jak np. w Niemczech.

– W RFN już 14-latek może legalnie zmienić wyznanie, stać się bezwyznaniowcem, nie uczestniczyć np. w zajęciach z religii. W Polsce młody człowiek, dopiero gdy ukończy 18 lat, może decydować, czy chce chodzić na lekcje religii, czy etyki.

W dużych miastach rośnie odsetek młodzieży odrzucającej lekcje religii.

– Tak, ale przed 18. rokiem życia musi to nastąpić za zgodą rodziców. Owo odrzucanie daje wiele do myślenia. Prowadzi głównie do wniosku, że młodzi dostrzegli niegodziwość wielu ludzi Kościoła i jego identyfikację z ekipą rządzącą.

Polscy hierarchowie, zdaje się, nie odczytują takich znaków czasu.

– Popępnili fatalny błąd, wyraźnie wiążąc się z jedną opcją polityczną. Z drugiej strony dzięki temu osiągną

to, co chcą – ogromne korzyści nie tylko finansowe. Dzięki PiS hierarchia kościelna zabezpiecza wszystkie swoje interesy. Mówiąc najkrócej, wydaje się, że biskupi „kuja żelazo, póki gorące”, bo później może nie być tak dobrze.

Bilans tego kucia jest dość przygnębiający. Doprowadził do ogromnych podziałów w społeczeństwie.

– Nie tylko do tego. Doprowadził do wskazania, że w Polsce są obywatele, całe grupy społeczne, gorszej kategorii. To są osoby nieheteronormatywne, mniejszości ▶

► wyznaniowe i światopoglądowe, wreszcie – polskie kobiety w wieku reprodukcyjnym, które na skutek orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego z 22 października 2020 r. zostały zepchnięte na pozycję gorszej warstwy społecznej. Powiem może ostro, może zbyt jednoznacznie, ale wydaje mi się, że według biskupów najlepszymi ludźmi są biali, heteronormatywni katolicy, czyli mężczyźni wyznania rzymskokatolickiego, narodowości polskiej. Już przed laty mówiłem, że PiS i jego akolici uczynili Polskę państwem wyznaniowym. Trzeba będzie wiele zrobić, by odrzucić dzielenie ludzi na kategorie wyznaniowo-swiatopoglądowe.

Minister oświaty jest klerykałem, wręcz bigotem. I robi wszystko, by swoje poglądy religijne przenieść do systemu oświaty.

Łatwo nie da się tego zrobić, nawet jeśli PiS przegra. Przecież proces katolicyzacji nie występował tylko za rządów tej partii. Brała w niej udział również Platforma Obywatelska, nie pomijając Donalda Tuska.

– Ma pan rację, postawie Platformy, już nie mówię o Polskim Stronnictwie Ludowym, także uczestniczyli w tym procesie, który legitymizowany był orzecznictwem Trybunału Konstytucyjnego. Ta instytucja ma duże zasługi w klerykalizacji Polski. Spowalniano ten proces jedynie za rządów SLD i w samej końcówce rządów PO, kiedy ograniczono środki Funduszu Kościelnego do dofinansowania składek na ubezpieczenie społeczne i zdrowotne osób duchownych.

Co trzeba zrobić, by wejść na drogę rzeczywistego rozdziału Kościoła od państwa?

– Jeżeli ten proces ma nastąpić w sposób legalny, cywilizowany, to w pierwszej kolejności trzeba dokonać zmian w konstytucji, w szczególności w art. 25. Wykluczyć w niej obligatoryjność konkordatu jako formy regulacji stosunków między państwem a Kościołem katolickim. Należałoby jednoznacznie wprowadzić do konstytucji zasadę rozdziału Kościoła i państwa oraz zasadę neutralności

światopoglądowej państwa. Następnie przystąpiłbym do renegotiacji konkordatu z 1993 r. Jeżeli mamy działać zgodnie z prawem i doprowadzić do jego rewizji w sposób legalny, to wypadałoby wystąpić do Stolicy Apostolskiej z zapytaniem, czy jest gotowa przystąpić do renegotiacji konkordatu ze względu np. na nowe uwarunkowania społeczno-polityczne.

Znając doświadczenie Watykanu w relacjach międzynarodowych, w zabezpieczaniu swoich interesów, można się spodziewać, że odpowiedź będzie negatywna.

– Uważam, że zasługujemy na dobry konkordat, jasno określający zasadę autonomii Kościoła w relacjach

z państwem i wzajemną niezależność tych instytucji. Konkordat powinien jak najprecyzyjniej regulować kwestie finansowe, a w ślad za nimi powinny iść nowe ustawy określające zasady finansowania Kościoła oraz opodatkowania instytucji kościelnych i duchowieństwa. Zwłaszcza należy zdecydować o likwidacji Funduszu Kościelnego, który istnieje od ponad 70 lat i, tak nawiasem mówiąc, nic nie wskazuje, żeby miał być zniesiony. Funkcjonowanie tego funduszu narusza zasadę bezstronności, czyli neutralności władz publicznych w sprawach religijno-swiatopoglądowych. Do tego nie wszystko jest w nim w pełni jawne.

Pełnej sekularyzacji wymaga oświata, będąca jednym z najważniejszych aspektów życia społecznego.

– Laicka, publiczna, bezpłatna oświata to był postulat polskiej lewicy z listopada 1918 r. Do dziś nie doczekał się pełnej realizacji. Jules Ferry, twórca francuskiej świeckiej, neutralnej światopoglądowo oświaty, głosił zasadę: „Szkoła bez Boga, ale nie przeciw Bogu”. Myślę, że to jest ideał, do którego powinniśmy dążyć, bo w takiej szkole mogłyby się spotkać różne światopoglądy, wyznania, a nie byłoby w niej miejsca na indoktrynację religijną.

Kroki prawne, które pan postuluje, mocno zahaczają o relacje z Watykanem. Moim zdaniem nie poprze on zmian. Gdyby tak było, polscy biskupi nie postępowaliby tak jak ostatnimi laty. Muszą mieć przynajmniej ciche poparcie Stolicy Apostolskiej.

– Mam te same obawy. Jeżeli Stolica Apostolska nie będzie chciała podjąć rozmowy na temat renegotiacji konkordatu czy jego doprecyzowania w formie np. dwustronnej deklaracji, trzeba będzie rozważyć jego wypowiedzenie. Powinno ono nastąpić zgodnie z zasadami prawa międzynarodowego, czyli konwencji wiedeńskiej o prawie traktatów z 1969 r., i zgodnie z normami prawa polskiego, określonymi zwłaszcza w konstytucji. Dlatego postuluje jej nowelizację, wyrażającą się likwidacją przepisu o obowiązku istnienia konkordatu między Polską a Watykanem. Dopiero wtedy można zacząć proces wypowiedzenia konkordatu. Oczywiście potrzebna będzie zgoda wielu ośrodków politycznych. Parlamentu, rządu i prezydenta RP, on bowiem ewentualnie będzie formalnie wypowiadał konkordat, jako że w polskim systemie prawnym to on zawiera i wypowiada umowy międzynarodowe. Trzeba jednak liczyć się z tym, że ugrupowania klerykalne ustawę upoważniającą prezydenta do wypowiedzenia konkordatu zaskarżą do Trybunału Konstytucyjnego. Proces wypowiedzenia będzie trudny, żeby nie powiedzieć niemożliwy, ale trzeba próbować. We Włoszech debata nad rewizją konkordatu laterańskiego z 1929 r. trwała kilkadziesiąt lat. **Uważam, że wychodzenie dziś z hasłem: wypowiedzieć konkordat nie ma racji bytu. Lepiej mówić: będziemy realizować ten konkordat i nie będziemy Kościołowi dawać więcej, niż jest w nim zapisane.**

– Rzeczywiście w konkordacie z 1993 r. nie ma wielu przywilejów, korzystnych rozwiązań, które Kościół mimo to uzyskał, żeby nie powiedzieć wydusił na rządzących. Ot, choćby finansowanie katechetów, funkcjonowanie duszpasterstw w różnych służbach państwowych czy dotacje dla papieskich wydziałów teologicznych i Uniwersytetu Papieskiego Jana

Pawła II w Krakowie. Niemniej jednak uważam, że trzeba doprowadzić do jasnych regulacji prawnych określających rozdział Kościoła od państwa. **I trzeba liczyć, że rządzące, laickie ugrupowania będą miały dostateczną siłę polityczną, a także odwagę, by wejść na drogę konfrontacji z biskupami i proboszczami.**

– Wspieranymi zapewne przez klerykalną opozycję, która będzie organizować prokościelne akcje i demonstracje. Dlatego mówię, że trzeba w pierwszej kolejności spróbować przeprowadzić korzystną dla państwa interpretację ogólnych przepisów konkordatu. Generalnie uważam, że traktat z 28 lipca 1993 r., który funkcjonuje obecnie, został źle sformułowany. Polska konkordat mieć powinna, bo jest to wyraz politycznego rozsądku. Kościół katolicki jako wspólnota religijna jest zbyt duży, żeby go ignorować, i w praktyce nie możemy nie posiadać umowy międzynarodowej regulującej stosunki państwo-Kościół. Być może optymalne byłoby nawet kilka umów szczegółowych zamiast jednej generalnej,

a przez to nazbyt ogólnej. Na przykład jedna dotycząca kwestii osobowości prawnej instytucji kościelnych, druga – spraw finansowych, trzecia – oświaty i spraw kultury. Tak jest chociażby w Hiszpanii. Zawarty przez Polskę w roku 1993 konkordat jest zbyt ogólnikowy, niepełny, zawiera wiele sformułowań nieprecyzyjnych, które stwarzają niemałe pole do interpretacji niekorzystnych dla interesów państwa.

Zbliżają się wybory. PiS będzie szukało poparcia wśród kleru, ale ten, widząc, co się święci, wystawi rachunek jeszcze przed nimi.

– Też jestem przekonany, że Kościół katolicki wykorzysta sytuację i od słabnącej partii Kaczyńskiego uzyska kolejne koncesje. Dlatego tak ważne jest, by wybory wygrała dzisiejsza opozycja, która będzie gotowa twardo bronić interesu państwa, a nie biskupów.

To się stanie tylko pod warunkiem, że ta opozycja będzie laicka, a nie prokościelna w wydaniu light.

– Sytuacja jest dynamiczna. Dość szybko następuje laicyzacja

społeczeństwa. Ona będzie wymuszać na rządzących uregulowanie stosunków państwo-Kościół na nowo. I dlatego opowiadam się za re-negocjacją konkordatu poprzez jego uszczegółowienie.

Czyli mamy podążać drogą, którą próbował iść rząd Cimoszewicza, drogą deklaracji?

– Owszem, choć rząd Cimoszewicza, a także prezydent Aleksander Kwaśniewski nie zadbali o to, żeby została ona ostatecznie i definitywnie włączona do dokumentów ratyfikacyjnych. I dlatego deklaracja została w dużej mierze zapomniana, sporadycznie występuje w orzecznictwie sądowym.

Straciła na znaczeniu, bo Watykan jej nie podpisał.

– Ale przyjął do wiadomości, nie protestował. Czyli uznał. A to, że kolejni rządzący jej nie doceniali i ją omijali, a także powody, dla których tak postępowali, to już sprawa na inną rozmowę.

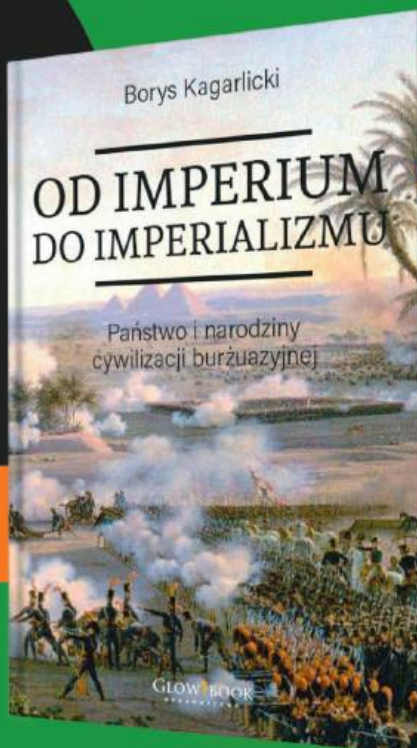
Paweł Dybicz

p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Błyskotliwa synteza dziejów systemu kapitalistycznego autorstwa wybitnego socjologa, lewicowego opozycjonisty wobec rządów Putina. Pasjonująca wędrówka przez wieki historii ludzkości ujętej jako jeden organizm – system-świat. Próba odpowiedzi na pytanie: czy czeka nas nowa globalna hegemonia?

**Zamów książkę u nas:
WWW.GLOWBOOK.NET**

Od listopada dostępna w sieci Empik i dobrych księgarniach.



„Borys Kagarlicki to jeden z najlepszych analityków politycznych naszego pokolenia”.

**Jonathan Steele,
„The Guardian”**

Aborcyjne zaklinanie rzeczywistości

Prawicowe media obwieszczają światu, że w Polsce aborcji właściwie nie ma

Anna Stachowiak

W Polsce są województwa bez aborcji! – triumfalnie donosi „Nasz Dziennik”. Czytamy, że w 2021 r. w naszym kraju przeprowadzono 107 aborcji. A w województwach lubuskim, warmińsko-mazurskim i podkarpackim nie wykonano ani jednego zabiegu. Autor wysnuwa stąd wniosek, jakoby wyrok Trybunału Konstytucyjnego z października 2020 r. ocalił wiele „nienarodzonych dzieci”. Istotnie, pewien wniosek z tych danych można wysnuć. Taki: Polska nie zapewnia kobietom dostępu do podstawowych świadczeń zdrowotnych.

29 aborcji do godz. 14

– Z artykułu w „Naszym Dzienniku” wynika, że w województwie mazowieckim wykonano 29 aborcji – mówi Natalia Broniarczyk z Aborcyjnego Dream Teamu. – Każdego

Według oficjalnych danych w 2021 r. w Polsce wykonano 107 aborcji.

dnia do godz. 14 robimy tyle aborcji w całej Polsce, więc to po prostu niemożliwe. Rozumiem, że tzw. obrońcy życia i organizacje popierające zakaz aborcji potrzebują takich publikacji, bo chcą mieć jakieś dowody, że forsowane przez nich – zresztą z sukcesem – prawo przynosi jakieś efekty.

Oczywiście, że aborcji jest o wiele więcej niż te przeprowadzane w szpitalach. Federacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny (Federa) szacuje liczbę zabiegów na 100-150 tys. rocznie. To aborcje farmakologiczne lub wykonywane za granicą.



Jak wylicza Natalia Broniarczyk, w Polsce od wyroku TK przy wsparciu ADT i Aborcji bez Granic wykonano 80 tys. aborcji, każdego dnia cztery osoby wyjeżdżają za granicę, by przerwać ciążę (gdy za późno na aborcję farmakologiczną). – Dane z tego tekstu to wyraz pogardy dla tych kobiet – dodaje członkini ADT.

Drakońskie prawo, owszem, efekty przynosi, ale nie w postaci spadku liczby aborcji. Nigdzie na świecie restrykcyjne prawo nie ogranicza liczby aborcji, powoduje wyłącznie, że odbywają się one przy zwiększonym ryzyku dla kobiet, zarówno w sensie medycznym, jak i prawnym, bo w niektórych krajach, takich jak Salvador, aborcja jest karalna. Polska zresztą też mogła dołączyć do tych państw, ale absurdalny projekt zrównujący aborcję z zabójstwem przepadł w Sejmie.

Poza systemem

Faktem jest, że w porównaniu z rokiem 2020 liczba aborcji oficjalnych, wykonanych w szpitalach, spadła 10-krotnie. Jak wynika z danych Ministerstwa Zdrowia,

w 2020 r. w Polsce wykonano 1074 zabiegi, z czego 1053 z powodu wad płodu. Czyli skorzystano z przesłanki embriopatologicznej, która zgodnie z ustawą z 1993 r., zwaną tyleż górnolotnie, co nieadekwatnie „kompromisem”, pozwala na usunięcie ciąży w przypadku upośledzenia płodu i/lub występowania wad letalnych. W 2021 r. aborcji – zgodnie z oficjalnymi danymi – wykonano 107.

„Jest to liczba żenująco niska, ponieważ osób potrzebujących aborcji jest dużo, dużo więcej. Tylko większość aborcji odbywa się poza systemem – tabletkami w domu lub w zagranicznych klinikach aborcyjnych. Jako Federa szacujemy jednak, że w polskich szpitalach odbyło się więcej aborcji z powodu zagrożenia zdrowia psychicznego, ale z obawy przed władzą zostały one inaczej ujęte w szpitalnych statystykach, np. jako poronienie. Skąd takie przypuszczenie? Od wydania wyroku Trybunału Konstytucyjnego udzieliliśmy porad setkom kobiet, które dowiedziały się z badań prenatalnych o ciężkich wadach płodu i w związku z tym ich stan psychiczny zaczął się pogarszać. Poinformowałyśmy je, że w Polsce zgodnie z ustawą możliwa jest aborcja z powodu zagrożenia zdrowia, również psychicznego, poleciłyśmy psychiatrę, wytłumaczyłyśmy ścieżkę prawną. Każda z tych kobiet była na nią zdecydowana. Było ich więcej niż 107”, pisały po publikacji tych danych działaczki Federy.

Spadek i tak fałszywie niskiej liczby aborcji dokonywanych w szpitalach to oczywiście pokłosie wyroku Trybunału Konstytucyjnego pod przewodnictwem mgr Julii Przyłębskiej, który 22 października 2020 r.

uznał przesłankę embriopatologiczną za niezgodną z konstytucją. Wyrok, który wszedł w życie w styczniu 2021 r., sprawił, że lekarze boją się kwalifikować pacjentki do aborcji, a Polki odkładają decyzję o ciąży. Obecnie ciążę można w Polsce przerwać legalnie, wyłącznie jeśli stanowi zagrożenie dla zdrowia i/lub życia kobiety oraz gdy jest wynikiem czynu zabronionego. Oznacza to, że tylnymi drzwiami wprowadzono de facto całkowity zakaz aborcji. Oczywiście skuteczny wyłącznie na papierze.

Cudowne Podkarpackie

„Nasz Dziennik” triumfalnie donosi, że są województwa bez aborcji. „Jak dowiedzieliśmy się w Ministerstwie Zdrowia, jedynie w trzech z nich – lubuskim, podkarpackim i warmińsko-mazurskim – w ubiegłym roku nie zabito ani jednego dziecka”.

Mec. Kamila Ferenc z Federy: – Kobiety, które podejmują decyzję o przerwaniu ciąży, powinny mieć możliwość skorzystania w tym zakresie z bezpłatnej opieki medycznej. Statystyki aborcji w województwach podkarpackim, warmińsko-mazurskim i lubuskim udowadniają, że opieka ta w ogóle nie jest dostępna, często wbrew prawu, które wciąż jeszcze gwarantuje dostęp do aborcji z powodu zagrożenia zdrowia lub życia.

Fakt, że w tych trzech województwach nie wykonano oficjalnie ani jednego zabiegu terminacji ciąży, niespecjalnie dziwi. Podkarpackie od lat pozostaje białą plamą na aborcyjnej mapie Polski. Wiedząc o tym, że większość lekarzy (a nawet całych placówek) posługuje się klauzulą sumienia, Federa postanowiła sprawdzić, jak w praktyce wygląda dostępność legalnej aborcji na Podkarpaciu. Już w 2019 r., zaalarmowana informacjami od kobiet z tej części Polski, zapytała dyrektorów pięciu szpitali, czy gwarantują pacjentkom dostępność aborcji. Szefowie czterech placówek odpowiedzieli zdecydowanym „NIE”; z piątego szpitala przyszła odpowiedź: „Brak osób zgłaszających potrzebę przeprowadzenia zabiegu”,

nie ma procedury postępowania. Czyli piąte „NIE”.

„Pacjentki są informowane, że niemal cały personel lekarzy i położnych podpisał klauzulę sumienia (ergo nie ma możliwości przeprowadzenia zabiegu), przy czym wyegzekwowanie odmowy na piśmie – w tym i innych szpitalach – graniczy z cudem. Brak dowodów na piśmie uniemożliwia zaś podjęcie

Każdego dnia cztery osoby wyjeżdżają za granicę, by przerwać ciążę.

działań prawnych wobec jednostek czy instytucji, które naruszają prawa pacjentek. Co gorsza, brak śladów w dokumentacji oznacza, że podmioty nadzorujące placówki nie widzą problemu, a przez to potrzeby interwencji”, opisuje problem Federa.

Kamila Ferenc: – Doświadczenie Federacji pokazuje, że lekarze bezprawnie odmawiają aborcji lub po prostu każą pacjentkom czekać w nieskończoność, skazując je na cierpienie. Ale są i dobre wieści – wbrew oficjalnym danym aborcji z powodu zagrożenia zdrowia psychicznego było więcej, w zeszłym roku monitorowałyśmy co najmniej 300 takich przypadków. Zakładamy jednak, że aborcje te odnotowywane są w szpitalach jako poronienia, martwe urodzenia lub inne zabiegi

w trakcie ciąży chcianej i planowanej, bo obawiają się, że lekarze będą czekać i robić wszystko, by nie przeprowadzić aborcji – zwraca uwagę. Przywołuje historię kobiety, która po prywatnie zrobionym badaniu prenatalnym dowiedziała się, że wykryto wady płodu. Bała się iść do szpitala, w którym we wrześniu ub.r. zmarła Izabela z Pszczyny (jej tragiczna śmierć była impulsem do protestów pod hasłem „Ani jednej więcej”). – Ta dziewczyna mówi nam: boję się, że tam nikt mi nie pomoże – podkreśla Broniarczyk.

Daje też inny przykład: kobiety, która leżała w szpitalu z sączącymi się wodami płodowymi, a lekarz podawał jej progesteron. – Ten strach kobiet jest naprawdę poza skalą – mówi z goryczą.

Były, są, i będą

Zadowolenie prawicy, którego przejawem jest m.in. kuriozalny tekst w „Naszym Dzienniku”, to nic innego jak pełna satysfakcji hipokryzja podzielona równo na tabelki w Excelu. „Niestety, ale rządzący nie pokwapili się z opublikowaniem wyroku TK – nastąpiło to dopiero pod koniec stycznia 2021 r. Wyrazny spadek liczby zabitych dzieci pokazuje, jak ta zmiana była potrzebna”, ubolewa i tak cytowany przez gazetę dr Artur

Od wyroku Trybunału Konstytucyjnego przy wsparciu ADT i Aborcji bez Granic wykonano 80 tys. aborcji.

ginekologiczne – po to by uniknąć uciążliwych demonstracji antyaborcyjnych pod szpitalami.

Natalia Broniarczyk mówi, że jest w stanie uwierzyć w zero aborcji na Podkarpaciu. Zaznacza przy tym, że ani Aborcyjny Dream Team, ani inne organizacje nie mają zwyczaju pytać, skąd dzwonią kobiety potrzebujące pomocy. – Przesyłki z tabletkami są wysyłane do miejsc w całej Polsce, także do miasteczek i malutkich wsi, na południu Polski. Te kobiety boją się iść do szpitala również wtedy, kiedy dzieje się coś niepokojącego

Dąbrowski, prezes Akcji Katolickiej Archidiecezji Częstochowskiej. Zmiana potrzebna była wyłącznie PiS do realizowania politycznej agendy, bo z ochroną jakiegokolwiek życia nie ma nic wspólnego. Liczba aborcji nie zmniejszyła się. Zmniejszył się wyłącznie dostęp do podstawowej opieki zdrowotnej, a Polska wykonała kilkanaście kroków w tył w zakresie ochrony praw kobiet. Przy okazji naraziła je na poważne ryzyko zdrowotne. I tyle. Aborcje były, są i będą. Nawet jeśli Ministerstwo Zdrowia udaje, że tego nie wie. ■

Marcin Ogdowski

Historią z Wejherowa przez jeden wieczór żyła niemal cała Polska. Pewien 34-latek postawił się lokalnej straży miejskiej. Złapany na gorącym uczynku, gdy palił w kozie wiórowymi płytami meblowymi, co z uwagi na szkodliwe emisje jest w Polsce czynem zabronionym, nie przyjął mandatu w wysokości 500 zł. Wejherowianin uznał, że prawo go nie obowiązuje, bo... Jarosław Kaczyński „pozwolił palić wszystkim”. I faktycznie. „Trzeba palić wszystkim, poza oponami czy podobnymi szkodliwymi rzeczami, bo Polska musi być ogrzana”, stwierdził we wrześniu br. lider PiS na spotkaniu z mieszkańcami w Nowym Targu. „Takie pozwolenie nie stanowi normy prawnej”, czytamy w komunikacie straży, która sprawę skierowała do sądu.

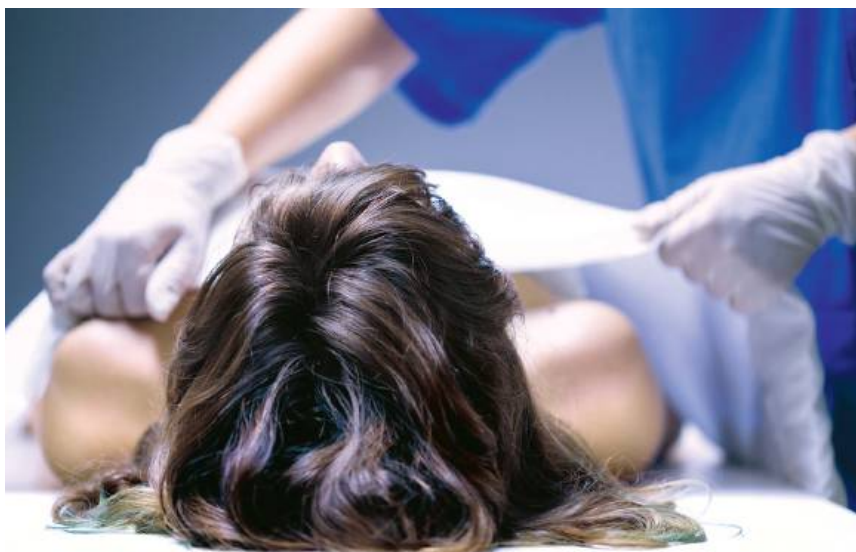
Demograficzna katastrofa

Mimo humorystycznej wymowy ów przypadek dobrze ilustruje poważny problem. Słowom prezesa PiS towarzyszyło cofnięcie przez rząd zakazu palenia w piecach miałem węglowym i węglem brunatnym. Ich spalanie – zwłaszcza drugiego, zanieczyszczonego siarką – jest wyjątkowo szkodliwe dla naszego zdrowia. Pisowskie „palta, co chceta” – reakcja na kryzys energetyczny narastający po wybuchu wojny w Ukrainie – to typowa odpowiedź partii władzy na „przespany” problem. Zepchnięcie odpowiedzialności na zwykłego człowieka, przy jednoczesnej pogardzie dla obowiązujących norm, także prawnych. Ale nie tylko o dezynwolturę wobec prawa chodzi. Smog, będący u nas głównie efektem palenia w piecach, zabija rocznie 40 tys. Polaków. Sezon ciepłowniczy w realiach kryzysu oznacza, że ofiar „ogrzania Polski” będzie jeszcze więcej.

Tymczasem już teraz jesteśmy świadkami demograficznej katastrofy. „Covidowe” lata 2020-2021 były najgorszymi od zakończenia II wojny światowej, jeśli chodzi o umieralność. W pierwszym roku pandemii

ŚMIERĆ zasadniczo opisana

Teoretycznie wiemy, na co umierają Polacy. I ile jest zgonów. Ale to zaburzony obraz



zmarło 477 tys. Polaków, w drugim 519 tys. Zgonów bezpośrednio związanych z koronawirusem odnotowano wówczas nieco ponad 100 tys. (dwie trzecie w 2021 r.), drugie tyle było wynikiem okresowych zapaści w systemie opieki zdrowotnej, wywołanych rozmiarami pandemii (na covid odnotowano dotąd 6,3 mln zachorowań). Liczba wszystkich zmarłych w 2020 r. była wyższa o 68 tys. w porównaniu z rokiem minionym i aż o 100 tys. przekroczyła średnioroczną wartość z ostatniego półwiecza. Jeszcze tragiczniejszy rok 2021 wyznaczył szczyt, z którego wiele na to wskazuje – powołutku schodzimy. Dane Głównego Urzędu Statystycznego dotyczące trzech kwartałów 2022 r. mówią o 324 tys. zgonów, co pozwala przyjąć, że do końca grudnia (jeśli nie wydarzy się jakaś katastrofa) umrze łącznie nie więcej niż 450 tys. obywateli RP.

Należy przy tym zauważyć, że umieralność na terytorium Polski będzie wyższa z uwagi na obecność półtoramilionowej rzeszy ukraińskich uchodźców. Ich jednak krajowe statystyki nie obejmują.

Łagodniejący wirus

A na co umieramy? Niezależnie od „covidowych zawirowań” nadal uśmiercają nas przede wszystkim choroby układu krążenia. Odpowiadają za 40% zgonów, o czym na katowickim kongresie Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego mówił jego prezes, prof. Przemysław Mitkowski.

– Wiemy, na podstawie raportu Państwowego Zakładu Higieny-Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego, że w 2020 r., w porównaniu z 2019 r., o 17% wzrosła liczba zgonów z przyczyn sercowo-naczyniowych

– informował szef PTK podczas wrześniowych obrad.

Drugie miejsce zajmują choroby nowotworowe. W latach 2020-2021 odpowiadały one za jedną piątą zgonów. Największe śmiertelne żniwo zbierał, niezależnie od płci, rak tchawicy, oskrzeli, płuc, w przypadku mężczyzn rak prostaty, kobiet – nowotwór piersi i szyjki macicy.

Wspomniany okres upłynął pod znakiem pandemii, co przełożyło się na niemal 9% zgonów w 2020 r. i 18% w 2021 r., będących skutkiem covidu. Od 1 stycznia br. do końca października z powodu koronawirusa zmarło 18 tys. Polaków. Jak dotąd nie sprawdziły się apokaliptyczne zapowiedzi z początku roku o kolejnej wyjątkowo śmiertelnej mutacji. Przeciwnie, mamy do czynienia z łagodnieniem wirusa, co wraz z potowiczynem (ale zawsze) sukcesem kampanii szczepiennej daje powody, by przypuszczać, że odsetek covidowych zgonów za 2022 r. będzie oscylował na poziomie 5-6%.

W ciągu tych dwóch lat tylko 5% śmierci wynikało z chorób układu oddechowego. Pozornie przeczy to doniesieniom o rokrocznym 40-tysięcznym pokłosisu smogu. Tyle że potoczne skojarzenia z „duszącym dymem” nie oddają istoty rzeczy. Smog powoduje – obok astmy, obturacyjnej choroby płuc (z zapaleniem włącznie) oraz niewydolności oddechowej – nowotwory (płuc, górnych dróg oddechowych), niewydolność krążenia,

drogowe – w minionym roku zginęło w takich zdarzeniach 2,2 tys. osób (550 na kwartał), a do początku października życie na drogach straciło nieco ponad 1,2 tys. osób (470 na kwartał). Polacy najwyraźniej jeżdżą ostrożniej, co może mieć związek z wprowadzeniem dotkliwszych mandatów. Co zaś się tyczy zabójstw – stanowią one śladowy odsetek zgonów w skali kraju. Warto odnotować duży spadek w ciągu ostatnich

Smog, będący u nas głównie efektem palenia w piecach, zabija rocznie 40 tys. Polaków.

dwóch dekad. Zestawienie zabójstw za rok 2000 i 2021 wygląda następująco – 1325 wobec 625.

Nierzetelność i sceptycyzm

Zasadniczo więc wiemy, co zabija Polaków – zasadniczo. Zaburzony obraz to sprawa tzw. *garbage codes* – kodów śmieciowych. Lekarze mają obowiązek podawania w karcie zgonu jego przyczyny. Z kodowaniem śmieciowym mamy do czynienia, gdy opis wykonany przez medyka nie daje pewności, na co konkretnie zmarła dana osoba. Jest np. zbyt ogólny („miażdżyca”, „śmierć nagła”/„naturalna”). Od ponad 20 lat dotyczy to zwykle jednej czwartej wszystkich zgonów w kraju. W efekcie Światowa Organizacja

stoi w sprzeczności z logiką praktyki medycznej. Ta ostatnia, mająca do czynienia z czymś tak złożonym jak ludzki organizm, często nie pasuje do sztywnych przegródek i jasno zdefiniowanych klasyfikacji.

To oczywiste, tyle że polskie statystyki zgonów są wyjątkowo zaśmieczone na tle innych raportowanych do WHO. Z czego to wynika? – To pochodna niedofinansowania i fatalnej organizacji systemu – twierdzi

socjolog medycyny z Torunia. – Niedofinansowania, ponieważ w Polsce maleje liczba wykonywanych sekcji zwłok. Z kolei przeciążenie lekarzy i zły podział obowiązków administracyjnych wśród personelu medycznego powodują zaniedbania na poziomie biurokratycznym, również w raportowaniu zgonów.

Tymczasem statystyki są potrzebne do sprawnego zarządzania, np. do racjonalnej alokacji środków. Jeżeli chcemy inwestować w jakąś dziedzinę medycyny (choćby promować określone specjalizacje medyczne, rozwijać specjalistyczne kliniki), musimy wiedzieć, które problemy zdrowotne Polaków są najdotkliwsze. Bez rzetelnych danych błądzimy.

– Złe statystyki mogą mieć też negatywne konsekwencje społeczne – dodaje mój rozmówca. – W trakcie pandemii dane o zgonach były ważnym składnikiem debaty publicznej. Ich nierzetelność może rodzić sceptycyzm i spowodować brak zaufania do wiedzy eksperckiej. Skoro lekarze nie do końca wiedzą, na co umieramy (a takie powstaje wrażenie, gdy zgony w dużej liczbie raportuje się za pomocą kodów śmieciowych), to właściwie dlaczego mielibyśmy im wierzyć? Z tej perspektywy bałagan w statystykach jest wodą na młyn grup antyszczepionkowych, które wykorzystują go, by podważać bezpieczeństwo szczepionek czy nawet realność całej pandemii.

Ale to już zupełnie inna historia.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

Choroby układu krążenia odpowiadają za 40% zgonów.

zawały serca i udary mózgu. Zabija wieloletnią ekspozycją i niebezpiecznymi powikłaniami. Wpływa zatem na inne statystyczne kategorie.

W publicznym dyskursie dużo uwagi poświęca się śmierciom gwałtownym, będącym efektem samobójstwa, wypadku komunikacyjnego czy zbrodni. Przez 20 kolejnych lat po 2000 r. życie odbierało sobie średnio 4,8 tys. Polaków, bieżący rok nie odbiega od normy (w danych za trzy kwartały odnotowano 3,8 tys. ofiar samobójstw). Szykuje się za to pozytywna zmiana, jeśli chodzi o wypadki

Zdrowia (WHO) wykluczyła Polskę z analiz porównawczych umieralności według przyczyn. W Czechach odsetek *garbage codes* wynosi 15%, w Niemczech 14%, na Węgrzech nie przekracza zaś 7%.

– Śmieciowe kody to rzecz naturalna w medycynie – zauważa prof. Michał Wróblewski z Instytutu Socjologii UMK. – Stwierdzenie zgonu jest niekiedy bardzo trudnym zadaniem. Klasyfikacja medyczna, choć jest koniecznością z perspektywy zarządzania systemem ochrony zdrowia, do pewnego stopnia

Wszystkie kłopoty Trumpa i co z nimi robi

Powrót do Białego Domu może być jedyną szansą, by eksprezydent nie poszedł za kratki

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Wystartuje czy nie wystartuje? Pytania o plany Trumpa na rok 2024 towarzyszą nam już od prawie dwóch lat. Nie wykluczam, nie potwierdzam, a kto pyta? – Trump z właściwą sobie dezynwolturą do tej pory raczej wszystkich zwodził. Dopiero 22 października podczas wiecu w Robstown w Teksasie oświadczył: „Startowałem dwa razy. Wygrałem dwa razy. Za drugim razem poszło mi lepiej niż za pierwszym. A teraz, by znów uczynić nasz kraj pięknym, bezpiecznym i szczęśliwym, prawdopodobnie będę musiał zrobić to ponownie”.

Brzmi to jak konkretna deklaracja, ale dlaczego Trump mówi o tym właśnie teraz? Pierwsza odpowiedź – chce pomóc republikanom w *mid-terms*, połówkowych wyborach parlamentarnych (8 listopada Amerykanie wybiorą cały 435-osobowy skład Izby Reprezentantów, 34 członków 100-osobowego Senatu i 36 gubernatorów stanów – przyp. red.) – nasuwa się niemal automatycznie. Tyle że jest niewłaściwa. Kto uważnie śledzi życie byłego prezydenta, w mig połączy Robstown z wydarzeniami z tygodnia poprzedzającego wiec. I równie szybko zrozumie, że w oświadczeniu Trumpa wcale nie słowa o prezydenturze były najważniejsze, lecz fraza „a teraz”.

Trump gwałcił

Co się stało? 19 października Trump składał zeznania w sądzie w toczącej się przeciw niemu sprawie o znieważenie dziennikarki E. Jean Carroll. Carroll w 2019 r. oskarżyła



22 października, podczas wiecu w Robstown, Donald Trump zasugerował, że będzie ponownie startował w wyścigu prezydenckim.

Trumpa o gwałt, którego miał się dopuścić wobec niej w połowie lat 90. XX w. Ale Trump, wtedy jeszcze prezydent, w odpowiedzi oskarżył Carroll o kłamstwo motywowane politycznie. Od tego czasu sprawa tkwiła w martwym punkcie, gdyż prawnicy Trumpa zasłonili go nader pomysłowo skonstruowaną tarczą: odpowiadając na oskarżenie Carroll, Trump w istocie udzielał odpowiedzi dziennikarzowi, na konferencji prasowej występował zaś jako urzędnik państwowy, w związku z czym można uznać, że pozwanym jest tu cały rząd federalny. A że rządu pozywać o znieważenie nie wolno, sprawa automatycznie nie istnieje.

Pech chciał, że stan Nowy Jork zmienił w maju br. przepisy odnośnie do ścigania przestępstw na

tle seksualnym i zezwolił ich ofiarom na wnoszenie pozwów niezależnie od tego, jak dawno temu doszło do przestępstwa. Carroll zapowiedziała, że ma zamiar ponownie oskarżyć Trumpa – możliwe, że jeszcze przed końcem tego roku – a sędzia zajmujący się poprzednią sprawą też postanowił do niej wrócić, przypominając, że przecież jeszcze się nie skończyła. Wezwał Trumpa do złożenia zeznań i przestrzegł, że ponowna odmowa (do tej pory Trump nie odpowiedział na ani jedno wezwanie) będzie użyta przeciwko niemu w nowym procesie, jeżeli Carroll go zainicjuje.

Trump oszust i naciągacz

A to niejedynie „nowe kłopoty prawne”, które przyniósł Trumpowi

tegoroczny październik. Trudno nie przywołać tu pewnej amerykańskiej tradycji związanej z wyborami, znanej jako „październikowa niespodzianka”. Ponieważ wybory w USA, i prezydenckie, i parlamentarne, zawsze odbywają się w pierwszych dniach listopada, walczące strony zwykle chowają asa w rękawie aż do ostatnich tygodni kampanii. Bywa, że taki as faktycznie zmienia bieg wydarzeń. W 1980 r. „październikową niespodzianką” był kryzys zakładników w Iranie. Ronald Reagan wykorzystał go w kampanii przeciwko Jimmy’emu Carterowi, twierdząc, że Carter celowo opóźnia komunikat o uwolnieniu zakładników, by zrobić to w przeddzień wyborów. W październiku 2016 r. wyborcy dowiedzieli się o aferze mejlowej, której niechlubną bohaterką była Hillary Clinton (chodziło o przechowywanie rządowych mejli na prywatnych urządzeniach). „Te rewelacje kosztowały i Cartera, i Clinton przegrane wybory”, przypomina Devlin Barrett, autor książki „October Surprise”.

Również 19 października br. sąd oddalił wniosek Trumpa, by przenieść postępowanie przeciwko jego flagowemu biznesowi The Trump Organization o oszustwa podatkowe i nieuczciwe praktyki biznesowe. Trump usilnie zabiegał, by zamiast przed Sądem Najwyższym Nowego Jorku toczyło się ono w stanowym sądzie gospodarczym. Wówczas, nawet gdyby przegrał, nikt nie mógłby w przyszłości wytaczać firmie żadnych spraw podobnych do tej, która trwa, a co najważniejsze – pociągać do odpowiedzialności karnej jego samego ani żadnego z jego dzieci.

Trump wyzyskiwacz Polaków

Wyjaśnijmy dokładniej: to, że Trump dorobił się majątku w sposób niekoniecznie uczciwy i etyczny, było tajemnicą poliszynela na długo, zanim nowojorski biznesmen zainteresował się polityką. Polacy pamiętają zapewne skandal z udziałem nielegalnie pracujących rodaków, o którym zrobiło się głośno w kampanii prezydenckiej Trumpa.

W 1980 r., szykując teren pod budowę Trump Tower, aby zaoszczędzić,

Trump zatrudniał setki Polaków, którym płacił głodowe stawki, poniżej płacy minimalnej, a często nie płacił w ogóle. Nie zaopatrywał też pracowników w odzież ochronną, kaski i maski. Sprawa wylądowała w sądzie, Trump nie miał najmniejszych szans na wygraną i w efekcie poszedł z Polakami na ugodę (ponad 1,3 mln dol. zadośćuczynienia), czyli zrobił coś, czego rzekomo nigdy nie robi jako człowiek odnoszący wyłącznie sukcesy.

Trump śmiertelnie ranny drapieżnik

Księgowość i praktyki biznesowe The Trump Organization od dawna interesują nowojorski wydział sprawiedliwości i w chwili obecnej toczą się w związku z tym dwa postępowania. Cywilne przed Sądem Najwyższym Nowego Jorku z prokurator generalną stanu Nowy Jork Letitią

Jeśli republikanie wygrają wybory midterms, Trump – jak zawsze – przypisze to osiągnięcie sobie.

James jako stroną skarżącą oraz kryminalne prowadzone przez Alvina Bragga, prokuratora okręgowego na Manhattanie. Ważniejsze w tej chwili jest dochodzenie prokurator James, bo opiera się w dużej mierze na już potwierdzonych informacjach o przekrętach finansowych firmy uzyskanych w czasie śledztwa prokuratora Roberta Muellera od byłego prawnika Trumpa Michaela Cohena. Cohen został za nie osądzony i skazany na więzienie w 2018 r. Letitia James oskarża firmę Trumpa o to, że w latach 2011-2021 przedstawiała instytucjom finansowym i skarbowce fałszywe, zawyżone o miliardy dolarów, dane na temat wartości swoich nieruchomości, by w ten sposób otrzymywać dostęp do lukratywnych kredytów i niższych stóp procentowych. Wzbożaczka się dzięki temu o co najmniej 250 mln dol. Prokurator domaga się wysokich kar finansowych, uniemożliwienia firmie dalszej działalności w jej obecnej formie, a także dożywotniego zakazu prowadzenia w stanie Nowy Jork jakiejkolwiek działalności gospodarczej przez Trumpa

i rodzinną spółkę. Co jednak najistotniejsze, przegrana firmy w tej sprawie niemal na pewno pociągnie za sobą nowe pozwy kryminalne, wymierzone tym razem konkretnie w Trumpa i jego dzieci.

Eksperci, wśród nich Allan Lichtman z Uniwersytetu Amerykańskiego w Waszyngtonie, politolog i biograf prezydencki, który od 1984 r. prawidłowo przewidywał wyniki każdego wyborów prezydenckich, nie widzą przyszłości Trumpa w różowych kolorach. „Jest pogrzebany. Za dużo kłopotów, by był w stanie startować ponownie w wyborach, zakładając nawet, że jakimś cudem nie trafi za kratki i uniknie bankructwa”, uważa prof. Lichtman.

Trump zdaje sobie sprawę z zagrożenia i pewnie dlatego, po latach uników, w maju br. posłusznie stał się na zeznania w związku z pozwem Letitii James. Tyle że nic z tego

nie wynikło, bo odmówił odpowiedzi na każde z ponad 450 pytań, zastępując się 5. poprawką do konstytucji, stanowiącą o prawie obywatela do niezeznawania na swoją niekorzyść. I zapewne dlatego w odpowiedzi na październikową decyzję sądu o nieodbieraniu prokurator James jego sprawy zachowuje się jak zraniony drapieżnik. Wykorzystuje każdą okazję, by publicznie nazywać Letitię James rasistką (jest czarnoskóra), a jej pozew motywowanym politycznie polowaniem na czarownicę.

Trump osaczony z każdej strony

By nie przytłaczać szczegółami pozostałych spraw, jakie Trump ma na głowie, wymienię pokrótce tylko najważniejsze. Po znalezieniu przez FBI w sierpniu br. ponad setki ściśle tajnych dokumentów państwowych, ukrytych, choć niezabezpieczonych, w posiadłości Trumpa Mar-a-Lago na Florydzie, prokurator generalny USA Merrick Garland sprawdza, czy Trump jest w posiadaniu innych ważnych dokumentów i czy nie ▶

zostały one wywiezione z Waszyngtonu w celu osiągnięcia prywatnych lub politycznych korzyści.

Ten sam prokurator bada udział Trumpa w wydarzeniach z 6 stycznia 2021 r. Niezależnie zaś od Departamentu Sprawiedliwości śledztwa w tej samej sprawie prowadzą specjalna komisja kongresowa pod przewodnictwem Liz Cheney oraz policja. Policyjna akcja jest największą w historii tych służb i zaowocowała już kilkudziesięcioma wyrokami skazującymi. O ile komisja nie może nałożyć na nikogo żadnych kar, o tyle jej raport, w zależności od tego, co w nim się znajdzie, może stać się podstawą do wszczęcia dodatkowego postępowania kryminalnego przeciwko Trumpowi. Przed oblicze komisji wzywani są ludzie z coraz bliższego kręgu Trumpa, a po czerwcowym wystąpieniu w komisji Cassidy Hutchinson, byłej pracownicy Białego Domu, która zeznała, że Trump doskonale wiedział, iż tłum maszerujący na Kapitol jest uzbrojony, nakaz stawienia się na zeznania samego eksprezydenta wydaje się tylko kwestią czasu.

Wreszcie prokurator okręgowa hrabstwa Fulton w stanie Georgia, Fani Willis, prowadzi przeciwko Trumpowi sprawę o próbę obalenia stanowych wyników wyborów prezydenckich w 2020 r. Dowodem jest m.in. nagranie prawie godzinnej rozmowy telefonicznej Trumpa z republikańskim sekretarzem stanu Bradem Raffenspergerem z 2 stycznia 2021 r., w której Trump naciska na urzędnika, by ten „znalazł mu” 11 780 głosów, a słysząc odmowę, zaczyna Raffenspergera szantażować. Eksperti prawni są zdania, że Trump złamał w ten sposób stanowe i federalne przepisy odnośnie do postępowania wobec urzędnika państwowego.

Trump w kole ratunkowym immunitetu

Mam nadzieję, że udało mi się wyjaśnić, dlaczego słowa „a teraz” są kluczowe w quasi-deklaracji Trumpa o zamiarze ponownego startu w wyborach prezydenckich. Świetnie ujął to George Conway, mąż byłej doradczyny Trumpa w Białym Domu Kellyanne Conway, od dawna

zagorzały krytyk byłego prezydenta. „Zapędzony w kozi róg Trump wystartuje w wyborach, by tarcza immunitetu uchroniła go przed wyrokami, choć nie wiadomo, czy zdoła, bo będzie ich zbyt wiele. Tak czy inaczej, nawet jeśli otrzyma nominację, będziemy świadkami jego furii i publicznych wybuchów, jakich jeszcze nie oglądaliśmy”, ocenił 20 października w wywiadzie dla CNN. Przypomniał też, że już samo prowadzenie kampanii będzie dla Trumpa korzystne. Prawo zapewnia bowiem immunitet nie tylko już urzędującym notabdom, ale także kandydatom na stanowiska publiczne. Sędziowie wydający wyroki mogą być oskarżani o umyślne utrudnianie politykom prowadzenia kampanii.

Trump intrygant

Pozostaje pytanie, dlaczego Trump wciąż nie złożył ostatecznej deklaracji. Znając styl jego działania, można jednak się pokusić o odpowiedź. Otóż czeka na wyniki wyborów *midterms*, bo ma w związku z nimi plan.

Republikańscy kandydaci, szczególnie ci, którzy skradli mu pomysł i w swoich kampaniach jadą na przesłaniu, że wybory na pewno będą sfałszowane, radzą sobie zatrwającą dobrze. Za dobrą pasą republikanów stoi sporo innych czynników, przede wszystkim inflacja i drożyzna, ale nie można nie zauważyć, że sierpniowa rewizja FBI w Mar-a-Lago i podkreślenie przez prawników media przekazu, że Trump jest ofiarą politycznej wendety zmobilizowały republikański elektorat, a prawicowych polityków nieoczekiwanie zjednoczyły wokół nowego, nośnego hasła o krucjacie przeciwko „korupcji w instytucjach państwowych”. Jak wyjaśnił już w sierpniu Scott Jennings, doradca szefa senackiej mniejszości Mitcha McConnella, „dla kandydata, który nie chce odnosić się do teorii spiskowych, ale i nie chce ich zupełnie lekceważyć, hasło o korupcji w naczelnym instytucjach państwowych jest idealne. Czy lubi się Trumpa, czy nie, połowa Amerykanów uwierzy przecież, że sprawa jest motywowana politycznie”.

W chwili gdy powstaje ten tekst, tydzień przed wyborami, Nate Silver z prestiżowego ośrodka analitycznego FiveThirtyEight.com donosi: „Fala złości, która dodała demokratom siły po czerwcowej decyzji Sądu Najwyższego o obaleniu federalnego prawa do aborcji, nie wystarczy im do zwycięstwa. Badania pokazują, że republikanie prawie na pewno przejmą Izbę Reprezentantów, demokratom być może uda się zachować Senat”.

Jeśli republikanie rzeczywiście wygrały wybory, co zrobi Trump? To, co zawsze – przypisze to osiągnięcie sobie i sprzeda jako koronny dowód, że w oczach wyborców nic go nie obciąża i tylko on może za dwa lata znów wprowadzić republikanów do Białego Domu. Tak wzmocniony dopiero wtedy wyda oficjalny komunikat o swoich planach prezydenckich. Eksperti sądzą, że może to nastąpić jeszcze w listopadzie, na pewno zaś nie później niż do końca tego roku.

Powstrzymać ten plan mógłby wyrok skazujący w którymś z procesów, o ile wydano by go w miarę szybko. Najszybszą ścieżką byłby proces o szpiegostwo. Prokurator Garland podobno zgromadził już wystarczająco dużo dowodów, by postawić Trumpa w stan oskarżenia, a wówczas sprawa musiałaby trafić do sądu najdalej po 70 dniach, choć Trump na pewno próbowałby to opóźnić. Jest niestety jeden problem: żyjemy w przedziwnych czasach, gdy nawet w państwie zbudowanym na idei bezwarunkowej równości wszystkich wobec prawa wartość tej idei zaczyna być determinowana przez interes publiczny. W państwie tak podzielonym politycznie i zafiksowanym na teoriach spiskowych jak współczesna Ameryka nie można wykluczyć, że wsadzenie Trumpa za kratki wywoła nową wojnę domową. Wie to Garland i wiedzą to wszyscy demokraci. Nie wiadomo oczywiście, czy nie czeka nas dokładnie ten sam scenariusz, gdyby Trumpowi udało się ponownie zasiąść w fotelu prezydenta, ale to już temat na inną okazję. Jedno jest pewne – przyszłość rysuje się tak ciekawie, że aż strach o niej myśleć.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Czerwony sztandar

Już za parę dni wkroczą na ulice. Rozpalą pochodnie, wznicią pożary, zaryczą: „Śmierć wrogom ojczyzny!”. Czekamy na nich. 11 Listopada – święto niepodległości. Raczej: święto chuligana bezkarnego.

A powinno to być święto dla wszystkich. Dla wszystkich Polaków i wszystkich obywateli Rzeczypospolitej. Tymczasem jest to święto dla nich. Dla prawicy. Nie lubię prawicy, ale to nie ma nic do rzeczy. Bo gdyby ten dzień zawłaszczyła lewica, protestowałbym z nie mniejszą siłą. Czymże bowiem jest każde takie zawłaszczenie, jak nie zamachem na polską wspólnotę? Czymże jest, jak nie działaniem antypaństwowym i antynarodowym?

Oczywiście można poszukiwać przyczyn. Można je widzieć i w PRL, i w Polsce międzywojennej, i w Rzeczypospolitej przedrozbiorowej, bo każda z tych formacji była Polską nie dla wszystkich. Można je widzieć w czasach zaborów i narodowej opresji, bo tkwiła w nich zawsze wrogość do państwa, które było nie swoje, obce. A przecież III Rzeczpospolita miała być wreszcie swoją, własną i dla wszystkich. Bo zbudowały ją dwie siły, splecione przez lata w śmiertelnym uścisku: PZPR i Solidarność, władza i opozycja. Obie zbudowały ją w równym stopniu, każda w miarę swych sił i możliwości. Stworzyły najlepsze państwo w naszych dziejach: właśnie Polskę dla wszystkich.

Ale była to tylko piękna idea. Że jednak nawet o niej zapomnieliśmy – temu wszyscy jesteście winni. Najbardziej, rzecz jasna, obóz zwany (zawsze na wyrost) solidarnościowym. Mój obóz. To przecież „nasi” ludzie wyprawiali w Krakowie lat 90. burdy pod pomnikiem Grunwaldzkim, nie pozwalając 11 listopada na złożenie kwiatów SLD-owcom. To oni protestowali, gdy przedstawiciele lewicy pragnęli uczcić ofiary Katynia. „Płatni zdrajcy, pacholki Rosji!”, krzyczał pod adresem SLD polityk o „pięknej karcie opozycyjnej” i nie przypominam sobie, by poza zaatakowanymi ktokolwiek wyraził sprzeciw. Tak jak nie pamiętam, by dokonane przez pewnego biskupa porównanie PZPR do NSDAP wzbudziło jakieś protesty. Wszystkie te ekscesy miały miejsce w ostatniej dekadzie minionego wieku. A zatem już wtedy, zaraz po roku 1989, wypychano lewicę z narodowej wspólnoty. Nie dziwny się, że dziś w tej wspólnotce nie tylko dla lewicy, lecz dla kogokolwiek poza prawicą nie ma miejsca.

Winni jednak jesteście wszyscy, lewica także. Z tablicy wmurowanej w Krakowie na ulicy Kremerowskiej dowiadujemy się, że mieszkający tu kiedyś Ignacy Daszyński był „działaczem socjalistycznym i parlamentarnym”. Tylko tyle? A działaczem niepodległościowym to nie? Hasła

„niepodległość” i „socjalizm” traktowano w partii Daszyńskiego łącznie. Czcząc go teraz, lewica skupia się na kultuowaniu pamięci o powstałym 7 listopada 1918 r. jego rządzie, tzw. rządzie lubelskim. Stłuszenie – lecz czyż oblicze powstałego 10 dni później rządu warszawskiego, z Jędrzejem Moraczewskim, było inne? Rząd ten nawet nazywał się tak samo – Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej – i miał w swoim składzie tych samych w większości ludzi. Powstał z woli brygadiera Józefa Piłsudskiego, a ten był także człowiekiem lewicy, niedawnym „towarzyszem Wiktorem”, wydawcą konspiracyjnego „Robotnika”, przywódcą PPS. Rząd warszawski wcale więc nie mniej niż lubelski był „robotniczo-chłopski”. W obu szefem MSW był Stanisław Thugutt – radykalny ludowiec, przez prawicę

Prawica wyzuła Polaków z ich święta. I jeszcze nas wszystkich utaplała w brunatnym, faszystowskim błocie.

zwany „polskim Robespierre’em”. To on wydał okólnik nakazujący w korespondencji urzędowej stosowanie formy „obywatel”, nie „pan”. I to on zniósł głowę Orła Białego usunął „koronę królewską”. Rząd Moraczewskiego był posiewem rewolucyjnego przewrotu, jaki dokonał się w Warszawie 10 i 11 listopada. Czemu żaden z tych dni nie jest dziś świętem lewicy?

Ale przecież takim świętem być też nie powinien – od czczenia 11 Listopada nikt nie może zostać odsunięty. Prowadzony przed laty przez prezydenta Bronisława Komorowskiego pochód w święto niepodległości był właśnie tym, czego nam dziś potrzeba: manifestacją narodowej wspólnoty. Bo dziś nie ma wspólnoty, jest dyktat. Prawica, zawsze ta sama, pyszna, zła i zazdrosna prawica, wyzuła Polaków z ich święta. I jeszcze nas wszystkich utaplała w brunatnym, faszystowskim błocie.

Nie jestem człowiekiem lewicy, a jednak często sobie podśpiewuję starą, socjalistyczną pieśń o czerwonym sztandarze. Tę samą, której porywająca melodia rozbrzmiewała na ulicach Warszawy w tamte listopadowe dni:

Nadejdzie jednak dzień zapały,

Sędziami będziemy wtedy my!

Prawicowym chuliganom warto by tę pieśń śpiewać codziennie.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Mateusz Mazzini

Milczał przez 36 godzin, nawet jego najbliżsi współpracownicy nie wiedzieli, na co ostatecznie się zdecyduje. Wiarygodnych przecieków nie było – podobno zaszył się w pałacu prezydenckim. Najpewniej kalkulował, czy ma jeszcze realne szanse na odwrócenie niekorzystnej dla siebie sytuacji. Ostatecznie półtora dnia po tym, jak różnicą nieco ponad 1,5 pkt proc. przegrał walkę o reelekcję, Jair Bolsonaro opublikował

Głębszy oddech wolności

Lula wygrał wybory prezydenckie. Ale to była ta łatwiejsza część jego zadania

lakoniczny komunikat. Podziękował swoim wyborcom za poparcie i zaangażowanie w kampanię, ale przede wszystkim zapewnił, że doprowadzi do pokojowego przekazania władzy. Co jednak ważne, słowa o uznaniu zwycięstwa Luli nie padły. Mimo to demokraci w kraju i na świecie mogli wreszcie odetchnąć. Brazylijskiej wersji szturm na Kapitol nie będzie, przynajmniej na razie.

Taktyka Bolsonaro

Uznanie przez Jaira Bolsonaro wyników procesu wyborczego nie oznacza końca niepewności, jaka towarzyszyła walce o brazylijską prezydenturę. Owszem, nie zrealizował się najczarniejszy scenariusz,



Inácio Lula da Silva świętuje wynik wyborów.

którym media na całym świecie przerywały się od kilkunastu miesięcy. Mniej więcej wtedy ustępujący prezydent, prawicowy autokrata zapatrzonej zarówno w pomysły, jak i metody polityczne Donalda Trumpa, po raz pierwszy dał do zrozumienia, że we własną porażkę nie uwierzy. Już wtedy był wyraźnie z tyłu w sondażach, za Inaciem Lulą da Silvą, ikonyczną wręcz postacią lewicy nie tylko brazylijskiej, ale nawet latynoamerykańskiej.

Realistycznie rzecz biorąc, szans na reelekcję nie miał zbyt wielkich, nawet jeżeli badania opinii publicznej zawyżały poparcie dla jego rywala. Bolsonaro rozpoczął więc dwutorową walkę o pozostanie u władzy. Pierwszym jej elementem było mobilizowanie

elektoratu narracją o obłąkanej twierdzy. W grupach dla swoich zwolenników, tworzonych przede wszystkim na komunikatorach Telegram i WhatsApp, lider prawicy oznajmiał, że drugą kadencję zabrać może mu wyłącznie „Bóg lub oszustwo”. Podważał wiarygodność sondaży, opisywał siebie jako syna i obrońcę narodu, jedynego prawdziwego demokratę. Który, dodajmy, znajduje się pod permanentnym ostrzałem zgniłych elit, wspieranych przez globalne lobby neomarksistów. To oni, nie Bolsonaro, chcieli wykończyć brazylijską demokrację od środka, to oni stanowili zagrożenie. „Trump tropików” nie miał więc wyboru, musiał ustroju i wolności bronić, a wraz z nim mieli to robić jego zagorzali zwolennicy.

Ponieważ on sam służył w wojsku 15 lat, dochodząc do stopnia kapitana, a wśród jego pierwszych nominacji rządowych cztery lata temu znalazło się sporo byłych i obecnych mundurowych, obawy przed sojuszem z armią i zamachem stanu mogły się wydawać uzasadnione. Jednak ryzyko to nigdy nie było realne, a porównania między rokiem 2022 i 1964, kiedy w Brazylii władzę przejmowała dyktatura generałów, mimo wszystko nietrafione. W przeciwieństwie do tamtych puczystów Bolsonaro nie miał i nadal nie ma jednolitego poparcia we wszystkich najbardziej wpływowych klasach społecznych, a więc wśród wojskowych, przedsiębiorców i mieszkańców metropolii. Ci ostatni cenili go co najwyżej za udaną walkę z przestępczością, ale już właściciele firm pomstowali na katastrofalną politykę gospodarczą i przyspieszone w ostatnich miesiącach rozdawnictwo socjalne. Wojsko też nie było jednoznacznie mu przychylne, głównie z powodu rozbudowywania przez administrację Bolsonaro zdolności ofensywnych policji, również tej federalnej, a więc podległej ministerstwu spraw wewnętrznych.

Statystyki pokazują, że prawicy rzeczywiście udało się poprawić bezpieczeństwo publiczne, ale trudno je uznawać za w pełni wiarygodne, bo to tylko wycinek kryminalnego światka. Po rekordowym pod względem zabójstw z użyciem broni palnej roku 2017 nastąpił spadek ich liczby o prawie jedną trzecią, a pomiędzy pierwszą połową 2021 r. i pierwszą połową 2022 r. ofiar śmiertelnych było mniej o 5%. Jak wskazuje jednak Robert Muggah z portalu Open Democracy, w tym pierwszym przypadku trudno się doszukiwać zasług samego Bolsonaro. „Nadwyżka” morderstw w Brazylii spowodowana była walkami frakcyjnymi wśród kolumbijskich i peruwiańskich gangów narkotykowych, które przez brazylijską Amazonię i wybrzeże przerzucają kokainę do Afryki Zachodniej, a stamtąd do Europy. Kiedy sytuacja w Andach się uspokoiła, spadły statystyki w samej Brazylii.

Bolsonaro stworzył poza tym niebezpieczny wyłom w strukturach sił

porządkowych, do walki z przestępczością zorganizowaną wysyłając nowo utworzone jednostki straży obywatelskiej. Dwie z nich, działające głównie w Rio de Janeiro, Pierwsze Dowództwo (PCC) i Czerwone Dowództwo (CV), są dziś wielotysięcznymi organizacjami wyposażonymi w broń szturmową, a ich członkowie są przeszkoleni do działania praktycznie w warunkach wojny domowej. Większość oddziałów policji i wspomnianych bojówek ma na terenie dużych miast prawo działać wedle zasady *shoot to kill*, czyli strzelać, żeby zabić. W dodatku nadzoru nad PCC i CV nie sprawuje w praktyce żadna część administracji publicznej, a ich kierownictwo, jak dowiódł portal In-Sight Crime, jest blisko powiązane z rodziną Jaira Bolsonaro. Oznacza to,

Efektom tej kampanii będą poharatane społeczeństwo i zdestabilizowane instytucje publiczne.

że ustępujący prezydent stworzył własną organizację paramilitarną, która de facto pilnuje porządku na obszarze, który w Rio zamieszkuje 1,7 mln mieszkańców. To potężny kapitał, którego przegrana z Lulą mu nie odbierze. I którego sam Bolsonaro na pewno będzie chciał jeszcze kiedyś użyć.

Porażka, czyli sukces

Innym elementem jego strategii wyborczej było dyskredytowanie oponentów. To także ruch żywcem wyjęty z podręcznika sprawowania władzy przez rządy narodowo-populistyczne. Dlatego Bolsonaro opisywał Lulę jako agenta wpływu zagranicznych mocarstw, podatnego na europejską propagandę. A, jak wiadomo, Zachód tylko czeka, żeby móc bezkarne eksploatować brazylijskie zasoby naturalne, samym Brazylijczykom nie pozwalając na nich zarabiać. Próbował również powiązać lewicowego przywódcę z niewyjaśnionym do dzisiaj zabójstwem jednego z liderów Partii Robotniczej 20 lat temu, które rzekomo utorowało Luli drogę do pierwszego wygranego wyścigu o prezydenturę w 2002 r.

Do tego dochodziły zarzuty pod adresem lewicowego elektoratu, powtarzające się jak refren w każdej kampanii prowadzonej przez populistów. Zgnilizna moralna, zamach na tradycyjne wartości, osłabienie instytucji rodziny, wreszcie odejście od wiary, która dla Bolsonaro, nawróconego zielonoświątkowca, stanowiła ważny element kampanii wyborczej. Oczywiście wyjątkiem z pragmatycznego punktu widzenia – Kościoły neoprotestanckie rozpychają się łokciami w całej Ameryce Łacińskiej, a w Brazylii jest to szczególnie widoczne. Doskonale zorganizowane, napędzane pieniędzmi konserwatystów z południa Stanów Zjednoczonych, przejmują wiernych tysiącami. Do tego stopnia, że według prognoz Pew Research Center

już w przyszłej dekadzie cały kontynent, niegdyś bastion katolicyzmu, może się stać obszarem większościowo protestanckim.

Tak wyglądał kampanijny pejzaż stworzony przez Jaira Bolsonaro. Dzisiaj, kiedy wiadomo już, że Lula pokonał go w najbardziej polaryzującym i zaciętym wyścigu o prezydenturę od odzyskania przez kraj demokracji w 1985 r., równie ciekawe jak analiza przyczyn tej porażki wydaje się pytanie, dlaczego ostatecznie zdecydował się jej nie kontestować.

Odpowiedź jest w scenariuszach, według których może się potoczyć brazylijskie życie publiczne w ciągu najbliższych dwóch miesięcy. Nowy prezydent rozpocznie urzędowanie 1 stycznia 2023 r. Do tego czasu, mimo pozornie koncyliacyjnego nastawienia Bolsonaro, dużo może jeszcze się wydarzyć.

Scenariusze

Odchodzący prezydent ma prawo czuć, że odniósł sukces. W końcu przegrał minimalną liczbą głosów, co w świetle faktu, że niektóre sondaże nie dawały mu szans na wejście do drugiej tury, jest wynikiem więcej niż ▶

► bardzo dobrym. Płyne z tego ważny wniosek dla wszystkich społeczeństw rządzonych przez polityków populistyczno-nacjonalistycznych, niespecjalnie przywiązanych do instytucji liberalnej demokracji, a więc i dla Polski. Pomimo katastrofalnych czterech lat, naznaczonych pandemicznym negacjonizmem, niemal 700 tys. zgłoszeń z powodu koronawirusa, gospodarką w recesji i reformą podatkową, która przyniosła korzyści materialne klasie średniej, a nie jego wyborcom z klas ludowych, połowa głosujących Brazylijczyków (przy frekwencji wynoszącej 79,4%) chciała, by rządził krajem przez kolejne cztery lata. Brazylia nie jest zresztą jedynym państwem, gdzie ma to miejsce, starczy spojrzeć na toczącą się w USA kampanię przed wyborami połówkowymi do Kongresu i wciąż mocną pozycję Donalda Trumpa. Część elektoratu popierającego populistów stanowią wyborcy impregnowani na niekompetencję w rządzeniu, ale też niekierujący się wyłącznie interesem materialnym.

Bolsonaro i jemu podobni politycy utrzymują się na powierzchni nie dzięki transferom socjalnym, klientelizmowi czy fake newsom, a przynajmniej nie tylko. Ich silna pozycja

wynika także ze skutecznej gry na resentymentach klasowych i redystrybucji przywilejów symbolicznych. Odbierają je tym, którym wiodło się najlepiej przez ostatnie dekady, nawet jeśli pozostałym częściom społeczeństwa nie dają nic w zamian.

Tak wysokie poparcie sprawia, że Bolsonaro nie zniknie. Zwłaszcza że wielu z jego zwolenników w nowej kadencji zasiądzie w zdecydowanie konserwatywnym Kongresie Narodowym. Tradycyjnie będzie on rozdzielony. W samym Senacie będą przedstawiciele aż 19 formacji, ale większość mają w nim przeciwnicy Luli, nawet jeśli nie definiują się jako

byli prezydent USA. Dlatego bardzo prawdopodobny jest wzrost liczby motywowanych politycznie aktów przemocy zwolenników Bolsonaro wobec głosujących na lewicę. Sam odchodzący prezydent umyje ręce, choć w mediach społecznościowych będzie podjudzał tłum.

Tym, co po tej kampanii zostanie, jest bowiem poharatane społeczeństwo i zachwiana stabilność instytucji publicznych. Bolsonaro zdołał podkopać fundamenty zaufania ludzi do państwa. Aż 75% Brazylijczyków nie ufa krajowym instytucjom wyborczym, wśród osób o poglądach prawicowych odsetek ten wynosi aż

Prawdopodobny jest wzrost liczby aktów przemocy zwolenników Bolsonaro wobec głosujących na lewicę.

sprzymierzeńcy Bolsonaro. Dlatego niewykluczone, że ustępujący prezydent będzie od stycznia prowadził politykę parlamentarną obstrukcji. Uniemożliwi w ten sposób realizację postulatów wyborczych Luli, głównie tych dotyczących polityki społecznej i transferów socjalnych, a poza tym zablokuje cofnięcie jego własnych rozwiązań. Nowej administracji podrzuci zresztą kukiełcze jajo w postaci uchwalonych w ostatnich miesiącach transferów na łączną kwotę ponad 13 mld dol., których Lula nie cofnie, nawet gdyby chciał. Na starcie jego trzeciej kadencji jako prezydenta byłby to wizerunkowy strzał w stopę. Jeśli do tej trudniej perspektywy budżetowej dodać inflację i niekorzystną sytuację na rynkach surowcowych, dla Brazylii kluczowych ze względu na eksportowy charakter gospodarki, nietrudno wyobrazić sobie kraj pogrążający się w głębokiej recesji.

Bolsonaro nie przestanie też motywować swoich zwolenników do walki o demokrację, czyli o jego powrót do władzy. Sam niczego konkretnego w tym kierunku nie robi. Nie należy się spodziewać batalii sądowej, odmowy przekazania władzy czy innych manifestacji politycznego niezadowolenia z samym „Trumpem tropików” w roli głównej. Demontaż demokracji będzie chciał przeprowadzać rękami swoich wyborców, tak samo jak

91%. Jeszcze przed oddaniem władzy prawica podejmie również próbę przepchnięcia przez Kongres ustawy wprowadzającej kary pieniężne za publikację sondaży różniących się od ostatecznych wyników wyborów o więcej, niż wynosi błąd statystyczny. To kara za badania sprzed pierwszej tury – zdarzało się wtedy, że niektóre dawały zwycięstwo Luli już w niej. Dziś wiadomo, że błąd był skutkiem słabego przebadania elektoratu wewnątrz kraju. Ankieterzy w wielu przypadkach tam nie docierali, polegając za bardzo na próbie z dużych ośrodków miejskich. Lista zagadnień, w których Bolsonaro jeszcze odegra ważną rolę, jest więc naprawdę długa.

Oczywiście możliwy jest bardziej optymistyczny scenariusz, w którym trendy na światowych rynkach są dla Brazylii pozytywne. Sojusznicy porzucają Bolsonaro i dogadują się z Lulą, który oferuje w zamian realizację części ich postulatów. Eksprezydent stacza się wówczas na polityczny margines, obciążony skandalami i zarzutami o korupcję czy nadużywanie władzy. Kraj staje się znów stabilną demokracją. Z punktu widzenia Brazylii, ale też regionu czy całego świata, byłoby to rozwiązanie idealne. Tyle że ideały w polityce rzadko udaje się wcielić w życie.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeгляд.pl





Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Kup pan se internet

Byłem niedawno w Krakowie. Podczas krótkiego spaceru z przyjacielem czułem się dziwnie, jakbym szedł po ulicach innego, nieznanego mi miasta. Nie bardzo mogłem sobie uświadomić, jakie jest źródło owego niepokoju. I nagle przyszło oświecenie. Nie było wielkoformatowych reklam, średnioformatowych zresztą też nie było. Gdzieś z rzadka, jak przybysze z innej planety, pojawiały się jakieś ostatki, resztki, popłuczynki. Widzieliśmy niezastłonięte budynki, nieprzedzieloną i odsłoniętą perspektywę ulicy. Barwy nie były spektakularne, ale emanowały spokojem całości, ujawniały kompozycje architektoniczne wcześniej zagruzowane wszechobecną pstrokatością zachwalającą tysiące rzeczy, produktów, gadżetów i wszystkiego innego – zbędnego. Potworność wszechobecnej reklamozy stała się dla nas oczywista i niewidoczna. Przywykliśmy. Stąd moje zdezorientowanie na początku, nie rozumiałem, co jest nie tak. A po prostu w pewnym momencie radni Krakowa podjęli uchwałę o oczyszczeniu przestrzeni miejskiej z tego śmietnika. Każda reklama wisiała tak długo, jak mogła, znikaały ostatniego dnia i w ostatniej chwili, żeby wysycić swój potencjał sprzedażowy do ostatniej kropli kleju, którym je przytwierdzono. I nagle, szast-prast, pojawiło się miasto jako miasto.

Ale nie o Krakowie chciałem i nie o jego odzyskanej twarzy po zmyciu grubego make-upu reklamowego.

W ostatnich dniach października Elon Musk, multimiliarder z RPA mieszkający w USA, w 2021 r. uznany za najbogatszego człowieka na ziemi, twórca Tesli, SpaceX, wcześniej systemu opłat PayPal, wizjoner lub hochsztapler, przedsiębiorca lub podkradacz, geniusz lub skrajny cwaniak od odlotowych pomysłów, w tym lotów na Marsa i innych, zakupił za ponad 40 mld dol. Twittera – globalną platformę miniblogowania, pełniącą jedną z podstawowych obecnie funkcji komunikowania się światowego establishmentu: politycznego, showbiznesowego, biznesowego, medialnego. Za prezydentury Donalda Trumpa jego konto na Twitterze służyło zarówno do komunikowania najważniejszych decyzji przywódcy amerykańskiego imperium, jak i do mniej poważnych zadań. Obecnie, po szturmie na Kapitol, do czego Trump nawoływał w swoich tweetach po przegranych wyborach prezydenckich, eksprezydent nie ma dostępu do konta i nie może korzystać z Twittera. Ale amerykańska prawica zaciera ręce, licząc na Muska.

W czym problem? Ktoś ma parę dolców – kupuje butelkę czy puszkę coli, ktoś ma więcej – kupuje hummera,

**Internet prawem, nie towarem
– chciałoby się krzyknąć.**

ktoś inny – Twittera. Tak naprawdę ten zakup oraz ręczne sterowanie i zarządzanie głównym medium obecnego świata każe nam zadać sobie kilka innych pytań o internet jako taki oraz jego formy przepoczwarczeń i prywatyzacji. Internet nie jest tylko nośnikiem treści, informacji, przekazów. Można nawet powiedzieć, że jest nim w małym stopniu. To samoistna struktura sieciowa, gromadząca niewyobrażalną ilość danych na temat każdej osoby na świecie mającej kontakt z telefonem, komputerem, sklepem, kartą płatniczą. I tak jak nowożytny kapitalizm poczynił się od grodzenia pól na Wyspach Brytyjskich, tak teraz proces ten zawędrował w przestrzeń nieskończonych lub choćby niepoliczalnych zasobów sieci, nad których gigantycznymi polami sprawują nadzór właścicielski bardzo nieliczni ludzie pokroju Muska czy Zuckerberga.

Shoshana Zuboff, emerytowana profesorka Harvardu, autorka „Wiek kapitalizmu inwigilacji”, w krótkim tweecie (a jakże inaczej) wyraziła swoje obiekcje, pisząc: „Nagłówki dotyczące Muska/Twittera to wariacje na temat pytania »co robi Elon?«. To sygnał, jak bardzo jesteśmy zagubieni. Pograżamy się w obsesji na punkcie jednego człowieka i jego

kaprysów, ponieważ nie mamy jeszcze demokratycznych rządów prawa potrzebnych do zarządzania naszymi przestrzeniami informacyjnymi”. Internet, wbrew nadziejom i oczekiwaniom z odległych czasów swojego początku (czyli 25-30 lat temu), wbrew marzeniom pionierów sieci, nie stał się wielkim, wyzwalającym, powszechnym, edukacyjnym i komunikacyjnym dobrem publicznym. Jest coraz bardziej poszatkowany, ale generuje niewyobrażalne zyski dla grupki cyfrowych fabryk. To paradoks, że jesteśmy w tych fabrykach robotnikami, nie mając nawet tej świadomości, nie dostając za to wynagrodzenia, a tym bardziej nie czerpiąc zysku, i pracujemy, nie wiedząc nawet dla kogo. Zuboff pytała, czy internet będzie naszym domem, czy wygnaniem oraz skrajnie nierównościową alienacją. Zakup Twittera przez chłopca od elektrycznych autek i rakiet samowracajek jest najdoskonalszą ilustracją tezy, że internet – kumulacja setek lat odkryć nauki, stanowiący syntezę nowych bogactw, jak kiedyś ropa, silnik spalinyowy i elektryczność plus fenomen epoki gutenbergowskiej (w znaczeniu dostępności nauki) – wymyka się nam, ludzkości, z rąk. I jest zagrabiany przez garstkę nieprzewidywalnych indywiduów. Jeszcze nie jest za późno. Internet prawem, nie towarem – chciałoby się krzyknąć.

Bibi królem czy zakładnikiem?

Skrajna prawica jest największym zwycięzcą izraelskich wyborów

Jakub Katulski

Korespondencja z Jerozolimy

Nazajutrz po wyborach w Jerozolimie opadł kampanijny kurz. Brak ciszy wyborczej powodował, że jeszcze 1 listopada przed lokalami wyborczymi można było spotkać licznych aktywistów przekonujących do głosowania na ich partię. Zwłaszcza nacjonalistyczna prawica była widoczna niemal wszędzie w przedwyborczym tygodniu, za sprawą nie tyle plakatów, ile spontanicznych pikiet, podczas których młodzi aktywiści wznosili okrzyki, często przy akompaniamencie muzyki. Choć do chwili ukończenia tekstu Centralna Komisja Wyborcza zdołała przeliczyć ok. 90% oddanych głosów, zwycięstwo obozu Netanjahu jest już pewne.

Czy to powrót w wielkim stylu, czy jednak ponadroczna przerwa w rządzeniu krajem dała Bibiemu lekcję pokory w kwestii komunikowania się z wyborcami? No i w kwestii ego, rozdętego hasłami „Bibi HaMelech” (Bibi Król), które na cześć premiera rządzącego najdłużej w historii Izraela wznosili sympatycy Likudu...

Euforia i apatia

W obozie nacjonalistycznej prawicy zapanowała euforia, podczas gdy w partiach sprzymierzonych z obecnym premierem Jairem Lapidem widać było głównie apatię po klęsce. W końcu ugrupowania, które dotychczas tworzyły razem rząd, najprawdopodobniej nie wejdą do kolejnego. Nie będą w nim raczej potrzebne, ponieważ Benjamin Netanjahu uzyskał większość wymaganą do budowy koalicji. Wystarczy mu parlamentarzyści Likudu, ultraortodoksyjnych religijnych partii Szas

i Jahadut HaTora, a także kontrowersyjnych Religijnych Syjonistów, którzy okazali się chyba największym zwycięzcą tych wyborów.

Mimo że ugrupowanie to jest dopiero trzecią siłą w izraelskim parlamencie, o tych kilkunastu zdobytych przez nie mandatach jeszcze parę lat temu nie mogło nawet marzyć. A dzisiaj ostrzy sobie zęby na jedne z najważniejszych tek ministerialnych. Itamar Ben-Gwir, słynący z rasistowskich wypowiedzi wobec Palestyńczyków i arabskich obywateli Izraela, chciałby zostać ministrem bezpieczeństwa publicznego odpowiedzialnym za działalność policji, a Becael Smotricz liczy na tekę ministra obrony.

Byłyby to bardzo kontrowersyjne nominacje, lecz politycy Religijnych Syjonistów ogłosili je już podczas wywiadów przed wyborami. Netanjahu w przedwyborczej rozmowie z wojskowym radiem Galei Cahal

o jakiegokolwiek inne ugrupowanie niż Religijni Syjoniści. Tym bardziej że pozostałe grupy z obozu Netanjahu już budowały rządowe koalicje w przeszłości. Democratic Majority for Israel, lewicowa grupa promująca proizraelskie postawy i rozwiązania polityczne wśród członków amerykańskiej Partii Demokratycznej, z kolei wprost ostrzegła przed zaproszeniem Smotricza i Ben-Gwira do rządu.

Szansa dla Arabów

Trochę inaczej patrzą na ten problem arabscy obywatele Izraela, którzy, choć niechętni wobec retoryki Ben-Gwira, widzą w nim szansę na poskromienie rosnącej w siłę mafii w arabskim sektorze. Tony Naser z organizacji edukacyjnej Atidna mówi, że retoryka kampanii rządzi się swoimi prawami: „Nazajutrz politycy robią inaczej, niż obiecywali. Być

Izraelska prawica rośnie w siłę, a coraz popularniejsza jest jej skrajna część, wybierana przez młodych Izraelczyków.

(Fale Sił Obrony Izraela), jedną z najpopularniejszych rozgłośni w kraju, nie potwierdził wprost, że porozumieli się w tej sprawie, podkreślił jednak, że „nie dyskwalifikuje Ben-Gwira, choć jest także wielu innych kandydatów”.

Takich nominacji obawiają się Palestyńczycy i liderzy żydowskich społeczności w Stanach Zjednoczonych, w dużej mierze liberalnych i niechętnych nacjonalizmowi. Przedstawiciele American Jewish Committee zaznaczyli, że relacje z nowym rządem mogą być „problematyczne”. I choć powstrzymali się od wskazania konkretnych postaci, trudno się spodziewać, by chodziło

może jednak Ben-Gwir, przyjmując twardy kurs, pomoże nam w walce z mafią i przemocą wśród Arabów”. Problem ten nie istniał od zawsze, lecz jest w dużej mierze kwestią ostatniej dekady. Według ekspertów wiąże się z licznymi arabskimi lichwiarzami, którzy pożyczając zadłużonym pieniądze na wysoki procent, domagają się szybszych spłat, często posługując się wymuszeniami i przemocą. Coraz częściej słyszy się o zabójstwach i porwaniach arabskich biznesmenów i dziennikarzy, a obecny minister bezpieczeństwa publicznego Omer Bar-Lew twierdzi, że „arabskie mafie trzymają Izrael za gardło”.



Wybory 1 listopada wśród społeczności ortodoksyjnej.

Według Tony'ego Nasera winą należy obarczyć nie tylko poprzednie rządy, ale również arabskich liderów. „Nie zgadzają się na to, by policja wykorzystywała w naszej społeczności nowoczesne technologie, które pomagałyby w wykrywaniu przestępców. Dlaczego policjanci i politycy w ogóle pytają ich o zdanie, skoro większość Arabów chciałaby takiego rozwiązywania problemu? Bo nasi przywódcy boją się, że służby będą w ten sposób szukać na nich haków”. Naser dodaje zarazem, że sami Arabowie niechętnie współpracują z izraelskimi policjantami, a służby są słabo finansowane i nie mają wystarczającej siły, by działać na północy kraju lub w odizolowanych miejscowościach na pustyni Negew.

Izraelscy Arabowie są jednak tradycyjnie chłopcem do bicia dla prawicowych ugrupowań. Arje Deri, lider sefardyjskiego Szasu, w dzień wyborów zaraz po odejściu od urny nakłaniał ultraortodoksyjną społeczność, by głosowała na jego partię właśnie po to, by zachować żydowski charakter państwa. Przekonywał

przy tym, że rząd Lapida przekierował znaczne fundusze na wsparcie Arabów.

Ta retoryka zmobilizowała liderów arabskich partii Chadasz-Taal (zakładanej przez Maki – Komunistyczną Partię Izraela), Raam i Balad, by niemal do samego zamknięcia lokali wyborczych nakłaniać Arabów do udania się do urn. Nieskutecznie, gdyż frekwencja w tym sektorze wyniosła ok. 45%, podczas gdy ogólna frekwencja w kraju przekroczyła 75%. Tym samym najbardziej propalestyński w całym parlamencie Balad znalazł się poniżej progu wyborczego, a nawet lewicowy i wspierający Arabów Meretz do momentu oddania tekstu do druku ledwie dosięgał progu.

Koszmar Netanjahu

Raczej nic już nie ocali rządu Jaira Lapida, którego obóz nie ma najmniejszych szans na osiągnięcie minimum 61 mandatów potrzebnych do zbudowania koalicji, o ile nie zdarzy się coś, co przekona sprzymierzeńców Netanjahu do przejścia

na drugą stronę. Ale nic na to nie wskazuje.

Po przeliczeniu większości głosów premier zrezygnował nawet z udziału w szczycie klimatycznym COP27, który ruszył 6 listopada w egipskim Szarm el-Szejk. Izrael reprezentuje na nim prezydent Icchak Herzog, choć jego funkcja jest przede wszystkim ceremonialna i nie pozostawia wiele możliwości podejmowania decyzji.

Mniej więcej w czasie trwania szczytu będzie on musiał jednak podjąć decyzję, któremu politykowi powierzy misję zbudowania rządu, opierając się na rekomendacjach uzyskanych od parlamentarzystów, niekoniecznie na liczbie mandatów uzyskanych przez zwycięskie ugrupowanie. Najprawdopodobniej to Benjamin Netanjahu zostanie mu polecony przez Kneset i od tego momentu Bibi będzie miał 28 dni na stworzenie koalicji, choć w razie potrzeby będzie mógł poprosić o przedłużenie tego okresu o kolejne 14 dni. W tym czasie będą trwały negocjacje wewnątrz koalicji o to, jakie ministerstwa przypadną poszczególnym politykom.

► Niezależnie od nacisków i krytyki, jaka może spaść na Bibiego ze strony zagranicznych partnerów Izraela, obawiających się tego, w jakim kierunku skrócić mógłby kraj z rządem opartym w dużej części na skrajnej prawicy, Netanjahu będzie musiał coś zaoferować Religijnym Syjonistom. Niewykluczone, że będą to właśnie kluczowe stanowiska w resorcie bezpieczeństwa, odpowiedzialnym m.in. za politykę zagraniczną państwa żydowskiego, z dostępem do ściśle tajnych danych wywiadowczych. W tej chwili są oni już zbyt poważną siłą polityczną, by traktować ich jedynie jak dodatek do Likudu.

Siłę poczuje też ruch żydowskich osadników budujących domy na okupowanym Zachodnim Brzegu. W końcu to właśnie jego członkowie w dużej mierze głosowali na Smotricza i Ben-Gwira. Zwłaszcza młodzi osadnicy, którzy zamieszkują nielegalne w świetle prawa międzynarodowego (a często i według izraelskich przepisów) osiedla, mogą poczuć, że skoro tak ważne funkcje

przypadły w udziale ich przywódcom reprezentującym ten sam ruch, to wojsko i Szin Bet nie będą już działać przeciwko nim. I niewykluczone, że skrajnie prawicowi politycy przekierują uwagę służb na inne obszary.

Tym bardziej że Religijni Syjoniści domagają się włączenia wszystkich osiedli na Zachodnim Brzegu do obszaru Izraela, już nie tylko de facto, ale także de iure. A to dla Netanjahu może się okazać koszmarem dyplomatycznym, szczególnie że Ben-Gwir i Smotricz mogą być w swoich żądaniach nieugięci. Wobec tego Bibi nie będzie już mógł w kwestii aneksji udawać przed wyborcami, że jest twardogłowym nacjonalistą, ale przeszkodą w realizacji zamiarów politycznych są koalicjanci.

Pozostaje jeszcze mniej prawdopodobny scenariusz, w którym Netanjahu zwróci się do Beniego Ganca i jego ugrupowania Chosen Lelsrael (hebr. Odporność dla Izraela). W odchodzącym rządzie Ganc, były szef sztabu generalnego, pełnił funkcję „odpowiedzialnego rodzica” w relacjach z Palestyńczykami,

prowadząc dialog z prezydentem Mahmudem Abbasem i starając się łagodzić nastroje na Zachodnim Brzegu. Ma też zdecydowanie większe doświadczenie wojskowe niż Religijni Syjoniści. Może być bardziej ugodowym politykiem skłonny do kompromisów, jeśli w jego opinii okażą się one zgodne z izraelską racją stanu i pozytywnie wpłyną na relacje międzynarodowe kraju, zarówno z Zachodem, jak i z państwami arabskimi. Czy jednak będzie chciał wejść drugi raz do tej samej rzeki, skoro poprzednie wybory odbyły się w powszechnej opinii właśnie dlatego, że Netanjahu nie chciał wywiązać się z umowy koalicyjnej, na podstawie której miałby przekazać w połowie kadencji parlamentu stanowisko premiera Gancowi?

Izrael stoi przed próbą, która może całkowicie go odmienić. Dzisiaj jasne jest jednak przede wszystkim to, że izraelska prawica rośnie w siłę, a coraz popularniejsza jest jej skrajna część, wybierana przez młodych Izraelczyków.

Jakub Katulski



Filharmonia
Narodowa

EVGENY KISSIN

17.11

Orkiestra i Chór Filharmonii Narodowej

Andrzej Boreyko – dyrygent / Evgeny Kissin – fortepian /

Bartosz Michałowski – dyrektor chóru

Sylwestrow, Rachmaninow

Na koncert zaprasza
Mecenas Roku
Filharmonii Narodowej



Polska Grupa Energetyczna

Organizator



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Strategiczny
Mecenas



Bank Polski

Mecenas



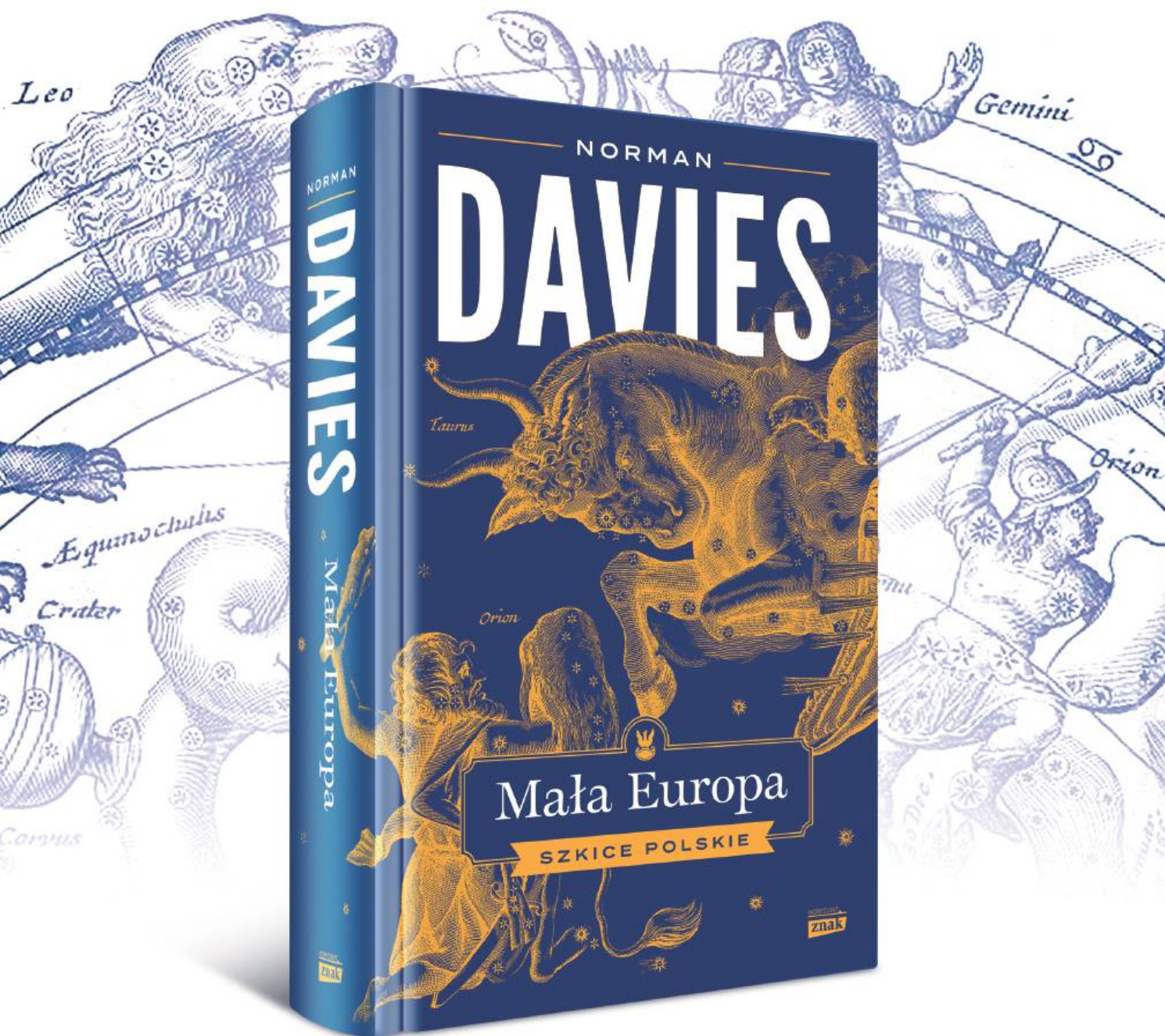
Polska Grupa Energetyczna

Sponsorzy



Witamy na planecie Polska

- w wyjątkowym miejscu o niezwykle bogatej historii.



Nowa książka Normana Daviesa.
Listopad 2022

25 lat samotności

Po powodzi i wyborach do Sejmu w 1997 r. skończył się rzeczywisty wpływ lewicy na życie publiczne

Paweł Siergiejczyk

Ćwierć wieku temu zachodnią Polskę zalała powódź, która była największą tego rodzaju katastrofą w niedługich jeszcze wtedy dziejach III RP. Trudno precyzyjnie wymierzyć, jaki wpływ miała na wybory parlamentarne, które odbyły się tuż po niej, 21 września 1997 r. Z jednej strony, ucierpiały wtedy tereny, na których politycznie dominował Sojusz Lewicy Demokratycznej, co musiało wpłynąć nie tylko na wynik tej partii, ale też na frekwencję – ta wyniosła niespełna 48%. Z drugiej, niefortunna wypowiedź premiera Włodzimierza Cimoszewicza, że trzeba być przezornym i się ubezpieczać, została dość powszechnie odebrana jako przykład arogancji władzy i skutecznie wykorzystana w propagandzie Akcji Wyborczej Solidarność, skupiającej zdecydowaną większość polskiej prawicy.

Jednak do końca nie było pewne, na czyją korzyść rozstrzygnie się wyborczy pojedynek SLD-AWS. Ostatecznie prawica pokonała lewicę, choć nie był to nokaut, jaki miał nastąpić dopiero osiem lat później. Na AWS głosowało prawie 4,5 mln wyborców (33,83%), na SLD – ponad 3,5 mln (27,12%). Formacja skłonna przez lidera Solidarności Mariana Krzaklewskiego odniosła sukces głównie kosztem Ruchu Odbudowy Polski Jana Olszewskiego, któremu sondaże przez długi czas dawały nawet kilkunastoprocentowe poparcie, a skończyło się wynikiem 5,56%. Pięcioprocentowy próg wyborczy przekroczyły jeszcze Unia Wolności (13,37%) i Polskie Stronnictwo Ludowe (7,31%). W ten sposób wyłonił się Sejm III kadencji, do którego AWS wprowadziła 201 posłów, SLD – 164, UW – 60, PSL – 27, a ROP

– zaledwie sześciu, w tym Jana Olszewskiego, Jarosława Kaczyńskiego i Antoniego Macierewicza.

Oprócz tej trójki na parlamentarne fawy wróciła po czterech latach nieobecności cała prawica, która tak spektakularnie skompromitowała się w Sejmie I kadencji (1991-1993), gdy dwa postsolidarnościowe rządy – Jana Olszewskiego i Hanny Suchockiej – zostały obalone głosami skłóconych ugrupowań prawicowych. Ich klęska w przyspieszonych wyborach we wrześniu 1993 r. (gdy prawica podzieliła się na rywalizujące listy, które w większości nie przekroczyły progu) spowodowała, że Sejm II kadencji z pewnością nie był reprezentatywny, za to mógł wyłonić stabilną większość rządową

W 1997 r. na AWS głosowało prawie 4,5 mln wyborców (33,83%), na SLD – ponad 3,5 mln (27,12%).

SLD-PSL. Większość ta utrzymała się przez całą kadencję – pierwszy raz po 1989 r. nieskróconą – i choć dwukrotnie zmieniano premiera (w marcu 1995 r. Waldemara Pawlaka na Józefa Oleksego, którego po niespełna roku zastąpił Cimoszewicz), z dzisiejszej perspektywy trzeba przyznać, że był to czas najdłuższej stabilności politycznej w III Rzeczypospolitej.

Afera w lewicę

Jedynym dramatycznym momentem tego czterolecia była tzw. afera Oleksego, czyli bezprecedensowe w dziejach nie tylko Polski, ale chyba i całego świata oskarżenie urzędującego premiera o współpracę z obcym wywiadem. Oskarżenie

rzucane przez ludzi z otoczenia prezydenta Lecha Wałęsy, który tuż po ujawnieniu tej sprawy... po prostu zakończył kadencję i odszedł, zostawiając następcy ten odbezpieczony granat. Na szczęście Aleksander Kwaśniewski potrafił zapanować nad państwem i zminimalizować szkody wynikłe z tej niewyjaśnionej do dziś afery, której jedyną ofiarą padł Oleksy, zmuszony do dymisji i do końca życia chodzący z piętnem „ruskiego agenta” – choć trzeba przyznać, że własna partia się go nie wyrzekła i nawet dwukrotnie wybierała na przewodniczącego.

Dzięki tej stabilności Sejm II kadencji mógł zakończyć działalność uchwaleniem nowej konstytucji RP przez Zgromadzenie Narodowe 2 kwietnia 1997 r. Wynik głosowania (za przyjęciem konstytucji głosowało 451 posłów i senatorów, przeciw – 40, wstrzymało się od głosu sześciu) był efektem porozumienia czterech partii:

SLD, PSL, Unii Wolności i Unii Pracy. Faktycznymi zaś ojcami nowej ustawy zasadniczej stali się Aleksander Kwaśniewski i Tadeusz Mazowiecki – ludzie o jakże różnych życiorysach i światopoglądach, których wówczas połączyła troska o dobro wspólne, jakim była niepodległa, demokratyczna III Rzeczpospolita.

Ale trzeba tu postawić kropkę nad i: nie byłoby obowiązującej do dziś konstytucji, gdyby w tamtym parlamencie znaczącą siłą była prawica. Bo właśnie prawicowi posłowie (z rozbitych już wówczas klubów KPN i BBWR) i senatorowie (z klubu Solidarności) głosowali przeciwko projektowi Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego (którą kierował początkowo Kwaśniewski, a później prof. Marek Mazurkiewicz



Prezydent Aleksander Kwaśniewski podpisał tekst Konstytucji RP 16 lipca 1997 r. w obecności marszałka Sejmu Józefa Zycha, marszałka Senatu Adama Struzika i premiera Włodzimierza Cimoszewicza.

z SLD), a przed referendum zatwierdzającym ustawę zasadniczą liderzy AWS i ROP rozpętali bezprecedensową wówczas kampanię kłamstw i inwektyw, mającą zohydzić nową konstytucję i jej twórców.

Kampanię – trzeba przyznać – całkiem skuteczną, skoro 25 maja 1997 r. poszło do urn zaledwie 42,86% uprawnionych, z czego za konstytucją głosowało 53,45%, a przeciw – 46,55%. Jakże wymowna jest lista ówczesnych województw, których mieszkańcy w większości odrzucili ustawę zasadniczą: białkopodlaskie, białostockie, bielskie, gdańskie, krakowskie, krośnieńskie, lubelskie, łomżyńskie, nowosądeckie, ostrołęckie, przemyskie, rzeszowskie (tu padł rekord – niemal 73% przeciw konstytucji!), siedleckie, tarnobrzskie, tarnowskie i zamojskie. Pomijając Gdańsk – jeszcze wtedy utożsamiający się z legendą Solidarności i Wałęsą – wyraźnie widać spójny pas południowej i wschodniej Polski (z wyjątkiem województwa chełmskiego, w większości głosującego na „tak”), który

cztery miesiące później zmobilizował się jeszcze raz, dając zwycięstwo wyborcze AWS. Natomiast zachodnia część kraju, zdruzgotana wielką powodzią, nie potrafiła na to odpowiedzieć równie skuteczną mobilizacją po stronie SLD.

Tak oto po czterech latach wróciła do władzy prawica, wsparta wtedy przez Unię Wolności, w której nigdy

Przed referendum zatwierdzającym konstytucję liderzy AWS i ROP rozpętali kampanię kłamstw i inwektyw, mającą zohydzić nową ustawę zasadniczą i jej twórców.

nie brano pod uwagę wspólnego rządzenia z lewicą, choć w środowiskach pravicowych „różowa udecja” była równie, a może nawet bardziej znienawidzona niż „czerwoni”. Dziś jasno widać, że wchodząc do rządu Jerzego Buzka – będącego w gruncie rzeczy powtórką rządu Hanny Suchockiej, czyli koalicji pravicowo-unijnej – partia Leszka Balcerowicza i Bronisława Geremka wydała na

siebie wyrok, wykonany co prawda dopiero w wyborach z 2001 r. (UW dostała wtedy zaledwie 3% głosów), za to ostatecznie i nieodwracalnie.

Zniszczyć własne dzieło

Zanim jednak do tego doszło, Unia Wolności wydatnie pomogła prawicy zniszczyć swoje historyczne dzieło, czyli fundamenty III RP jako państwa opartego na kompromisie i rządach prawa, a nie na żądzy odwetu i dominacji ideologicznej. Nie tylko zresztą Unia – również PSL, którego oślawiona „obrotowość” w praktyce oznaczała wyciąganie korzyści materialnych ze współrządzenia z lewicą przy równoczesnej ideowo-politycznej kolaboracji z prawicą. To głosami UW i PSL uchwalono przecież – zaledwie kilka dni po przyjęciu konstytucji, 11 kwietnia 1997 r. – pierwszą ustawę lustracyjną. Na jej podstawie już kandydaci na posłów i senatorów we wrześniowych wyborach musieli składać oświadczenia potwierdzające współpracę z organami bezpieczeństwa PRL lub temu zaprzeczające. Do weryfikacji oświadczeń rok później ochoczo przystąpił „rzecznik interesu publicznego”, sędzia Bogusław Nizieński, fanatyczny lustrator powołany na to stanowisko przez prof. Adama Strzembosza w ostatnim dniu jego urzędowania jako pierwszego prezesa Sądu Najwyższego (warto o tym pamiętać pomimo dzisiejszego zaangażowania

prof. Strzembosza w obronę praworządności przed PiS).

A już w Sejmie III kadencji kluby UW i PSL pomogły prawicy w uchwaleniu ustawy powołującej Instytut Pamięci Narodowej (umożliwiając odrzucenie weta prezydenta Kwaśniewskiego), za co zresztą zostały wynagrodzone stanowiskami we władzach IPN. Nic dziwnego, że po klęsce Unii w 2001 r. duża część ▶

► jej działaczy znalazła się w Platformie Obywatelskiej, która miała być już zupełnie inną formacją – opartą na antykomunizmie i wyzbytą wszelkich przejawów lewicowej wrażliwości. A ludowcy tak łatwo weszli potem w wieloletni sojusz z PO, trafiając nawet do wspólnej frakcji chadeckiej w Parlamencie Europejskim.

Rok 1997 stał się więc początkiem politycznej izolacji lewicy. Takie stwierdzenie może brzmieć paradoksalnie – wszak to wybory prezydenckie w 2000 r. przyniosły zwycięstwo Aleksandra Kwaśniewskiego

Dla lewicy rok 1997 stał się zatem momentem historycznego triumfu (uchwalenie konstytucji), ale zarazem początkiem jej osamotnienia na scenie politycznej. Bo mimo swoich nadzwyczajnych talentów dyplomatycznych i wrodzonych zalet Aleksander Kwaśniewski nigdy nie zdobył prawdziwych sojuszników ani w partiach postsolidarnościowych, ani w PSL, co spowodowało, że w obliczu nagonki z lat 2003-2005 praktycznie pozostał sam. Również Leszek Miller nie był w stanie powtórzyć trwałej koalicji SLD-PSL

większego sensu, w grę wchodziły prezydenckie ambicje samego Borowskiego, które i tak były nie do zrealizowania. Za to bezpośrednio spowodował odejście Leszka Millera z funkcji szefa rządu i partii, co wcale nie „uzdrowiło” lewicy, lecz pogrzyżyło tę formację w jeszcze głębszym kryzysie.

Od feralnych wyborów sprzed 17 lat, które przyniosły podwójne (parlamentarne i prezydenckie) zwycięstwo PiS, lewica zeszła na poziom ugrupowania drugorzędного: w 2005 r. wprowadziła do Sejmu 55 posłów (wobec 216 cztery lata wcześniej), w 2007 r. – 53, w 2011 r. – już tylko 27, a w 2015 r. w ogóle wypadła z parlamentu. Co prawda, wróciła w ostatnich wyborach z 49 posłami, ale już w zupełnie innej konfiguracji partyjnej i pokoleniowej. I nic nie wskazuje na to, by w przyszłym roku miała szanse znacząco ten wynik poprawić.

Ale to tylko jeden aspekt klęski polskiej lewicy – łatwo mierzalny w liczbie posłów i procentach głosów. Drugi wydaje się znacznie ważniejszy, a jest nim osamotnienie ideowe lewicy. SLD przegrał walkę o pamięć historyczną, czego skutkiem jest dominujący w myśleniu społecznym antykomunizm – im dalej od upadku Polski Ludowej, tym bardziej radykalny. Wprawdzie etap prokuratorskiego ścigania ludzi władzy PRL oraz

Unia Wolności pomogła prawicy zniszczyć swoje dzieło, czyli fundamenty III RP. To głosami UW i PSL uchwalono pierwszą ustawę lustracyjną.

już w pierwszej turze, a wybory parlamentarne rok później dały historyczny sukces SLD, który pod wodzą Leszka Millera zdobył aż 41% głosów. Jednak druga kadencja prezydenta Kwaśniewskiego miała się okazać okresem brutalnych ataków prawicy na niego samego, jego współpracowników, a nawet na jego powszechnie lubianą i szanowaną żonę, rządu premiera Millera skończyły się zaś szybciej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Najpierw tzw. afera Rywina, a potem kolejne – prawdziwe lub tylko urojone – skandale ostatecznie odebrały społeczną popularność lewicy, utrwalając za to dominację ugrupowań prawicowych. Dominację, dla której punktem zwrotnym okazał się rok 2005, gdy „rząd dusz” w polskim społeczeństwie przejęły – na zasadzie ciągłego antagonizmu – PiS i PO. Ale przy wszystkich różnicach dzielących partie Kaczyńskiego i Tuska jedno je łączy: uznawanie lewicy za siłę niegodną partnerskiego traktowania, co najwyżej używaną jako rezerwuwar brakujących głosów sejmowych, by pognębić głównego przeciwnika. Tak traktowała lewicę Platforma w latach 2007-2015, tak traktuje ją PiS w obecnej kadencji, nic też nie wskazuje, by Donald Tusk i jego koledzy mieli w przyszłości zmienić podejście.

w Sejmie IV kadencji (2001-2005), bo ludowcy coraz częściej zerkali w prawo, a niedługo po usunięciu ich z rządu w 2003 r. wybrali kierownictwo o wyraźnie prawicowych poglądach – z prezesem Januszem Wojciechowskim oraz wiceprezesami Zbigniewem Kuźmiukiem i Zdzisławem Podkańskim – które ostatecznie i tak znalazło się w PiS. Skutek był taki, że tamtym Sejmem formalnie kierowała lewica, lecz politycznie dominowała w nim prawica, wspierana zarówno przez PSL, jak i Samoobronę (nieprzypadkowo

W Sejmie III kadencji kluby UW i PSL pomogły prawicy w uchwaleniu ustawy powołującej Instytut Pamięci Narodowej.

oba te ugrupowania poparły Lecha Kaczyńskiego przed drugą turą wyborów prezydenckich w 2005 r.).

Lewica się dzieli

W dodatku lewa strona sceny politycznej – po raz pierwszy w III RP – wzięła negatywny przykład z prawej i zaczęła się dzielić: w marcu 2004 r. z Sojuszu Lewicy Demokratycznej odeszła grupa posłów pod wodzą marszałka Sejmu Marka Borowskiego, tworząc Socjaldemokrację Polską. Ten ruch od początku nie miał

masowej lustracji elit mamy już za sobą (z powodów biologicznych), podobnie jak etap dekomunizacji przestrzeni publicznej (z powodu wyczerpania się zasobu „niestusznych” pomników i nazw ulic), lecz IPN-owski obraz najnowszych dziejów Polski trwale zakorzenił się w umysłach większości rodaków, powielany i umacniany przez rozmaite filmy, seriale, publikacje książkowe, prasowe i internetowe.

Równie trwała stała się akceptacja kluczowej roli Kościoła katolickiego – a właściwie jego hierarchii

i duchowieństwa – w życiu politycznym III RP. To też jest skutek pamiętnego roku 1997, choć oczywiście polityczne zaangażowanie kleru datuje się na lata wcześniejsze, skoro już w pierwszych wolnych wyborach w 1991 r. startował komitet pod nazwą Wyborcza Akcja Katolicka, a w 1993 r. – Katolicki Komitet Wyborczy „Ojczyzna”. Nazwy te służyły jednak tylko ukryciu powszechnie nieakceptowanego szyldu ZChN, a przecież w tych czasach było ono zaledwie jednym z wielu ugrupowań prawicowych, choć prawdą jest, że najbardziej kojarzonym z Kościołem.

W 1997 r. sytuacja się zmieniła. Zjednoczenie prawicy pod wodzą Mariana Krzaklewskiego spotkało się z gorliwym poparciem większości biskupów i proboszczów, a także nowego czynnika w polskim Kościele, jakim stało się Radio Maryja. Ojciec Tadeusz Rydzyk okazał się nadzwyczaj skutecznym negocjatorem, wprowadzając na listy AWS namaszczone przez siebie kandydatów, którzy dzięki promocji w toruńskiej rozgłośni uzyskiwali rekordowe wyniki i oczywiście mandaty poselskie. Zwycięstwu AWS niewątpliwie pomogła również VI pielgrzymka Jana Pawła II do Polski, odbywająca się na przełomie maja i czerwca 1997 r. Papież tradycyjnie odwiedził Kraków i południe kraju, ale też Wielkopolskę, ziemię lubuską i Dolny Śląsk, gdzie kilka tygodni później przeszła powódź. Co prawda, Jan Paweł II spotkał się z prezydentem Kwaśniewskim i premierem Cimoszewiczem, jednak masowe zgromadzenia na trasie papieskiej wizyty umożliwiły niedługo potem mobilizację wyborczą prawicy, tym bardziej że na jej listach znalazło się wielu lokalnych i ogólnopolskich działaczy katolickich. Na przykład jednym z czterech zastępców Krzaklewskiego w AWS był Kazimierz Kapera, przewodniczący Polskiej Federacji Stowarzyszeń Rodzin Katolickich i prezes Katolickiego Stowarzyszenia Lekarzy Polskich, po wyborach oczywiście zasiadający w Sejmie, ale również pełniący funkcję rządowego pełnomocnika ds. rodziny.

Polityczny klerykalizm pozostał zresztą stałą cechą tej formacji, o czym dobitnie świadczyła kolejna papieska pielgrzymka do Polski, równo dwa lata później, zapamiętana głównie z powodu bezprecedensowego wystąpienia Jana Pawła II na forum Sejmu i Senatu, gdzie papieżowi towarzyszyli AWS-owscy marszałkowie Maciej Płażyński i Alicja Grześkowiak.

Trudno nie zauważyć, że klerykalizm jako metoda uprawiania polityki nie tylko przetrwał AWS i Jana Pawła II, ale po jego śmierci

swój udział w klerykalizacji polskiej polityki miały Platforma Obywatelska („Kościół tagiewnicki” pod patronatem kard. Stanisława Dziwisza jako alternatywa dla „Kościoła toruńskiego”) oraz PSL. I znów: pod tym względem lewica zawsze była osamotniona, nie mogąc liczyć na przychyłność duchowieństwa.

Wszystkie inne środowiska polityczne wykorzystywały Kościół do własnych celów, a ludzie Kościoła nie pozostawali dłużni i korzystali ze swoich wpływów politycznych. Pierwszym tego przejawem było

Przy wszystkich różnicach dzielących partię Kaczyńskiego i Tuska jedno je łączy: uznawanie lewicy za siłę niegodną partnerskiego traktowania.

wręcz się umocnił. Nadzwyczaj skutecznie wykorzystuje go PiS, a momentem przełomowym pod tym względem były podwójne wybory w 2005 r., gdy Jarosław Kaczyński zawiązał trwały sojusz z ojcem Rydzykiem. Następne sukcesy PiS nie byłyby możliwe, gdyby nie zaangażowanie duchowieństwa i wykorzystywanie pseudoreligijnych argumentów przeciwko ugrupowaniom rywalizującym z partią Kaczyńskiego. Nie należy jednak zapominać, że

przeforsowanie konkordatu z Watykanem, podpisanego przez rząd Hanny Suchockiej przed wyborami w 1993 r., a ratyfikowanego przez Sejm dopiero na początku 1998 r. głosami AWS, UW, PSL i ROP, przy sprzeciwie SLD, który przez cztery lata starał się tę decyzję blokować. To wymowna ilustracja faktu, że wraz z II kadencją Sejmu skończył się rzeczywisty wpływ lewicy na polskie życie publiczne.

Paweł Siergiejczyk



FUNDACJA
DAJEMY
DZIECIOM
SIŁĘ

Przemoc niszczy dzieciństwo
i zostawia ślad na całe życie

REAGUJ
na przemoc
wobec dzieci

Nie wiesz jak?
REAGUJ.fdds.pl

Partnerzy:

terre des hommes
stops child exploitation

GROM
555

Piotr Kimla

Przygnębiła mnie satysfakcja, z jaką polskie elity polityczne przyjęły załamanie się niemieckiej „polityki wschodniej” (Ostpolitik). Jednym z istotnych elementów tej polityki był handel ze Wschodem, zgodnie z hasłem *Wandel durch Handel* (zmiana przez handel). ZSRR i później Rosja odgrywały w Ostpolitik kluczową rolę nie tylko z uwagi na ich pozycję w systemie międzynarodowym, lecz również z powodu możliwości eksportowania na Zachód taniego gazu ziemnego i ropy. Założenia „polityki wschodniej” zostały po raz pierwszy wyłożone przez Egoną Bahra w lipcu 1963 r. Bahr był wtedy najbliższym współpracownikiem burmistrza Berlina Zachodniego i przyszłego kanclerza Niemiec Willy’ego Brandta. Nie mam zamiaru zagłębiać się w szczegóły

Ostpolitik przyniosła Niemcom i wschodowi Europy spektakularne sukcesy. Umożliwiła pokojowe zjednoczenie Niemiec.

Ostpolitik. Nie ulega jednak kwestii, że polityka ta przyniosła Niemcom i wschodowi Europy spektakularne sukcesy. Nie tylko doprowadziła do unormowania stosunków Niemiec Zachodnich z NRD i z Polską Ludową. Umożliwiła obalenie muru berlińskiego, który to moment – ku naszej polskiej zgryzocie – uchodzi w oczach ludzi Zachodu za datę końca zimnej wojny. Umożliwiła zatem to niebywałe wydarzenie, jakim było pokojowe zjednoczenie Niemiec. Ponadto zapewniła niemieckiej gospodarce niezbędne surowce po niewygórowanych cenach, bezdyskusyjnie przyczyniając się do jej sukcesu. Działo się tak przez ponad 50 lat, jako że rosyjski gaz popłynął rurociągiem z Syberii do Marktredwitz w Bawarii w 1970 r.

Triumfalne wytykanie Niemcom tego, jak bardzo się mylili, handlując z Rosjanami i uzależniając swoją gospodarkę od rosyjskiego gazu i ropy, to kolejny po żądaniach reparacyjnych nieprzyjazny gest strony polskiej wobec zachodniego

Balansowanie na linie antyniemieckości

Granie antyniemiecką kartą oznacza odwołanie się do polskiego nacjonalizmu i potęgowanie go

sąsiada. Sąsiada, który od wielu lat prowadzi w stosunku do Polski wiarygodną politykę pojednania. Sąsiada, który pozostaje dla naszego kraju najważniejszym partnerem ekonomicznym. Sąsiada, który jest także zasadniczym sojusznikiem Polski na wypadek wojny. Sąsiada, od którego dobrej woli zależy i w przyszłości zależeć będzie bardzo wiele spraw istotnych dla Warszawy.

na czele – pod presją rodzimej opinii publicznej, zbulwersowanej inwazją Rosji na Ukrainę, posypała głowę popiołem. Uznali swój „błąd”. Politycy emerytowani – w tym kanclerz Angela Merkel – którzy nie muszą już zwracać tak bacznej uwagi na reakcje opinii publicznej, a co za tym idzie, mogą sobie pozwolić na odważniejsze wyrażanie swoich poglądów i sytuowanie ich bliżej

królestwa obiektywizmu, nie zgadzają się, by wieloletnią współpracę z Rosją postrzegać jako katastrofalny błąd Niemiec. Co więcej, była kanclerz Merkel uważa,

że dzięki wynegocjowanym porozumieniom mińskim dała Ukrainie osiem lat na przygotowanie się do obecnej wojny.

Nie trzeba sądzić, że atmosfera załamania wytworzona w związku z oskarżeniami o „niemoralną” wieloletnią współpracę z Rosją stanowi wyłączny problem Niemiec. Przeciwnie, jest to problem całej Europy, w szczególności zaś Polski. Atmosfera ta jest jednym z zasadniczych powodów powstrzymujących Niemcy przed występowaniem z propozycjami pokojowymi, które mogłyby doprowadzić do zakończenia wojny toczzonej za naszą wschodnią granicą. Podkreśla ten fakt Anatol Lieven (głoszący na łamach PRZEGLĄDU nr 24/2022) w ciekawej analizie „Why Germany’s Pursuit of Peace in Ukraine is Paralyzed” (Dlaczego niemieckie wysiłki na rzecz pokoju w Ukrainie są sparaliżowane). „Częściowym wytłumaczeniem – pisze Lieven – sparaliżowania działań Niemiec na rzecz pokoju jest zaakceptowanie przez

Ten gest jest w dodatku pełen załamania. Czy polska gospodarka nie była uzależniona od gazu, ropy, a w ostatnim czasie nawet od węgla z Rosji? Czy podobnie jak Niemcy nie finansowaliśmy polityki Moskwy? Czy, patrząc na sprawy realistycznie, niemiecka klasa polityczna ma przeproszać za zapewnienie doskonałych warunków rozwoju swojego przemysłu przez 50 lat? Czy w latach 90. ubiegłego wieku i na początku wieku obecnego można było przewidzieć, że Rosja siłą przeciwstawi się istnieniu Ukrainy jako samodzielnego państwa, skoro zgodziła się na uzyskanie przez nią niepodległości w 1991 r.? Innymi słowy, czy można było wiedzieć, decydując się na Ostpolitik w końcu lat 60. XX w., że w roku 2014 Władimir Putin pogwałci zasady prawa międzynarodowego i odbierze Ukrainie Krym, a w 2022 r. najedzie to państwo?

Naturalnie część polityków niemieckich – z prezydentem RFN Frankiem-Walterem Steinmeierem

większość establishmentu [niemieckiego – P.K.] narracji, zgodnie z którą poprzednie niemieckie rządy powinny się wstydzić promowania dobrych stosunków z Moskwą, a w szczególności uzależnienia kraju od rosyjskiego gazu. Narrację tę wytrwale podtrzymują Waszyngton, Polacy i inni mieszkańcy Europy Wschodniej oraz niemieccy Zieloni, którzy nie uczestniczyli w rządach podejmujących te decyzje i traktują je jako poręczny kij do wymierzania ciosów innym partiom” (responsibletatecraft.org/2022/10/25/why-germanys-pursuit-toward-peace-in-ukraine-is-paralyzed/).

Granie kartą antyniemiecką w polskiej polityce to ryzykowne balansowanie na linie. Jest tak z dwóch powodów. Po pierwsze, dowodzi nieznajomości zasad elementarza politycznego, które nie pozostawiają wątpliwości, że rozumna polityka to polityka „wychylona ku przyszłości”. W związku z tym należy dążyć do jak najlepszych stosunków z sąsiadami, deeskalowania potencjalnych konfliktów, wybaczenia krzywd. Naturalnie żyją jeszcze Polacy, którzy doświadczyli niemieckiego terroru. Tego wszystkiego, co wstrząsająco,

Oczekiwanie wybaczenia od ofiar i świadków bestialstwa jest prawdopodobnie oczekiwaniem idącym za daleko. Jednak ich tragiczne przeżycia sprzed dziesiątków lat nie mogą definiować teraźniejszej polityki. Zarzykują twierdzenie, że same ofiary i świadkowie w większości by sobie tego nie życzyli.

Po drugie, granie antyniemiecką kartą jest polityczną nieodpowiedzialnością i ślepotą, ponieważ oznacza, koniec końców, odwołanie się do polskiego nacjonalizmu i potęgowanie go. Nacjonalizm pozostaje jedną z najpotężniejszych i najniebezpieczniejszych politycznych sił. Polskim nacjonalizmem, jak zresztą każdym innym, nie można w swobodny sposób zawiadywać. Nie jest to dorożka, do której da się w każdej chwili wsiadać i wysiadać – jeśli wolno zapożyczyć metaforę od Maxa Webera. Byli myśliciele w Polsce – nietuzinkowi i nie spod znaku endecji – którzy uważali, że tak długo, jak Polacy są pozbawieni bytu państwowego, należy rozpalać polski nacjonalizm. I nagle obudzili się w II Rzeczypospolitej zamieszkiwanej przez ponad 30% mniejszości narodowych. Obudzili się w kraju

Była kanclerz Merkel uważa, że dzięki wynegocjowanym porozumieniom mińskim dała Ukrainie osiem lat na przygotowanie się do obecnej wojny.

jako zresztą jeden z wielu, opisał Zygmunt Mycielski: „Dr G. oswoiła się całkiem, opowiada o synach. Już wiem dużo – starszy miał wtedy osiemnaście lat, a młodszy, Andrzejek, piętnaście. Niemcy przyszli w nocy i całą trójkę zabrali na Pawiak. Raz dr G. mi powiedziała: »I wtedy, to oni ich tam strasznie mordowali«. Więcej szczegółów o tym mi nie mówiła. (...) Gdy wracałem, czułem tę straszną nienawiść do Niemców, którą pamiętam z obozu, gdy wieszali, bili, krzyczeli i deptali po rękach. (...) I pamiętam te góry popalonych ciał w Hamburgu. Ale, właściwie, to nad tym dominuje jej głos [dr G. – P.K.] – taki szalenie prosty i taki nie »literacki«” („Dziennik 1950-1959”, s. 100-101).

z roznieconym polskim nacjonalizmem, o czym najtragiczniej przekonał się prezydent Gabriel Narutowicz. Czy trzeba przypominać, że od 24 lutego 2022 r. dzisiejsza Polska stanowczo nie jest już krajem narodowościowo homogenicznym? Co za tym idzie, szermowanie antyniemieckością, które na dłuższą metę musi poruszać struny rodzimego nacjonalizmu, to brnięcie w uliczkę, o której dobrze wiemy, że jest ślepa. Ludzie o normalnym układzie nerwowym wyciągają z błędów jakieś wnioski. Politycy zdają się mieć licencję na to, by, po popełnieniu błędów przez poprzedników i przez siebie samych, spokojnie i metodycznie błądzić dalej.

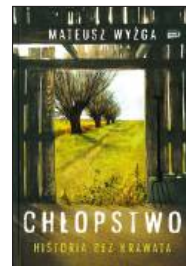
KSIAŻKI

Mateusz Wyżga

**Chłostwo
Historia bez krawata**

Znak Horyzont, Kraków 2022

Prof. Mateusz Wyżga, rocznik 1981, historyk, wieloletni sołtys rodzinnej wsi Dziekanowice, działacz społeczny, chłopskie dziecko, dociera do istoty tego, czym jest wieś w nas, jak wpływa na nasze życie i czego nas uczy. Pokazuje nam prawdziwy obraz polskiego chłostwa i polskiej wsi, wolny od polityki i stereotypów. „Historia polskiej wsi jest prosta jak konstrukcja cepa. Mijały pożogi dziejowe, rewolucje i zarazy, niszczały albo przepoczwarzwały się miasta, ale wsie na ogół przetrwały ze swoimi mieszkańcami. To opowieść o wsi wczoraj i dziś, przy kawie zbożowej z mlekiem oraz pajdzie chleba ze smalcem i kiszonym ogórkiem. Czy rację miał Stanisław Wyspiański, że chłop potęgą jest i basta?”, pisze we wstępie autor.

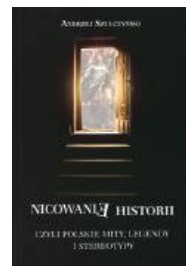


Andrzej Szulczyński

**Nicowanie historii
Czyli polskie mity, legendy i stereotypy**

Wydawnictwo Słowo, Warszawa 2021

Jako motto Andrzej Szulczyński, prawnik i historyk, stawia pytanie, czy historia jest nauczycielką życia. Czy przedstawiane przez historyków, kronikarzy, pisarzy wydarzenia mogą stanowić dla przyszłych pokoleń lekcję – w takim sensie, że należy się wystrzegać popełnianych już kiedyś błędów. Fakty bowiem nierzadko bywają przeinaczone, wręcz świadomie tworzone są legendy, mity, informacje o zdarzeniach, których w rzeczywistości nie było, a które zakłámują historię. Celem autora książki jest opisanie – w miarę obiektywnie – ważnych w naszej historii realnych procesów i wydarzeń, które okazały się błędne, a ich oceny fałszywe. Przeprowadzane analizy dotyczą m.in. początków Polski, dynastii Piastów, fenomenu tolerancji czy mitologii powstań i martyrologii narodowej.



Intelektualista w krainie onuc

Grzegorz Kołodko nie stara się zachować sympatii opinii publicznej poprzez mówienie tego, czego się od niego oczekuje

Agnieszka Wołk-Łaniewska

Tylko Grzegorz Kołodko mógł nazwać swoją książkę o agresji Rosji na Ukrainę „Wojna i pokój” – bez żadnego speszzenia *gravitas* poprzedniego dzieła, które nosiło ten tytuł. Tylko Grzegorz Kołodko mógł taką książkę napisać – albowiem jest on bodaj jedynym w Polsce intelektualistą, który nie stara się zachować sympatii opinii publicznej poprzez mówienie tego, czego się od niego oczekuje. I chyba tylko PWN mógł ją wydać: wydawnictwo naukowe o niekwestionowanej renomie, które ma odwagę opublikować pracę z punktu widzenia obecnego konsensusu politycznego w Polsce bluźnierczą.

Nie jako tłumacząc swoją straceńczą odwagę, na okładce książki PWN cytuje Orwell: „Wolność słowa to moje prawo do mówienia tego, czego nie chcesz słyszeć” I dodaje: „Wydawnictwo Naukowe PWN umożliwia autorowi tej wyjątkowej książki skorzystanie z tego prawa”. Jestem dziwnie pewna, że ten rodzaj rozumienia wolności słowa nie jest zbyt popularny wśród polskich obrońców wolności.

Ponieważ intelektualista jest strawą dla inteligencji, a ta głosuje przeważnie przeciwko PiS, gros intelektualistów reprezentuje obóz anti-PiS; do ich obowiązków należy zatem być proeuropejskimi, postępowymi i zatroskanymi o praworządność. Ale ich najświętszym obowiązkiem – niezależnie od strony sceny politycznej, której uczyczą swojego intelektu – jest bycie radykalnie antyrosyjskimi.

Kołodko nie jest antyrosyjski.

Nie jest też prorosyjski w obecnym obowiązującym znaczeniu tego słowa; nie usprawiedliwia agresji, potępia ją w niedwuznaczny sposób; trzeci rozdział książki nosi tytuł „Nie usprawiedliwia najazdu Rosji na

Ukrainę” – ale ma odwagę sięgnąć poza powszechnie obowiązujące wyrazy oburzenia i szukać odpowiedzi na kilka kluczowych pytań.

Grzegorz Kołodko w tej straceńczo odważnej książce, będącej swą „piątą częścią trylogii” (kto czytał czwartą, „Świat w matni”, wie, o co chodzi; taki żart profesora pod adresem tych, co lubią się go czepiać), idzie nie inną drogą niż nieliczni lewicowi intelektualiści światowi, którzy postanowili inaczej spojrzeć na sytuację po 24 lutego. Noam Chomsky, Naomi Klein, Janis Warufakis zostali skazani przez lewicową bańkę – także w Polsce – na totalną infamię, albowiem jednoznacznie potępiając agresję, odważyli się wskazać geopolityczne źródła sytuacji, która do niej doprowadziła. Czyli prowokację, jaką

nieprzemijającą miłością, bo gniewa mnie fakt, że dziś już nikt nie pamięta o wojnie Busha, która podpałała Bliżni Wschód i zaważyła relatywny pokój na świecie.

Analizując bliższe przyczyny, Kołodko odwołuje się do amerykańskiego politologa Johna Mearsheimera – jego teoria „realizmu ofensywnego” jest w Polsce zwalczana z inkwizycyjnym ogniem – i pyta, czy „ktoś potrafi wyobrazić sobie hipotetyczną sytuację, kiedy to USA nie interweniuje zbrojnie, jeśli jakiś antyamerykańsko nastawiony rząd w Ciudad de México zapraszałby Rosję – albo Chiny – do szkolenia i wyposażenia meksykańskiej armii?”. Mearsheimer uważa, że „rozszerzenie NATO jest sercem strategii, ale obejmuje również ekspansję Unii Europejskiej oraz

Kołodko trafnie i bezwzględnie wytyka kolektywnemu Zachodowi, że przedłużanie wojny jest w interesie Zachodu, a nie Ukrainy.

była zapowiedź przyjęcia Ukrainy do NATO – projekt nierealny, służący jedynie pogębieniu Rosji, pokazaniu, że nie ma nic do powiedzenia w swoim najbliższym regionie.

Kołodko mniej uwagi poświęca źródłom tego konfliktu, więcej jego skutkom i sposobom wyjścia z niego, a także interesom biorącym udział w grze.

Wspomina – dość pobieżnie, ale absolutnie trafnie – że przyczyny „nie tyle wybuchu, ile stopniowego odradzania się” zimnej wojny tkwią w wydarzeniach o dwie dekady wcześniejszych, czyli w inwazji na Irak: „Wtedy zaczął się proces rewizji stanowiska Rosji prowadzący do odchodzenia od współpracy z Zachodem na rzecz »wstawania z kolan«, na które jakoby Rosja została rzucona po likwidacji ZSRR w latach prezydentury Borysa Jelcyna”. Kocham Kołodkę za to

przekształcenie Ukrainy w proamerykańską demokrację liberalną, a z rosyjskiej perspektywy jest to zagrożenie egzystencjalne”.

Kołodko ma wizję odmienną od poglądów Mearsheimera: podkreśla, że nie polityczno-gospodarcze, ale jedynie militarne wciąganie Ukrainy w orbitę Zachodu doprowadziło do tragedii, z którą mamy dziś do czynienia; że „prozachodniość Ukrainy nie powinna być tożsama z jej antyrosyjskością”, albowiem „Ukraina nie może mieć dobrej przyszłości, nie mając dobrze ułożonych i stabilnych stosunków zarówno z Zachodem, jak i ze swoim wielkim wschodnim sąsiadem”. Kołodko zgadza się z Mearsheimerem, że Zachód miał udział w postawieniu naszego cierpiącego teraz potworne i niezasłużone krzywdy sąsiada w takiej właśnie pozycji, ale sądzi, że nie miało to nic

wspólnego z europejskimi aspiracjami Ukrainy. Cytuje – o zgrozo – Putina i Ławrowa, którzy wielokrotnie powtarzali, że dążenie Ukrainy do UE „nie stwarza dla Rosji żadnych zagrożeń i ryzyka”. W odróżnieniu od NATO, które Rosja – słusznie czy nie – postrzega jako zagrożenie. Kołodko uważa, że niesłusznie, ale zauważa też, znowu cytując Mearsheimera, że „kiedy jesteś krajem takim jak Ukraina i mieszkasz w sąsiedztwie wielkiego mocarstwa, takiego jak Rosja, musisz uważać na to, co myślą Rosjanie, ponieważ jeśli weźmiesz kij i wbijesz im go w oko, będą dążyć do odwetu”.

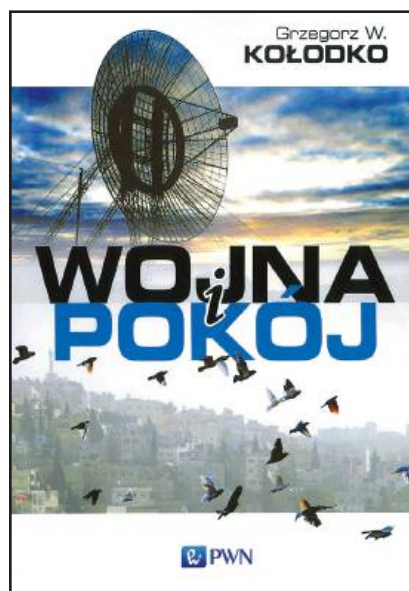
Jednak nie wydarzenia, które doprowadziły do 24 lutego, ale ostatnie osiem mrocznych miesięcy, a także perspektywy na przyszłość, są głównym tematem książki.

Po pierwsze, Kołodko trafnie i bezwzględnie wytyka kolektywnemu Zachodowi, że przedłużanie wojny – m.in. poprzez futrowanie Ukrainy bronią, zwłaszcza jeśli kiedyś będzie musiała za nią zapłacić – jest w interesie właśnie Zachodu, a nie Ukrainy. Jest bowiem prawdą, że Rosja się wykrwawia, tyleż dosłownie, co ekonomicznie, ale Ukraina wykrwawia się znacznie szybciej. Ponieważ gospodarki Rosji i Ukrainy są nieporównywalne – do tego niektóre sankcje działają paradoksalnie w interesie rosyjskiej ekonomii, np. wzmacniając rubla, w którym Rosja kazała sobie płacić za surowce, a ich cenę podnosząc wobec niedoborów na rynku – znaleźliśmy się w sytuacji, że „nim gruby schudnie, to chudy umrze”.

To ostatnie to już mój dodatek, Kołodko ujmując to bardziej wyrafinowanie: „Bezlitosne mechanizmy ekonomiczno-finansowe tego destrukcyjnego układu konfliktu działają tak, że dużo i długo musi cierpieć Ukraina, po to, aby mocno, aż nie do wytrzymania, ucierpiała na tym Rosja”. Kołodko zarzuca Zachodowi myślenie: Rosja „jest w stanie wytrwać znacznie dłużej i dlatego ta kosztowna wojna ma trwać dłużej”. Tymczasem „najważniejsze jest jak najszybsze zakończenie walk, by nie ginęli ludzie” – i tu profesor wygłasza absolutnie bluźnierczy pogląd: „nawet za cenę utraty przez Ukrainę części jej terytorium”. Dodaje przy tym, że z 750 mld dol.,

na które wycenił odbudowę kraju premier Ukrainy, „lwią część pochłonęła by odbudowa Donbasu. Jeśli utrzyma się on przy Ukrainie, to będzie to jej i tych, co chcą jej pomóc, zmartwieniem. Jeśli nie – będzie to zmartwienie Rosji. Kto odbuduje Mariupol, ten za to zapłaci”. Za to Kołodko na pewno spłonie na stosie, a ja chętnie do niego dołączę, bo też tak uważam.

Druga sprawa – i to jest lejtmotyw publikacji i wypowiedzi profesora w ostatnich latach, a zwłaszcza miesiącach – szaleńczy wyścig zbrojeń,



z którym mamy obecnie do czynienia, jest w interesie wyłącznie producentów broni, którym de facto służą politycy, straszący lud zagrożeniem: „Wytwarzanie atmosfery zimnowojennego amoku czy wręcz (przed)wojennej psychozy jest szczególnie korzystne dla eksporterów broni, wśród których absolutny globalny prym wiodą Stany Zjednoczone, ale lukratywne interesy robią też inne czołowe kraje Zachodu – w kolejności Francja, Niemcy, Wielka Brytania i Hiszpania. Trudno byłoby w demokratycznych państwach forsować wydatki militarne – zwłaszcza w obliczu niedostatku środków publicznych na politykę społeczną – gdyby doniosła większość ludności była temu przeciwna. Ma popierać taki kurs polityki, ale aby to było możliwe, trzeba ją przekonać, że to jest jakoby niezbędne, bo wróg czyha”. Oczywiście – dodaje Kołodko

– 3%, 4% czy 5% PKB na zbrojenia, zwane dla naszego lepszego samopoczucia „obroną narodową”, to są pieniądze, których zabraknie nie tylko na edukację i służbę zdrowia, ale także na transformację energetyczną, niezbędną do walki z prawdziwym, a nie wygenerowanym politycznie zagrożeniem ludzkości, jakim są zmiany klimatyczne. Profesor nie staje po stronie „niesłuchanych przez nikogo ideowych pacyfistów” (do których ja się zaliczam) – przekonuje natomiast, że należy utrzymać równowagę zbrojeń na jak najniższym, nie jak najwyższym, możliwym poziomie.

W książce – choć krótkiej – jest jeszcze wiele innych kwestii, które pomagają zrozumieć świat: źródła inflacji, nieskuteczność sankcji, stan globalizacji, coraz powszechniejszą tęsknotę za autorytaryzmem. Przeczytajcie sobie sami, bo naprawdę warto.

Na zakończenie napiszę jednak o jednej propozycji dla polskiej klasy politycznej, którą zgłasza Grzegorz Kołodko, a która może pomóc Ukrainie bardziej niż wszystkie górnolotne okrzyki i wstążeczki w klapach celebrytów.

„W przeliczeniu na dolary całkowity dług publiczny Ukrainy na koniec 2021 r. wynosił ok. 98 mld, co stanowiło 61,7% PKB. Z tej kwoty dług zagraniczny to ok. 57 mld. Stać Zachód, który tak zdecydowanie – i słusznie – opowiada się po stronie Ukrainy, na zasadniczą redukcję tych zobowiązań, a nawet na całkowite ich umorzenie. To właśnie Unia powinna wyjść z jednoznacznej inicjatywą w tej sprawie, a później monitorować i nadzorować proces oddłużenia. Szczególnie predestynowana do zgłoszenia takiego projektu pomocowego jest Polska”.

Jeśli lewica – która moim zdaniem odeszła od lewicowych wartości, bezrozumnie włączając się w (żeby zacytować profesora) „polityczny jazgot przeplatający się z medialnym bełkotem” – naprawdę chce pomóc krajowi, który wymaga pomocy, powinna zostać orędownikiem i pionierem tego programu.

Chciecie coś zrobić dla Ukrainy, towarzysze? To jest wasza szansa.

Grzegorz W. Kołodko, *Wojna i pokój*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2022

Oszukana encyklopedia

Wikipedię nadal trudno traktować jako rzetelne źródło wiedzy

Kornel Wawrzyniak

Bez względu na kierunek każdy student pierwszego roku słyszy to samo: „Wikipedia kłamie. Jest tam pełno błędów i uproszczeń. To żadne źródło, nie powołuj się, nie sprawdzaj”, przestrzegają nauczyciele i starsi koledzy. I choć internetowa encyklopedia istnieje już 21 lat, ta przestroga nie straciła aktualności.

Argumentów jest sporo. Latem tego roku ujawniono jedną z największych wpadek Wikipedii w całej jej historii. Osoba kryjąca się pod pseudonimem „Zhema” zmyśliła lub przeinaczyła ponad 200 haseł z zakresu historii Chin i Rosji, a nawet biologii w chińskiej wersji Wikipedii. Na dodatek najnowszy raport

napisał w swoich mediach społecznościowych dr Maciej Kawecki, od 2021 r. prorektor ds. innowacji Wyższej Szkoły Bankowej w Warszawie. Nominacja 24-latką na stanowisko sekretarza zarządu w Wikimedia Europe jest świetnym pretekstem, aby przyrzeć się funkcjonowaniu Wikipedii.

Wszyscy piszą encyklopedię

Hasło „Wikipedia” w polskojęzycznej wersji portalu definiuje ją jako wielojęzyczną encyklopedię internetową działającą zgodnie z zasadą otwartej treści. Oznacza to przede wszystkim, że nie tylko można korzystać bez opłat z wpisów zamieszczonych w portalu, ale również użytkownicy mogą w nie ingerować w celu ich udoskonalania.

Przez dwie dekady ta internetowa baza wiedzy stała się absolutną potęgą, jeśli chodzi o wyniki wyszukiwania. Większość internautów traktuje ją jako medium pierwszego wyboru, kiedy chcą sprawdzić jakieś nieznane im pojęcie. Wikipedia składa się z 6,5 mln artykułów i jest obecnie szóstą najpopularniejszą stroną internetową na świecie. Pierwszy polskojęzyczny artykuł został opublikowany już dziewięć miesięcy od powstania oryginalnego amerykańskiego portalu. Polska wersja encyklopedii liczy dziś ponad 1,5 mln haseł. „Tylko w angielskiej wersji znajduje się prawie 3,9 mln artykułów. 99% stron z Wikipedii jest wyświetlanych na pierwszej stronie z wynikami wyszukiwania w Google!”, wylicza dr Kawecki. Wokół Wikipedii narodziła się cała społeczność. Osoby współtworzące treści nazywane są wikipedydami. W polskiej wersji portalu ok. 2 tys. osób deklaruje się jako wikipedyści. Panuje między nimi specyficzna hierarchia wynikająca z zasad rządzących zamieszczaniem treści w portalu. „W związku z merytokracją i egalitarnością wiek i doświadczenie zawodowe (naukowe) nie są najważniejszymi czynnikami tworzącymi grupy wewnątrz społeczności”, czytamy pod hasłem „wikipedysta” w Wikipedii. Nie trzeba więc być specjalistą. Wystarczy mieć najnowsze dane i pewne źródło, które je potwierdzi.

Ta zasada, choć brzmi świetnie, okazuje się jednak pułapką. Dodatkowo nad jakością publikowanych informacji czuwają moderatorzy działający z ramienia Wikimedia Foundation. Nie chroni to jednak Wikipedii przed błędami, dezinformacją uprawianą przez różne grupy interesów czy przeinaczaniem faktów przez zwyczajnych żartownisiów i ludzi złośliwych. „Problemem dla Wikipedii jest choćby to,

Osoba o pseudonimie „Zhema” zmyśliła lub przeinaczyła ponad 200 haseł z zakresu historii Chin i Rosji oraz biologii w chińskiej wersji Wikipedii.

„Information Warfare and Wikipedia” (Wojna informacyjna i Wikipedia), przygotowany przez brytyjskie instytucje – Centrum Analiz Mediów Społecznościowych oraz Instytut Dialogu Strategicznego – pokazuje, jak łatwo zmanipulować obiektywne treści i zamienić je w propagandę.

Na początku października media obiegała wiadomość, że 24-letni Maciej Nadzikiewicz będzie zarządcą Wikipedii, czyli otwartą encyklopedią internetową, która skutecznie wyparła tradycyjne książki znajdujące się na półkach wielu domów. W internecie euforia. „Niezwyczajnie skromny chłopak Maciej Artur Nadzikiewicz objął właśnie funkcję członka jedynie pięcioosobowego zarządu Wikimedia Europe zarządzającej Wikipedią. To jest ogromny wpływ na rzeczywistość”,

Slogan Wikipedii brzmi w końcu: „Wolna encyklopedia, którą każdy może redagować”. Niestety, jest to w tym samym stopniu jej zaletą, co i wadą. To też zasadnicza różnica między nią a tradycyjną encyklopedią, będącą efektem pracy specjalistów. Wikipedię tworzą bowiem głównie wolontariusze, zarówno eksperci, jak i amatorzy. I chociaż Wikipedia zastrzega w swoich zasadach, że wszystkie artykuły muszą spełniać wymogi neutralności i mieć oparcie w wiarygodnych źródłach, są także na bieżąco weryfikowane i aktualizowane, życie pokazało, że z każdym z tych postulatów portal ma problem.

Wikipedia powstała w 2001 r. i na początku była dostępna jedynie w języku angielskim. Dziś znajdziemy w niej artykuły w 316 językach.

że ludzie szerzący dezinformację lub na usługach reżimów totalitarnych czy dużych korporacji mogą próbować na Wikipedii zafałszować niektóre informacje. Musimy temu zapobiegać”, stwierdził w wywiadzie dla portalu Nauka w Polsce prof. Dariusz Jemielniak, autor książki „Życie wirtualnych dzikich”.

Fakepedia

„Edytowanie Wikipedii to rodzaj przywileju, który dostaje się na zasadzie kredytu zaufania, że będzie się stosowało do przyjętych zasad. Kredyt ten można jednak roztrwonić poprzez łamanie zasad. Niewłaściwe zachowanie może skutkować czasowym lub nawet stałym zablokowaniem możliwości edytowania. Osoba zablokowana na stałe jest wykluczona ze społeczności”, czytamy w jednym z wpisów o tworzeniu haseł w Wikipedii. Cóż jednak z tego, jeśli jest się lobbyistą jakiejś sprawy, a zawsze znajdzie się sposób, aby mieć kilka kont w internecie?

W teorii tworzenie haseł wymaga twardych danych, czyli podania źródeł i zamieszczania do nich odpowiednich linków. Jednak nawet to nie chroni przed manipulacją faktami. Jako użytkownicy Wikipedii powinniśmy sprawdzać nawet podawane źródła. O tym, że istnieje taka potrzeba, mogliśmy się przekonać wielokrotnie. W 2006 r. polska prasa opisywała oszustwo grupki autorów nazywających się „Armia Batuty”, którzy dla żartu stworzyli w Wikipedii hasło o nieistniejącej postaci historycznej, Henryku Batucie. Według zmyślonych informacji miał on być jednym z głównych działaczy Komunistycznej Partii Polski i urodzić się w Odessie w 1897 r. jako Izaak Apfelbaum. Oszustwa nie wykryto przez 15 miesięcy. O „Zhema” i zmyślonych informacjach z historii Rosji i Chin



W Wikipedii możemy znaleźć artykuły w 316 językach.

już wspominaliśmy. W toku śledztwa, które przeprowadziła społeczność wikipedystów, wyszło na jaw, że osoba podająca się za zwyczajną gospodynię domową przez 10 lat, a więc połowę istnienia Wikipedii, pisała teksty wprowadzające innych użytkowników w błąd. Na trop tej afery jako pierwsza zupełnym przypadkiem wpadła Yifan, autorka powieści fantasy, która, szukając

się ze sobą i wzajemnie potwierdzały, tworząc iluzję, że użytkownicy mają do czynienia z faktami. „Zhema”, korzystając z kilku kont, dyskutowała nad artykułami sama ze sobą i chwaliła swoje wpisy. To bardzo sprytny zabieg, ponieważ właśnie na zasadzie sporów między wikipedystami i ich ustaleń powstają kolejne hasła w internetowej encyklopedii. Było to mistrzostwo „wikipedystycznego zła”, które po części jest konsekwencją przyzwolenia samej Wikipedii na zachowanie anonimowości przez wikipedystów. „Nie ma źródła, którym można ufać bezkrytycznie. Badania pokazują, że Wikipedia zawiera teraz nie więcej błędów niż tzw. źródła profesjonalne. A ma tę ogromną przewagę nad innymi źródłami, że mamy tam kontrolę społeczną: wiemy kto, kiedy i jak edytował dane hasło. I są tam podane odnośniki – źródła, z których zaczerpnięto dane informacje”, twierdzi prof. Jemielniak. Jak widać, kontrola społeczna nie była jednak w stanie wyłapać przez 10 lat wpisów jednej osoby. Co więcej,

Oszuści wprowadzili ponad 794 tys. zmian w prawie 333 tys. artykułów, by nagiąć je do narracji prorosyjskiej.

inspiracji do nowej książki, natrafiła w chińskiej Wikipedii na hasło o rosyjskiej kopalni srebra Kaszyn w miejscowości o tej samej nazwie. O ile miejscowość rzeczywiście istnieje, o tyle żadnej kopalni nigdy tam nie było. Najciekawszy był jednak model działania „Zhema”. Kryjąca się pod tym pseudonimem osoba podawała w źródłach m.in. nieprawdziwe cytaty z prawdziwych książek lub publikacji naukowych bądź linki do artykułów, które, choć prawdziwe, to były nie na temat. Tworzone przez nią hasła łączyły

nie udało się ustalić jej tożsamości, a tak na dobrą sprawę nawet pćci, bo swoje domysły wikipedyści mogą opierać jedynie na informacjach, jakie „Zhema” sama o sobie zamieszczała. Można więc z prof. Jemielniakiem zgodzić się o tyle, że jesteśmy w stanie wyłapać oszustwo, ale tylko wtedy, kiedy dotyczy ono wiedzy powszechnej, łatwej do zweryfikowania przez większość osób, a nie wiedzy na poziomie eksperckim, wymagającej znajomości np. chińskich dynastii lub zagadnień mikrobiologii.

► **Biogramy z niespodziankami**

Miliony haseł Wikipedii, choć robią wrażenie, również nie pomagają w zachowaniu rzetelności wpisów. We wspomnianym już brytyjskim raporcie „Wojna informacyjna i Wikipedia” przeanalizowano działania 86 edytorów, którzy zostali wcześniej zablokowani w Wikipedii z powodu naruszenia regulaminu. Mieli oni przede wszystkim edytować wpisy dotyczące agresji Rosji

wpisów, a jedynie podmieniali źródła i konkretne wypowiedzi, które miały świadczyć na korzyść Rosji. Autorzy badania podkreślają, że używanie tendencyjnych źródeł jest jednym z czynników, które wpływają na podatność Wikipedii na fake newsy.

Internetowa encyklopedia potrafi też dopieć osobom, które znalazły się w niej jeszcze za życia. Zasadniczym problemem jest fakt, że nie można zmieniać wpisów

ku swojemu ogromnemu zdziwieniu, dowiedział się, że w latach 90. był prezesem Polskiego Związku Hodowców Koni Arabskich. Ot, zwykła zbieżność nazwisk. Jerzy Domański, o którego chodziło, zmarł w 2012 r., o czym szeroko informowało środowisko hodowców koni. Ale ten fakt twórcom biogramu naszego naczelnego już umknął, a błędna informacja wisiała w internecie przez wiele miesięcy.

Słowem, z Wikipedią jest nadal sporo problemów. I choć swoją popularnością wyparła klasyczne encyklopedie, nadal wiele jej brakuje do książkowego pierwowzoru. Tak samo jak dwie dekady temu nie jest (na całe zresztą szczęście) uznawana za rzetelne źródło wiedzy. Oczywiście nie sposób przecenić wygody korzystania z tego narzędzia. Jednak wpisana w Wikipedię otwartość jest równocześnie największą przeszkodą na drodze do stania się pełnoprawną encyklopedią.

Grupka autorów nazywających się „Armia Batuty” dla żartu stworzyła hasło o nieistniejącej postaci historycznej, Henryku Batucie.

na Ukrainę. Oszuści wprowadzili ponad 794 tys. zmian w prawie 333 tys. artykułów. Analiza wprowadzonych poprawek wskazuje na celowe próby manipulowania opisami wydarzeń i naginania ich do narracji prorosyjskiej. Co ciekawe, fałszerze znali się na swojej robocie – nie zmieniali całych

dotyczących własnej osoby. Adam Leszczyński, autor OKO.press, opisywał, jak przez kilka lat nie mógł się doprosić, aby zmieniono błąd w miejscu jego urodzenia z Żyrardowa na Warszawę. W podobnej sytuacji znajdował się również redaktor naczelny PRZEGŁADU Jerzy Domański, który parę lat temu,

Kornel Wawrzyniak

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Kraków

MAŁOPOLSKA

XV FESTIWAL TWÓRCZOŚCI KOROWÓD

7-15.11.2022
GŁOSOWANIE ONLINE!
na najlepszą polską piosenkę
KONKURSU „PIOSEKARNIA”

18.11.2022, g.19:00
Recital
Grzegorza TOMCZAKA

KONCERT GALOWY
BLUES O STARYCH SĄSIADACH piosenki JANA HNATOWICZA

gospodarz koncertu: Andrzej PONIEDZIELSKI
scenariusz: Anna TRETER

reżyseria: Wojciech GRANICZEWSKI
opracowania muzyczne: Jan HNATOWICZ

20.11.2022, (niedziela), g.18:00

WWW.PIOSEKARNIA.PL

YouTube

organizator festiwalu
Fundacja Piosenkarnia Anny listy

partner festiwalu
MAŁOPOLSKA
PROJEKT REALIZOWANY PRZY WSPARCIU FINANSOWYM WŁAŚCIWOŚCI KRAJOWEJ

organizator festiwalu
Kraków
PROJEKT KOOPERACYJNY WSPARCIEM WŁAŚCIWOŚCI KRAJOWEJ

organizator festiwalu
AGH

organizator festiwalu
za'ks
wspieramy region

organizator festiwalu
SWP

organizator festiwalu
BACÓWKA

organizator festiwalu
P

organizator festiwalu
naScenie.info

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Kruszenie pomnika

Czytam dzienniki poety Jana Lechonia, już niegdyś czytane, zupełnie niepamiętane. Zostało tylko wrażenie, że są mdłe, a teraz mi się podobają. Wojna zastała poetę w Paryżu, gdzie był dyplomatą, zamieszkał potem w Nowym Jorku. Smutek emigracji. Smutek impotencji twórczej. Obserwuje z dala ze zgrozą, jak stalinizm zagarnia Polskę, a jego przyjaciele, choćby Słonimski, Tuwim, Iwaszkiewicz, popadają w obłęd. Lechoń był gejem, co nie ułatwiało mu życia. Dzisiaj w Nowym Jorku czułby się pod tym względem o wiele lepiej. W dziennikach nie mówi o tym wprost, daje tylko znaki, pisząc o „najbliższej osobie”. W 1956 r. popełnia samobójstwo, skacząc z 12. piętra hotelu Hudson. Pamiętam, jak w Nowym Jorku stałem pod tym hotelem i patrzyłem do góry, skąd wyfrunął. Napisałem o tym nawet wiersz. Nagrobki wielu osób, o których pisze Lechoń, widzę w alei zasłużonych na Powązkach, idąc do rodziców. Myjemy z żoną ich grób, zawsze mi się to kojarzy z myciem zwłok. Ze zdumieniem widzę, że moja mama umarła już siedem lat temu, a to było, zdaje się, tak niedawno. Jakaś wiewiórka baraszkowała w pobliżu, co ożywiło scenę. W zasięgu wzroku grób Leopolda Staffa, którego ojciec znał i cenił, a tuż obok Wiecha – pamiętam rodziców, jak siedzieli z nim przy jednym stole, w domu Zaiksu w Sopocie. A teraz leżą obok siebie. Święto Zmarłych, największe polskie święto, jak twierdził Miłosz. Myślę, czy nie powinno być na wiosnę, a nie jesienią, gdy gnijące liście podwajają smutek.

Prezes umiejętnie gra fobiami ludu, jest chory, a Polska jest chora jego chorobą.

Laicyzacja Polski dzieje się na naszych oczach. Wiele na to dowodów, choćby triumf w Polsce Halloween, lamenty Kościoła nic tu nie pomagają. Moi synkowie – od jakiegoś czasu już ateści, nic nie pomogły lekcje religii – z paczką kolegów, nieludzko poprzebierani, biegali po domach na Żoliborzu, żądając cukierków. Zebrali ich całą reklamówkę. W gronie znajomych mówiliśmy o upadku mitu Jana Pawła II. „Papież na pewno był człowiekiem głęboko zanurzonym w wielowiekowej tradycji tej instytucji, która ukrywała wszystko to, co brudne i co bolesne, co po prostu jej szkodzi”, mówi łagodnie Marcin Gutowski. Znika więc ostatni autorytet. Ania Nasiłowska, prezes Związku Pisarzy, która zbiera podpisy pod listem broniącym kamienicy Johna, siedziby pisarzy, mówi mi, że szuka autorytetów, ale nikt jej nie przychodzi do głowy. Więc bierze nasze podpisy. Im więcej będzie wiedzy

o skali molestowania seksualnego w Kościele, o tym, jak to tuszowano, jak Wojtyła udawał, że nie słyszy, tym bardziej będzie się kruszył mit naszego papieża. A przecież nasz papież to była kolumna, na której wspierała się wiara i moralność wielu Polaków, z obu stron barykady naszej wojny domowej. Polska narodowo-katolicka już krzyczy, że lewica i liberałowie, niszcząc mit Jana Pawła II, niszczą Polskę. I są zdrajcami. Prawda jako zdrada. Oni chcą budować silną i moralną Polskę na kłamstwie, słaby to fundament.

Idzie ciężka zima. Szaleją inflacja i ceny węgla, bieda. Najnowszy raport OECD mówi, że co czwarty Polak nie byłby w stanie poradzić sobie z utratą dochodu i przeżyć z oszczędności przynajmniej miesiąc. Z drugiej strony ledwie 13% Polaków deklaruje, że z zaskórniaków byłoby w stanie przetrwać więcej niż sześć miesięcy bez obniżenia standardu życia. Trwa dramat z opafem, nie ma go bądź jest bardzo drogi. Są obiektywne trudności, są zaniedbania rządu. I są dramaty ludzi. Też kurczą mi się dochody i oszczędności. Jedyne pożytek z tej biedy, że PiS zapewne przez nią przegra wybory.

Słuchałem czasami bajdurzenia prezesa. Zapiekł się w nienawiści. Te kpiny z Tuska są obsesyjne, uporczywe i grube. Zżera go nienawiść. I co chwila ten rechet. Mówi o całej opozycji, jakby to byli zdrajcy. A przecież karą za zdradę jest śmierć. Umiejętnie gra fobiami ludu, jest chory, a Polska jest chora jego chorobą. Jest kilka żelaznych wątków propagandy PiS, które stworzył Kaczyński. Pięć plag polskich: Tusk, Niemcy, sędziowie, Unia Europejska i LGBT. Prezes nie robi nic, by zdobyć nowych wyborców, odwołuje się już tylko i wyłącznie do swoich wierzących, ukrzepia ich w wierze. Ale znajmy proporcje, chociaż nic dobrego nie można powiedzieć o PiS, nadal nie ma przedwojennej Berezy Kartuskiej i Brześcia, gdy tysiące przeciwników rządzących było więzionych i maltretowanych, a ma to na sumieniu Piłsudski, którego przecież tak cenimy. Nie do wiary, ale przed wojną polska demokracja była jeszcze bardziej chora, niż jest teraz. No i te mniejszości narodowe. To szło w fatalną stronę, paradoksalnie Hitler „uchronił” Polskę przed jakąś formą faszyzmu. A te skrzepy endeckiego myślenia z innej epoki nadal są żywe.

Rytm pożądania

Tamara Łempicka uznała, że bycie artystką stanowi usprawiedliwienie dla każdego zachowania, na jakie przyjdzie jej ochota

Marta Motyl

Coraz dalej i dalej niosło Tamarę Łempicką przekonanie, że jest w stanie podbić Paryż twórczością i osobowością. Po tworzeniu bezpiecznych martwych natur i portretów sięgnęła po elektryzującą tematykę aktu. Negliż cieszył się popularnością i w rozbuchanym życiu, i w rozbuchanej sztuce lat 20.

Malowanie aktów coraz powszechniej przyjmowało się wśród artystek. Tworzyły je Émilie Charmy, Suzanne Valadon, Jacqueline Marval, Maria Blanchard, Alicja Halicka, Maria Marevna. W 1922 r. w Paryżu otwarto wystawę aktu w sztuce europejskiej, która dodatkowo ośmieliła artystki do eksperymentów. Wzorem dla Łempickiej i innych stał się zwłaszcza Gustave Courbet. Za jego przewodem malarki przedstawiały nagość bez upiększania, bez subtelności, za to z pewną dozą brutalności.

Co ciekawe, Łempicka wpisywała się w dwa ówczesne stereotypy dotyczące twórczyń, które zawodowo zajmują się nagością. Po pierwsze, że pozuja im prostytutki. Artystka



Tamara Łempicka, 1898-1980

z powieści „Ostatni akt” ujmuje relację na linii malarka-modelka bez zbędnych niedomówień.

Już w pierwszych recenzjach obrazów wspomniano o pasji artystki do prezentowania wizerunków amazonek (jak określano wtedy lesbijki). Malarka przedstawiała jednak kobiecy homoerotyzm pozbawiony plotkarskich uproszczeń właściwych

A miała tych imprez po kokardę. Szaleństwo I wojny odreagowywano coraz to nowymi szaleństwami. (...)

Ten okres w życiu malarki przypominał epizod manii w chorobie dwubiegunowej: spotęgowanie energii, wzmożenie aktywności seksualnej, zmniejszenie potrzeby snu, a przy tym wzrost ambicji i wyostrezone, twórcze myślenie, które powoduje większą produktywność. Godząc rolę studentki, malarki, żywicielki domowego stada i rozpustnicy, Łempicka wspomagała się trzema paczkami papierosów na dzień. A także, w zależności od potrzeby, kokainą na rozbudzenie albo walerianą na uspokojenie.

W połowie 1923 r. André Lhote, malarz, i André Gide, pisarz, przybyli do pracowni artystki, żeby obejrzeć prace, które miała zamiar zaprezentować na Salonie Jesiennym. Dzięki ich wpływom „Dwie przyjaciółki” przeżyły się w bardzo dobrym miejscu na wystawie. Przemyślany zabieg, w połączeniu z atakującym publiczność pazurem erotyzmu, sprawił, że obraz wyróżnił się i wybił spośród kilku tysięcy innych. Liczba relacji prasowych o dziele początkującej artystki była imponująca. Czy

Im więcej szalona malarka mówiła o wolności, tym więcej szanowny małżonek mówił o prowadzeniu domu w tradycyjnym stylu.

buszowała w poszukiwaniu modelek po Lasku Bulońskim, miejscu oblężonym przez kobiety do wynajęcia. Po drugie, że autorki kobiecych aktów to lesbijki. A interesuje je głównie uprawianie seksu pod przykrywką uprawiania sztuki. Cóż, Łempicka bardzo zręcznie godziła obie aktywności. „Wypręż twarz – mówiła, więc patrzyłam na nią twardo, a moje rysy nagle stawały mi się obce. – Wyobraź sobie, że się kochamy. Zasympiasz. Budzisz się. I już”, narratorka

stereotypom. Obrazowała go z powagą. Przełomowo. W czasach, gdy wy-malowała „Dwie przyjaciółki”, wciąż dominowało przekonanie, że kobiety wyłącznie bawią się w lesbijską miłość. Nie były od niego wolne i artystyczne kręgi. Awangardowi twórcy mile widzieli w kółkach wzajemnej adoracji skandalistki, o ile one skandalizowały wedle ich pragnień. Łempicka zaś pozostawała samodzielna. Do imprez nie potrzebowała towarzysztwa awangardzistów.

raczej artysty, Łempicka bowiem podpisała płótno jako Lempitzky. W połowie lat 30. wyjaśniła, że używała tej formy przez pierwsze lata kariery, ponieważ pragnęła szacunku, który budziła męska wersja jej nazwiska. (...)

Tymczasem apatia pana Łempickiego trwała. Nawet kiedy wreszcie otrzymał posadę w Banque de Commerce w Paryżu, dokuczało mu poczucie wykorzenienia. Zyskiwał na pewności siebie wtedy, kiedy czuł przynależność do danej kultury. Od żony nie dostawał zrozumienia. Kiedy wracał do domu, popijał alkohol i związał się w fotelu.

Gasnącego męża Łempicka traktowała protekcjonalnie. Nie martwiła się o córkę Kizette. Ta znajdowała się pod zaufaną opieką ojca, babki bądź gosposi, na którą wreszcie było stać małżonków. Artystka poświęcała dziecku czas podczas późnego śniadania – przy rogaliku, kawie z mlekiem i cukrem, soku pomarańczowym rozmawiała z małą o aktualnościach (!) – a następnie udawała się na zajęcia w pracowni. Po ich upływie kierowała kroki do kawiarni, żeby podyskutować i poznać

arystokracji i bogatej burżuazji. Dostęp do paryskich elit uzyskała dzięki znajomości z Natalie Barney, kobietą zamożną i wpływową, wspierającą sztukę i też lubiącą chadzać w tango aż po świt. Rosnąca popularność malarki w towarzystwie poszerzała krąg zamawiających. (...)

Łempicka popełniła jednak jeden niewybaczalny błąd. Zbyt mocno, jak na gust ówczesnego środowiska twórczego, skróciła dystans dzielący sztukę od komercji. Świat artystyczny nie zareagował alergicznie na

z wykwintnymi potrawami roznosiły dziewczęta błyskające nagością oraz czerwonymi i srebrnymi piórami wczepionymi we włosy. W rezultacie środowisku artystycznemu Łempicka wydawała się dyletantką z wyższych sfer, a w wyższych sferach raziła zdeprawowaniem.

Próbę godzenia przeróżnych kontrastów przenosiła do sztuki wprost z własnej skomplikowanej osobowości. (...)

Przywykła do zbytków, które otaczały ją od dzieciństwa i które odzyskała pracą własnych rąk, życzyła sobie większego bezpieczeństwa materialnego, niż sama mogła sobie zapewnić.

Łempicka przedstawiała kobiecy homoerotyzm pozbawiony plotkarskich uproszczeń. Obrazowała go z powagą.

plotki. Tak zastawał ją wieczór, kiedy od nowa szykowała się na nocną rundkę.

Im więcej szalona malarka mówiła o wolności, tym więcej szanowny małżonek mówił o prowadzeniu domu w tradycyjnym stylu. O ile po ucieczce do Paryża rzeczywiście znęcał się nad żoną, o tyle później żona nie pozostała mu dłużna. (...) Zdaniem Kizette relacja między matką a ojcem weszła w schyłek po głośnej wystawie indywidualnej w Mediolanie w 1925 r. Wtedy Łempicka ostatecznie uznała, że bycie artystką stanowi usprawiedliwienie dla każdego zachowania, na jakie przyjdzie jej ochota. Pozostawała egoistyczna i narcystyczna, figury kobiece tworzyła na swój obraz i podobieństwo. Gwoździem do małżeńskiej trumny było wdanie się przez Tamarę w miłosną awanturę z Gabrielem d'Annunziem, podstarzałym poetą, prozaikiem i donżuanem. Dla niej romans nie miał większego znaczenia, dla jej męża wręcz przeciwnie.

Rozwiedli się na początku lat 30., chociaż artystka próbowała ratować związek. Mało co potrafiło ją zaskokować. A jednak zaszokowało ją, że ukochany postanowił odejść od niej do nudnej panienci z dobrego polskiego domu. Mianowicie do Ireny Spiess, córki właściciela największej w Polsce firmy farmaceutycznej.

Porażka w życiu miłosnym nie wpłynęła negatywnie na życie malarskie Łempickiej. Artystka była coraz bardziej rozchwytywaną portrecistką



Dwie przyjaciółki (Perspektywa), 1923 r.

relacje malarki z ludźmi o grubych portfelach, natomiast w jego kręgach należało stwarzać pozory, że gardzi się własnym mecenatem. Tymczasem Łempicka nie dość, że tego nie robiła, to jeszcze organizowała wystawne obiady i chwaliła się nimi w prasie.

Może nie tyle organizowała, ile reżyserowała, razem z wszelkimi perwersjami, jak to miała w zwyczaju. Na przykład w 1924 r. zaprosiła dość konserwatywne towarzystwo na przyjęcie, na którym tace

Mimo że po rozwodzie z Łempickim kilkakrotnie odrzuciła oświadczenia barona Raoula Kuffnera, w 1933 r. ugięła się i zawarła małżeństwo z rozsądku. Jego rodzina do I wojny światowej posiadała największy majątek ziemski w Austro-Węgrzech. Sam Kuffner, poza swoim przedsiębiorstwem rolno-spożywczym, interesował się sztuką. Jego kolekcja zawierała m.in. dzieła Albrechta Dürera, malarstwa holenderskiego i dzieła Łempickiej. Zanim został jej mężem, był jej mecenasem. Łączyło ich ▶

► zwłaszcza upodobanie do rzeczy w jak najlepszym gatunku. (...)

Ich małżeństwo pozostawało otwarte. Kuffner nie pociągał Łempickiej fizycznie. „Mój pierwszy mąż był bardzo przystojny. Drugi miał charakter”, podsumowała obu panów. Tym samym dała do zrozumienia, że w Kuffnerze ujęło ją to, czego nie miał Łempicki, mianowicie psychiczna twardość. Łempickiego złały bolszewicka rewolucja i przeprowadzka do nowego miejsca. W jego byłej żonie wspomnienie rewolucji rezonowało także. Namówiła więc Kuffnera do wyprzedaży sporej części majątku i wyjazdu do Stanów Zjednoczonych, żeby uchronić się przed nadciągającą nad Europę

W 1924 r. zaprosiła konserwatywne towarzystwo na przyjęcie, na którym tace z potrawami rozносиły dziewczęta błyskające nagością.

II wojnę. Zwłaszcza że oboje mieli żydowskie pochodzenie.

Wyjechali w 1938 r.

Jeszcze przed wyjazdem w obrazach artystki zaszły zmiany, a ona sama zajęła się religią i filozofią i zagustowała w nieco większej skromności. Relacjonowała, że zrobiła to pod wpływem zmęczenia nawracającą depresją i chęci... wstąpienia do klasztoru w pobliżu Parmy. Chęć minęła, gdy tylko Łempicka ujrzała twarz matki przełożonej i natychmiast zapragnęła ją namalować. Mięciem opuściła klasztorne mury dla ukochanej sztuki.

Tymczasem art déco okrywało się coraz gorszą sławą, ponieważ do form neoklasycznych, z których czerpało, nawiązywała również sztuka propagująca XX-wieczne totalitaryzmy. Wypaczyło to zabieg sięgania do przeszłości w służbie teraźniejszości.

Po wyjeździe do Stanów Zjednoczonych Łempicka wiele sobie obiecywała, ponieważ tam art déco, w przeciwieństwie do Europy, wciąż cieszyło się uznaniem. Zaprezentowała dzieła m.in. w Paul Reinhard Gallery i w Julien Levy Gallery w Nowym Jorku.

Jednak nowy nurt w jej sztuce, z wizerunkami ascetycznych postaci,

nie wpisał się w potrzeby amerykańskiej publiczności tak, jak tego oczekiwała. Do sukcesu nie przyczyniał się jej wizerunek w amerykańskiej prasie – nie artystki, ale baronowej z pędzlem. (...) Trendy artystyczne zmieniały się jednak nieubłaganie i wciąż na niekorzyść Łempickiej. Po II wojnie światowej w sztuce amerykańskiej zapanowała moda na ekspresjonizm abstrakcyjny, kierunek całkowicie malarce obcy, zakładający wielokierunkową kompozycję *all over*. Liczyło się oddanie procesu malowania, gruba, ociekająca farbą, mięsista faktura obrazu, Łempicka natomiast uparcie trwała przy klasycznym modelu piękna i klasycznych cechach warsztatu. Zalety jej

obrazów, takie jak zwarta kompozycja, przepych formy, staranne wykończenie dostały metkę „ale to już było”.

W latach 40. i 50. nadal przewrotnie malowała to, co chciała, tym razem martwe natury inspirowane sztuką holenderską i flamandzką. Wciąż należała do kręgów towarzyskich, jak w każdym miejscu, w którym mieszkała, czy to w Nowym Jorku, czy w Hollywood. I chętnie portretowała ich przedstawicieli. Wciąż wydawała olśniewające przyjęcia. Choć nie snuły się już wśród gości nagie kelnerki ani nie serwowano haszysz, jak w Paryżu, cieszyły się znaczną popularnością. Podawano na nich egzotyczne dla amerykańskiej socjety potrawy rosyjskie i polskie, w tym bigos.

Na najpóźniejszych obrazach Łempicka dokonała kolejnego przewrotu, tym razem nie w tył, ale w przód, ku stylistyce abstrakcyjnej. Postulowała się szpachlą i bawiła fakturą, zupełnie jak nie ona. Jednak i te płótna nie spotkały się z uznaniem w czasie, w którym powstały.

Po latach zapomnienia do łask publiczności przywróciło malarzkę ponowne odkrycie i docenienie art déco w latach 70.

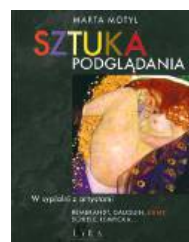
Do dzisiaj pokutuje przekonanie, że jej dzieła z okresu międzywojnia zawierają sto procent Łempickiej w Łempickiej. Z nimi jest kojarzona najbardziej. Ona jednak za życia nie godziła się na to wybiórcze uznanie, zwracając uwagę, że nieustannie pozostaje zaprzyjaźniona z paletą i pędzlem.

Zmarła w 1980 r. w Meksyku, dokąd przeniosła się na krótko przed śmiercią. W ostatniej woli wyraziła życzenie, by jej prochy rozsypano nad kraterem wulkanu Popocatepetl.

Wybuchowa energia aż po kres!

Na renesans twórczości Łempickiej silnie wpłynął interaktywny spektakl „Tamara” Johna Krizanca, powstały w latach 80. (...) Ponadto obrazy Łempickiej zaczęły kolekcjonować amerykańskie gwiazdy, jak choćby Jack Nicholson, Madonna, Barbra Streisand. Nicholson poczynił nawet jakże intymne wyznanie, że dzieła doprowadzają go niemal do orgazmu. Z kolei Madonna pokazała reprodukcje obrazów Łempickiej, bądź ich fragmenty, w teledyskach do piosenek „Open Your Heart” i „Vogue”. Tym sposobem zmieniła je w jeden z prowokujących elementów własnej popkulturowej układanki, składającej się z ciągu skojarzeń dotyczących zmysłowości, zaczerpniętych i z malarstwa, i z kina, i z mody, i ze striptizu. (...)

Obrazy wywołują szybsze bicie serc kolekcjonerów. Zwłaszcza kiedy przeliczują oni niebotyczną cenę upatrzonego płótna. Już w trakcie aukcji zestaw cech obrazów Łempickiej, który Nicholson określił jako ekscytujący, czyli gorąca miłość, chłód i wyrachowanie, staje się częścią ich życia. Na licytacji w londyńskim domu aukcyjnym Christie’s w lutym 2020 r. za „Portret Marjorie Ferry” zapłacono zawrotną cenę odpowiadającą ponad 82 mln zł, co uczyniło Łempicką najbardziej kosztowną polską artystką.



Fragmenty książki
Marty Motyl *Sztuka
podglądania.*
W sypialni z artystami,
Wydawnictwo Lira,
Warszawa 2020

KURTYNA W GÓRĘ

To były pięknie dni?

Brunhilde Pomsel wspomina dobre czasy przedwojennych Niemiec, okres zabaw i początków kariery zawodowej, po upływie dekad, kiedy jako 102-letnia staruszka dociera do kresu życia w domu spokojnej starości. Kobieta, która dzięki swoim talentom stenotypistki dochodzi do pozycji sekretarki Goebbelsa, nie poczuwa się do żadnej odpowiedzialności – czy choćby śladu współodpowiedzialności – za zbrodnie niemieckie. Właściwie

całkowicie oddziela działanie aparatu przemocy i zbrodni od jej własnego sumiennego wykonywania obowiązków, więcej niż głośniwie opłakanego, i odgranicza od miłych wspomnień wspólnych zabaw i spotkań. To były po prostu piękne dni.

Christopher Hampton, ceniony scenarzysta i dramaturg, dwukrotny laureat Oscara, przypadkiem, dopiero w roku 2016 – rok przed śmiercią pani Pomsel – natknął się na jej historię i od razu nieomylnie dostrzegł w niej mocny materiał dramaturgiczny. Obejrzał austriacki film dokumentalny jej poświęcony i przesłuchał 30 godzin nagrań opowieści sekretarki ministra propagandy. Po przejrzeniu tego materiału postanowił nadać projektowanemu monodramowi uogólniający tytuł – sztuka miała się nazywać „German Life”.



Anna Seniuk zmierzyła się z tym tekstem i stworzyła we współpracy z reżyserem Grzegorzem Małeckim (prywatnie jej synem) spektakl dramatyczny, ze swoim rytmem, miejscami skupienia, wstrzymania oddechu i kumulacji napięć. Powstało przedstawienie przejmujące, choć na pozór bardzo skromne. Niby nic tu się nie dzieje – aktorka prawie cały czas siedzi w fotelu, popija herbatkę, czasem robi kilka kroków

i to wszystko. Aby wspomóc jej wysiłki i podnieść temperaturę opowieści, reżyser zadbał o sugestywne ilustracje wideo, przywołujące czasy Niemiec przed zdobyciem i po zdobyciu władzy przez Hitlera. Momentem kulminacyjnym jest podburzające przemówienie Goebbelsa, który podrywa Niemców do udziału w bezprzykładnych zbrodniach, nazywanych wzniośle misją i (sic!) wstawaniem z kolan.

Spektakl trzeba koniecznie zobaczyć, ze względu zarówno na temat wciąż dla nas ważny i nieprzepracowany, jak i na szansę obcowania z mistrzowskim warsztatem wielkiej aktorki.

Tomasz Miłkowski

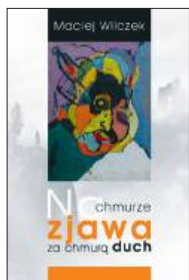
Christopher Hampton, „Życie pani Pomsel”, tłum. Małgorzata Wrzesińska, reż. Grzegorz Małecki, Teatr Polonia, premiera 22 września 2022

MIĘDZY OKŁADKAMI

Maciej Wilczek

Na chmurze zjawa, za chmurą duch

Dom Wydawniczy Margrafen, Bydgoszcz 2022



Ukazał się trzeci tom „trylogii z cieniem”, jak można nazwać zapis wędrówki autora po świecie i towarzyszących mu refleksji. Pierwszy tom zatytułowany został „Na chmurze ujrzeć cień wędrowca” (2020), drugi „Za chmurą cień, za cieniem słońce” (2021) i wreszcie „Na chmurze zjawa, za chmurą duch” (2022). Tytuły wiążą się z dziełem Nietzschego „Wędrowiec i jego cień”, ale chyba bardziej ze zjawiskiem o nazwie widmo Brockenu, gdy w górach widzi się własny cień na chmurze znajdującej się poniżej obserwatora. Istnieje przesąd, że kto je zobaczy, szybko umrze, ale gdy to przetrwa i zobaczy trzy razy – stanie się niezniszczalny. Maciej Wilczek wyruszył w egzotyczne strony świata po śmierci bliskiej osoby, jakby rzucając sobie wyzwanie, że przetrwa klątwę. Były to właściwie powolne włóczęgi, nastawione na smakowanie inności świata. A jeszcze bardziej wyprawa w głąb siebie, sprawdzanie swoich zachowań w sytuacjach ekstremalnych. Zadanie trudne, lecz autor jest wnukiem Henryka Panasa (apokryf „Według Judasza”), więc zrozumiałe, że chciał się zmierzyć z godnym przeciwnikiem.

Marek Książek

NA POWAŻNIE



Pikanteria z pieprzykiem

Jak pokazać wyczyny erotyczne Casanovy? Sposób znalazł pochodzący z Nowej Zelandii choreograf Gray Veredon, przygotowując balet o życiu króla kochanków i uwodzicieli. W epizodach tanecznych i pantomimicznych są subtelnie zainscenizowane przykłady relacji z dwiema kobietami, uwodzenia postaci w męskim odzieniu albo pożądania wzbudzanego w siostrach zakonnych. Twórcom przedstawienia bardzo pomogła muzyka Antonia Vivaldiego, który, choć sam był księdzem, komponował z ogromnym żarem uczuć.

Bronisław Tumilowicz

„Casanova”, koncepcja i choreografia Gray Veredon, Teatr Wielki w Łodzi, premiera 22 października 2022

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz

Melancholia, posępnicza, smutnodur

Bliżej nam do kolektywnej melancholii niż do zbiorowej hysterii, czyli wspólnego okazywania lęku

Rozmawia Dominika Tworek

Co wspólnego z depresją mają takie określenia jak melancholia, zaduma, smutnodur czy posępnicza?

– To terminy, którymi posługiwali się XIX-wieczni polscy psychiatrzy na określenie stanów melancholijnych. Bardzo istotnym, a często zapomnianym fragmentem historii melancholii jest fakt, że wyszliśmy z punktu, w którym była ona synonimem szaleństwa – stanu, w którym pojawiały się różnego rodzaju złudzenia oraz zaburzona była percepcja rzeczywistości. Krok milowy w odejściu od takiego rozumowania nastąpił wraz z początkiem psychiatrii pod koniec XVIII w. A dokładniej z wprowadzeniem przez Jeana-Étienne’a Esquirola pojęcia pomostowego *lypémanie* – „mania smutku”. Termin ten bardzo krótko funkcjonował w psychiatrii, ale był o tyle istotny, że mogliśmy przejść ze sfery tego, co nazwano obłądem, do tego, co jest bliższe naszemu obecnemu wyobrażeniu na temat depresji. Właśnie po tym przełomie pojawiły się określenia smutnodur, posępnicza, ponurowatość czy wybuchy zadumowe, które przez lata były pomocne w opisywaniu stanu melancholii.

Czym XIX-wieczni melancholicy różnią się od osób współcześnie określanych jako cierpiące na depresję?

– W opisach melancholii więcej jest kwestii związanych ze sferą poznawczą człowieka, czyli tego, jak postrzega on rzeczywistość. A także czegoś, co w psychologii nazywamy ruminacjami, czyli nawracającymi obsesyjnymi myślami, od których nie możemy się oderwać, co z kolei wprowadza nas w obniżone



DR MIRA MARCINÓW

– psycholożka, filozofka i pisarka, zajmująca się m.in. teorią szaleństwa, ze szczególnym uwzględnieniem polskiego dziedzictwa

samopoczucie. Natomiast depresja jest zaburzeniem nastroju, czyli dotyczy bardziej kwestii emocjonalnej.

Jak doszło do medykalizacji tego melancholijnego czy depresyjnego stanu?

– Najważniejsze rzeczy wydarzyły się w latach 80. XX w. W 1980 r. Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne ustaliło, żeby diagnozować depresję na podstawie występowania przez minimum dwa tygodnie jednego z trzech objawów: obniżonego nastroju, zmęczenia oraz utraty apetytu. Czyli żeby mówić o depresji, wystarczyło wyłącznie 14 dni! Uznano, że tak jest, bez opisanego wyjątków od tej reguły. A wcześniej depresja – rozumiana jako pewnego rodzaju obniżenie – traktowana była jako naturalna konsekwencja różnych życiowych

wydarzeń czy objaw wielu chorób. Nowe podejście do depresji spowodowało, że rzeczywiście była ona bardzo często rozpoznawana. Wtedy też zaczęły się pojawiać kolejne publikacje twierdzące, że mamy do czynienia z epidemią depresji, że jest to choroba cywilizacyjna. W mojej opinii takie postawienie sprawy już przed 40 laty wydaje się dość pośpiesznym ruchem.

Czy coś jeszcze przysłużyło się medykalizacji?

– Znamiona coraz szerszego rozpoznawania u ludzi zaburzeń depresyjnych miało również wprowadzenie w 1988 r. fluoksetyny, czyli leku znanego pod nazwą handlową Prozac. Na rynku pojawiła się książka „Wysłuchując się w Prozac” Petera Kramera, która stała się bestsellerem. Mówiła ona o tym, że żyjemy w erze psychofarmakologii kosmetycznej, bo za pomocą prozacu możemy udoskonalać funkcjonowanie ludzi, którzy wcale nie znajdują się w jednoznacznie patologicznym stanie, ale chcą być w lepszym. Autor porównywał to do medycyny estetycznej, gdzie mamy do czynienia z dobrze funkcjonującą jednostką, która poprawia sobie dobrze działający, ale wyglądający nieidealnie nos. Analogicznie stwierdzono, że dzięki prozacowi możemy funkcjonować jako bardziej produktywni, przebojowi, a w konsekwencji bardziej pożądanymi na rynku pracy obywatele. **Ta medykalizacja ma zalety, np. mniejszą społeczną stygmatyzację osób borykających się z depresją. Jednak wrzucanie tego głębokiego ludzkiego doświadczenia do jednego worka z grypą czy nowotworem wydaje się zubażające.**

– Oczywiście. Stan uważany za część ludzkiej kondycji, który jest bardziej autorefleksyjny i polega na przyglądaniu się swoim negatywnym

emocjom, dziś redukowany jest do stanu psychopatologicznego, czyli do depresji. Nie podważam faktu, że są osoby, które znajdują się w sytuacji jednoznacznie wymagającej pomocy, czyli w depresji klinicznej, ani że istnieje coś takiego jak dystymia, czyli przewlekłe obniżenie nastroju o łagodniejszym przebiegu. Bardzo ważne jest zachowanie świadomości cierpienia psychicznego, które może być stanem klinicznym, ale należy jednocześnie pamiętać o całym spektrum stanów mentalnych, które dają możliwość zbliżenia się do siebie samego, głębokich przemyśleń czy doświadczania rzeczy, na które często społecznie nie ma przyzwolenia. Innymi słowy, szukam takiego języka na mówienie o melancholii (termin ten jest mi bliższy niż słowo depresja), w którym znajdzie się miejsce i na jednostkę psychiatryczną, i na to, żeby konfrontować się z ludzkimi trudnościami bez wpadania w pułapkę medykalizacji.

Jak psychoterapeuci czy psychiatrzy sobie z tym radzą?

– W każdym przypadku trzeba indywidualnie zmierzyć się z pytaniem, co jest w tym momencie bardziej niebezpieczne. Z jednej strony, mamy nadmierne leczenie stanu, który może doprowadzić do przewartościowania. Bo przeżywane cierpienie może sprawić, że ostatecznie wejdziemy na bardziej satysfakcjonujący dla nas poziom życia, odkrywamy, co jest dla nas

sukcesu i przekraczania własnych granic?

– Ostatnio ukazuje się coraz więcej publikacji na ten temat. Ważną książką mówiącą o tym problemie jest „Społeczeństwo zmęczenia” koreańskiego filozofa Byung-Chul Hana. Autor pisze w niej o depresji przyjemności – w jaki sposób coś, co społecznie uznajemy za atrakcyjne, czyli np. samodoskonalenie, powoduje, że jesteśmy dla siebie pewnego rodzaju tyranami. Nieustanne

Pojawił się autoterror, żebyśmy sami od siebie wymagali więcej i mieli poczucie winy, gdy nie robimy tyle, ile czujemy, że powinniśmy.

zmuszanie się do tego, żeby więcej przeżywać, więcej osiągać, doprowadza nas do stanu, w którym nie możemy już chcieć więcej.

Takie myślenie o depresji jest nowatorskie?

– Mówi się o tym dłużej, niż nam się wydaje. Takie diagnozy społeczne padały już pod koniec XIX w. Zawsze mnie dziwi, że chociaż temat ten jest coraz bardziej współczesny, wciąż nie może dojść do głosu. Niby wszyscy wiedzą, że mamy do czynienia z „kulturą zapieprzu” – mówimy o tym w coraz bardziej dosadnych słowach – ale to nadal nie jest słyszane. Już przed 15 laty, gdy wnikliwie rozpatrywana była kultura korporacji, podkreślano, że należy zmienić

pod warunkiem że odpowiednio nastroisz swój umysł.

– W XX w. francuski filozof Michel Foucault pisał o metodach dyscyplinowania społeczeństwa przez władzę. Dziś coraz silniej podkreśla się, że ta dyscyplinująca siła nie jest już w kręgach systemowych, tylko została skierowana do wewnątrz. Na przykład w korporacjach to już nie jest kwestia szefa, który nas dyscyplinuje, każe nam więcej i więcej pracować, a jak nam nie wychodzi, to brać

więcej leków i narkotyków. Teraz pojawił się autoterror, w którym chodzi o to, żebyśmy sami od siebie wymagali więcej i mieli poczucie winy, gdy nie robimy tyle, ile czujemy, że powinniśmy. To tzw. motywacja hubrystyczna, pozornie bardziej szlachetna, bo skierowana do siebie, żeby przekraczać własne granice.

Dlaczego poddajemy się temu autoterrorowi?

– Kiedyś porównywaliśmy się z dużo mniejszą grupą osób, czyli z tymi, z którymi mieliśmy bezpośrednio do czynienia. Dziś za sprawą internetu, mediów społecznościowych możemy się porównywać właściwie z wszystkimi. Mówimy o przebojowości, produktywności, samorealizacji, o tym, żeby być coraz lepszymi, ale zauważmy też, że narzucamy sobie bardzo dużą powinność bycia szczęśliwymi. Rodzice mówią: „Chcę tylko, żeby moje dziecko było szczęśliwe”. Ale to z pozoru bardzo minimalistyczne oczekiwanie, które brzmi superprzyjemnie, to jest jednak strasznie dużo. Pragnienie bycia szczęśliwym w obecnych okolicznościach: wojny w Ukrainie czy trwającej jeszcze pandemii, to strasznie dużo. Ten przymus bycia szczęśliwym jest kolejną pułapką, z której bardzo trudno nam się wyzwolić.

Obecnie depresja często jest diagnozowana u ludzi młodych. Może, zamiast faszzerować ich lekami, należałoby na nią spojrzeć jak

Narzucamy sobie powinność bycia szczęśliwymi. Ten przymus jest kolejną pułapką, z której bardzo trudno nam się wyzwolić.

naprawdę ważne. Z drugiej, pojawia się pytanie, czy bardziej niebezpieczne jest nadmierne leczenie normalnego stanu, czy niedoszacowanie ryzyka depresji klinicznej, co może się skończyć tym, że dana osoba popełni samobójstwo. Myślę, że obawa przed niedoszacowaniem jest zwykle dużo silniejsza.

Czy można potraktować depresję jako zamrożenie, które jest odpowiedzią adaptacyjną na kulturę stale wymagającą od nas młodości, szczęścia, przebojowości, ambicji,

warunki pracy, a nie zmieniać człowieka, który nie nadąża. Jednak w tej dziedzinie tak naprawdę niewiele się zmieniło. Dziś coraz głośniej mówi się o tym, że właściwie dajemy ludziom jakieś sposoby lepszego przystosowania się do systemu, w którym produktywność nabrała wymiaru przekraczającego ludzkie zdolności i jest czymś nie do udźwignięcia. Zauważamy to, ale wciąż nie zmienia się środowiska pracy.

Obecnie pokutuje przekonanie, że możesz robić właściwie wszystko,

► **na zjawisko, u którego podstaw leży typowe dla nastolatków poszukiwanie odrębności od wspólnoty?**

– W żaden sposób nie chciałabym bagatelizować problemu depresji u nastolatków. Statystyki samobójstw dzieci i młodzieży są przerażające, a w Polsce mamy największy kryzys psychiatrii właśnie na tym polu. Jednak gdy tylko jako matka dwójki dzieci uspokoję swoje lęki i spróbuję spojrzeć na tę kwestię jako filozofka, pamiętam o tym, że melancholia

rodzaj melancholijności zwykle nas zachwyca, tę melancholię chcemy chronić, żeby pozostała częścią ludzkiej egzystencji. Ale jest to rodzaj romantyzacji melancholii czy po prostu idealizacji. Grupa, w której najczęściej stwierdza się zaburzenia depresyjne, czyli mężczyźni powyżej 60. roku życia, niespecjalnie jest romantyzowana. Taką melancholię się medykaliźuje, ujmując w terminach psychiatrycznych. I nie ma się wątpliwości, czy ten stan leczyć.

W Polsce bardziej niż o produktywność chodzi o kulturę materializmu, żeby dużo posiadać, kształtować swój status na podstawie statusu ekonomicznego.

nastolatków traktowana jest jako część pewnego wizerunku młodzieńca. Zwłaszcza w różnych subkulturach, takich jak emo czy goth, albo w środowiskach artystycznych, to wciąż uchodzi za coś atrakcyjnego społecznie. I dobrze. Moim zdaniem nie należy tego zganiać.

Zupełnie naturalne jest, że młody człowiek ma okres, kiedy chodzi przygnębiony, czyta bardzo smutne książki, wchodzi w lęki egzystencjalne, zastanawia się, jaki jest sens życia, jest zaniepokojony tym, co się dzieje na świecie. I ten

Czy my, Polacy, jesteśmy z natury melancholikami?

– W autostereotypie Polaka jest postać, która ma dostęp do własnego smutku. Jest też wieczna tęsknota. Polak melancholik, który tęskni nie wiadomo za czym. W XIX w. nazywano ten stan tęsknicą. Niektórzy twierdzą, że chodzi o tęsknotę za Polską sprzed rozbiorów, mówi się również o komunonostalgikach, którzy ciągle twierdzą, że za komuny było lepiej. Słoweński filozof Slavoj Žižek pisał o tym, że melancholik myli brak z utratą. Czyli wszędzie tam, gdzie

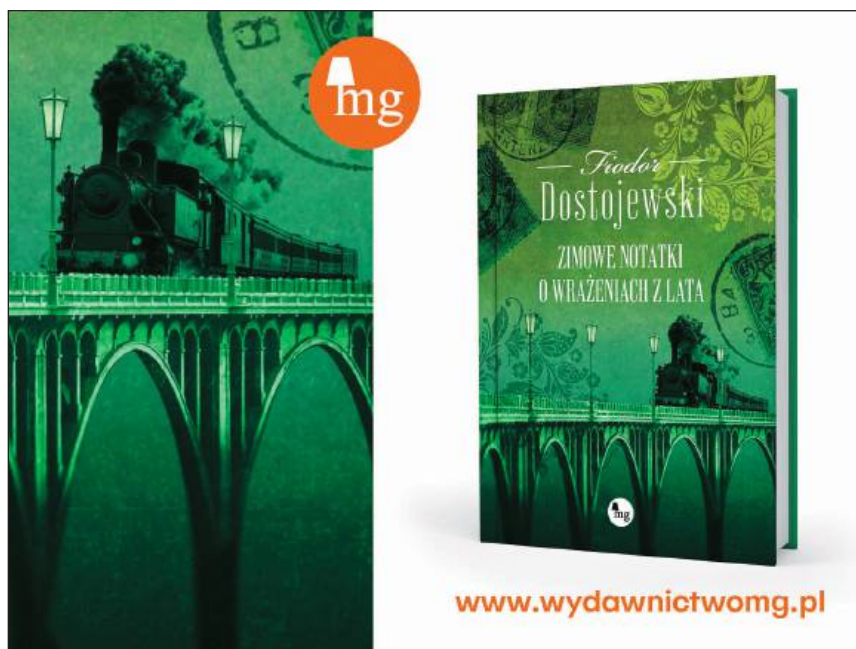
czegoś nie ma, uczuciowo wydaje mu się, że coś stracił. Ten rodzaj melancholijnego błędu przypisałabym właśnie polskiej zadumie. Że pod to, czego nie ma, podkładamy poczucie, jakbyśmy to kiedyś posiadali i utracili. I to poczucie straty jest przez nas gloryfikowane. W tym wszystkim jest bardzo dużo romantyzowania oraz poczucia wyższości. Przekonania, że my nie będziemy tymi z przyklejonym uśmiechem, jak Amerykanie.

Z drugiej strony mamy kulturę sukcesu i produktywności, którą skopiowaliśmy z Zachodu. To wywołuje pewien zgrzyt.

– W Polsce nawet bardziej niż o produktywność chodzi o kulturę materializmu, czyli o to, żeby dużo posiadać, żeby swój status kształtować na podstawie statusu ekonomicznego. Pojawia się chęć bycia lepszym, ciągłego samorozwoju. Jesteśmy przekonani, że jeżeli naprawdę dużo będziemy nad sobą pracować i się rozwijać, odnajdziemy poczucie szczęścia. Zarazem doświadczamy cierpienia, które z różnych względów – naszej historii czy religii – wpisane jest w polską mentalność. Połączenie tych dwóch zjawisk, z których trudno nam się wyplątać, z pewnością powoduje pewne pomieszanie.

Czy kryzysy, które nas dotyczą – pandemia, wojna u sąsiadów, drożyzna – kierują nas bardziej w stronę melancholii?

– W tym czasie nasze melancholijne zabarwienie jest bardzo silnie naznaczone lękiem przed tym, co może nas spotkać i co możemy stracić. Wciąż jednak mamy motyw Polaka, który doświadcza cierpienia. Można więc powiedzieć, że jesteśmy w swoim żywiole, chociaż to żywioł katastroficzy, żywioł zagłady. Z pewnością pozytywnym jest to, że społecznie mamy przyzwolenie na zamartwianie się i swego rodzaju zbiorowy pesymizm. Dzięki temu bliżej nam do kolektywnej melancholii niż do innego zjawiska – zbiorowej hysterii, czyli wspólnego okazywania lęku. Tę narodową melancholię może po prostu warto spróbować zaakceptować.



Dominika Tworek



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Dobrzy chłopcy

S krajnie chłodny wrzesień znalazł odpowiedź w nadzwyczaj ciepłym przełomie października i listopada, nie ma w tym nic dziwnego, ale kanapowe trolle zawsze znajdą powód do wywołania shitstormu. Podwarszawka dała się właśnie wkręcić w inbę, bo ten i ów oznajmił, że radość z ciepłej jesieni jest oznaką ignorancji. Bo to efekt cieplarniany, zatem należy się umartwiać, a nie smażyć kiełbaski na ogniu z pożaru własnego domu. Jak było zimno, to jeszcze gorzej, bo zachodu słońca w Milanówku nie widać przez smog, Konstancin śmierdzi paloną oponą, a Podkowa Leśna ucieka od węgla w ślad węglowy i leci leczyć depresję do ciepłych krajów.

Pewnie więc jestem głupi, choć nie zawsze mam szczęście, ale nijak nie umiem się smucić tym, że w Zadzuszki mogę zdjąć koszulę i wylegiwać się na słońcu, zamiast, jak to zwykle bywało, grzęznąć w błocie pośniegowym, inhalując spaliny. Wojna już przyszła, nędra idzie, a za nią głód i szczekanie zębami – człowiek ma doprawdy zbyt mało powodów do uśmiechu, by się z każdego tłumaczyć. Ja tam np. ostatnio chodzę po Beskidach, zbierając opowieści o karpaczkich zbójnikach. Przyjemnie i pożytecznie, bo rośnie od tego chęć napisania cyklu zbójnickich historii, do których kinowego potencjału przekonuję się z każdym krokiem między wioskami i górami. Filmy o Janosiku żadną miarą tematu nie wyczerpały, rzekłbym nawet, że odwróciły uwagę od naszych rodzimych zbójów z północnej strony Karpat. Zbójnictwo rozgościło się w regionalnych kulinariach niższego rzędu – od „placka po zbójnicku”, przez tanie piwo, aż po destylaty ciupagą pisane; znak parzenicy pomaga opchnąć ceprom każde straganowe badziewie, ale jeśli się przedrzeć przez warstwy cepliady, odkryć można fascynującą i nadzwyczaj malowniczą historię dwóch wieków zbójowania. Był to sposób na ucieczkę od biedy, do grup zbójekich przystępowali zyciowi outsiderzy, niekoniecznie „urodzeni mordercy”.

Mit o rabowaniu wyłącznie bogatych (o rozdawaniu biednym nie ma co wspominać) nie ma faktycznych podstaw. Miłość ludu do „dobrych chłopców” (tak nazywali zbójów górale) wynikała raczej z tego, że siłą rzeczy najczęściej obrywał się tym, którzy mieli co stracić – kupcom, możnym, „panom”, w dodatku zbójce byli „swoi”, rekrutowali się najczęściej z warstw chłopskich. Na większy łup trzeba było bardziej się wysilić, ale bywało, że i za kilka serów owczych i kromkę z masłem gardła podrzynano po wioskach. Niektórym osadom tak bandyterka się naprzykrzała, że tamtejsi zaczęli kombinować jakieś samoobronne stowarzyszenia, ale w takich Roczynach

u stóp andrychowskiego Beskidu zbójce znaleźli i na to sposób. Poczęli napadać na szczudłach, co po pierwsze budziło skrajny popłoch gawiedzi (coś to za nienaturalnie wysokie demony wylały z lasu), a po drugie pozwalało znacznie szybciej się przemieszczać. Zbójnicy szczudlarze – toż to czyste kino, podobnie jak legendarne pojedynki taneczne zwaśnionych grup, skąd miały się wziąć nazwy niektórych polan, np. Taneczники. Żywieccy zbójce mieli w tych miejscach urządzać huczne tańcowania na złość watażkom orawskim. Historia bandy niejakiego Baczyńskiego, która przy okazji pacyfikowania wioski zgarnęła z dworu pod Łętownią także klawikord, jest już znana z literatury, co nie umniejsza jej niesamowitości. Instrument ciążył, grać zbyt nie umiano, więc się w końcu znużył zbójcom i poszedł z ogniem. Ognisty klawikord na górskiej hali nie jest mniej surrealny od pływającej żyrafy.

Prekariuszowi łatwiej znaleźć dukaty w pieczarze, niż osiągnąć zdolność kredytową.

Również zbójce nizinni mieli fantazję, z której powinni skorzystać filmowcy – np. przez mazowieckie bagna przeprawiali się na oswojonych łosiach, dzięki czemu nie zapadali się z towaram w torfowiskach. Niezliczonymi legendami obrosły domniemane miejsca ukrycia skarbów, owe „zbójckie piwnice”, czyli rozpadliny skalne Karpat Fliszowych. Życie zbójnickie długo nie trwało – obławy jednak były nader skuteczne, a i łatwo było paść ofiarą zdrady, kto zatem nie zdążył się nacieszyć grabieżą na bieżąco, ginął głodny „śmiercią kwalifikowaną”. W ówczesnym sądownictwie oznaczało to łamanie kołem, ćwiartowanie lub rozrywanie końmi (tylko harnasie mieli przywilej powieszenia na haku). Zbójce nie myśleli o lokatach kapitału, więc nie spodziewałbym się zakopanych przed wiekami skarbów, ale nieufność ludowa wobec grototazów pozostała żywotna do dziś („Po co wy tam wchodzicie, pewnie po skarby!”). Miłośnicy speleologii z Wisły-Malinki współcześnie przejawiają atawistyczną niechęć do ujawniania swoich spektakularnych odkryć, przez co wszelkie oficjalne dane i statystyki dotyczące poznania polskiego pseudokrasu są niepełne i zdezaktualizowane.

Parę dziur już w Beskidach odkryłem, skarbów dotąd nie znalazłem, ale wobec nadchodzącego kryzysu być może wzmogę poszukiwania – wszak prekariuszowi łatwiej znaleźć dukaty w pieczarze, niż osiągnąć zdolność kredytową. ■

Neil Bradbury

Najśłynniejsza trucizna

Cyjanek jest jedną z najlepiej znanych trucizn. Złą sławę zyskał za sprawą powieści szpiegowskich i seriali kryminalnych jako substancja, która powoduje niemal natychmiastową śmierć. Królowa kryminału Agatha Christie dobrze знаła skutki działania cyjanku. Uśmierciła za jego pomocą 18 postaci w swoich książkach. Twórca czarnego kryminału Raymond Chandler w swojej najśłynniejszej powieści, „Głęboki sen”, wykorzystał whisky z dodatkiem cyjanku, aby pozbyć się Informatora (...).

Równie fascynujące i przerażające są przykłady prawdziwych morderstw i samobójstw popełnionych z użyciem cyjanku. Jako narzędzie zbrodni trucizna ta łączona jest z najgorszymi zagładami w historii. Podczas II wojny światowej cyjanowodór wykorzystywany był do uśmiercania tysięcy więźniów w hitlerowskich obozach zagłady Auschwitz-Birkenau i Majdanek w ramach tzw. ostatecznego rozwiązania.

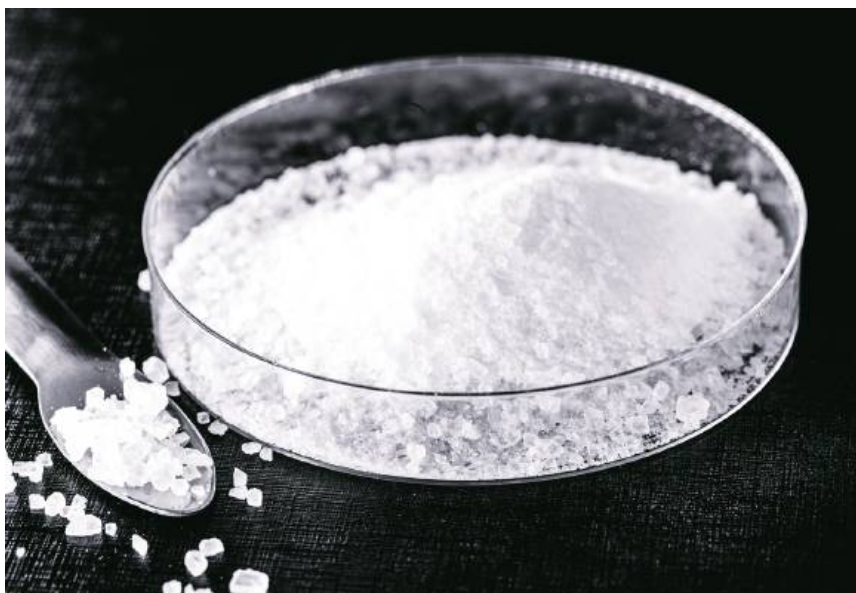
Gdy stało się jasne, że Niemcy tę wojnę przegrają, szklana ampułka z cyjankiem potasu stała się preferowaną metodą samobójstwa wśród nazistowskich oficerów. Skorzystali z niej m.in. Heinrich Himmler, szef budzącego postrach Schutzstaffel (SS), oraz Hermann Göring, dowódca niemieckiego lotnictwa wojskowego Luftwaffe. Adolf Hitler był świadkiem samobójstwa swojej żony, Evy Braun, która zażyła cyjanek. Sam również połknął tę truciznę, a następnie się zastrzelił, ostatecznie kończąc marzenie o Trzeciej Rzeszy.

W bliższej nam historii, na początku lat 70. XX w. w San Francisco charyzmatyczny kaznodzieja Jim Jones zebrał spore grono wyznawców swojego Kościoła. Na siedzibę zgromadzenia wybrał Redwood Valley w stanie Kalifornia i zaczął głosić, że jest wcieleniem Gandhiego, Jezusa, Buddy i Lenina. W połowie lat 70. za jego namową setki osób, w tym całe rodziny, przeniosły się do Gujany, do nowej osady dla członków Świątyni Ludu – miejsca, które na cześć przywódcy sekty nazwano Jonestown.

CYJANEK

i profesor z Pittsburgha

Jako narzędzie zbrodni trucizna ta łączona jest z najgorszymi zagładami w historii



W 1978 r. zaczęto mówić o łamaniu praw człowieka i surowych karach stosowanych w tamtejszej świątyni. W listopadzie tego samego roku kongresmen Leo Ryan wraz z przedstawicielami rządu i dziennikarzami zorganizował wyprawę do Gujany, aby zbadać prawdziwość tych zarzutów.

Jones serdecznie powitał delegację w swojej osadzie, wydając na cześć przybyłych przyjęcie w głównym pawilonie Jonestown. Tam Ryana nagle zaatakował jeden z członków świątyni, kilkakrotnie raniąc kongresmena nożem. Mimo odniesionych ran Ryan zdołał wraz z członkami delegacji uciec na łódź w pobliżu Jonestown, gdzie czekały na nich dwa samoloty. Kilka sekund po tym, jak wsiedli na pokład, zostali zaatakowani przez uzbrojonych mężczyzn, którzy zabili

Ryana i cztery inne osoby. Jeszcze tego samego dnia Jones zebrał wszystkich 913 mieszkańców osady, w tym 304 dzieci, i nakazał im dokonać „rewolucyjnego czynu”, jak to określił. Obecnym rozdano kubki z winogronowym napojem Kool-Aid, do którego dodano cyjanek. Rodzice napoiли nim dzieci, a pielęgniarki strzykawkami podały śmiertelną miksturę do buzi niemowlętom. W sumie śmierć poniosło 909 osób, z czego jedną trzecią stanowiły dzieci. (...)

Kolor cyjanku

Nazwa „cyjanek” wywodzi się od greckiego słowa, które oznacza „niebieski”, a substancja, do której się odnosi, zyskała to miano nieco określną drogą. W epoce renesansu niebieskie pigmenty otrzymywano z półszlachetnego minerału lapis-lazuli. Pozyskiwano w ten sposób

barwnik był niebywale drogi – wart pięciokrotności swojej wagi w złocie – dlatego artyści oszczędnie używali tego koloru.

Na rozwiązanie „problemu z niebieskim” zupełnie przypadkiem natrafił w 1704 r. malarz i wytwórca farb Heinrich Diesbach, który żył i pracował w Królestwie Pruskim. Diesbach musiał szybko przygotować partię karminowego pigmentu, pozyskiwanego z gotowania czerwców koszenili, atunu, siarczku żelaza i potażu. Brakowało mu jednak

dla artystów z pruskiego dworu. Diesbach nazwał ten kolor błękitem berlińskim, ale angielscy chemicy przemianowali go później na dobrze nam znany błękit pruski, ponieważ niebieskiego barwnika było już wtedy tyle, że ufarbowano nim mundury armii Prus.

Późniejsze analizy chemiczne pokazały, iż w samym sercu każdej cząsteczki niebieskiego pigmentu znajduje się cyjanek. Dlaczego więc członkowie pruskiej armii nie zmarli z powodu zatrucia tą substancją?

Złą sławę cyjanek zyskał za sprawą powieści szpiegowskich i seriali kryminalnych jako substancja, która powoduje niemal natychmiastową śmierć.

tego ostatniego składnika, a ponieważ kończyły mu się pieniądze, postanowił kupić tańsze materiały. W oszustwie skwapliwie dopomógł mu alchemik Johann Konrad Dippel, wyznawca zasady, którą 150 lat później przyjął P.T. Barnum: „Co minutę rodzi się jakiś frajer!”. Dippel miał u siebie zapas potażu, ale zanieczyszczonych olejami zwierzęcymi (ohydłą mieszką krwi i różnych zwierzęcych resztek), i zamierzał go wyrzucić. Skoro jednak mógł uniknąć strat finansowych, postanowił skorzystać z szansy i sprzedać zanieczyszczony potaż Diesbachowi. I jeden, i drugi uważali, że zrobili świetny interes.

W domu Diesbach przystąpił do gotowania składników na pigment z siarczkiem żelaza i tanio nabytym potażem, ale zamiast czerwonego barwnika, jaki spodziewał się otrzymać, wyszedł mu okropny mętny kolor rdzy. Uznał, że jeśli będzie dłużej podgrzewał mieszkę w celu koncentracji pigmentu, uzyska pożądaną odcień czerwieni. Tymczasem barwa najpierw stała się lekko fioletowa, a w końcu ciemnoniebieska. Diesbach pognął z powrotem do Dippela, aby się dowiedzieć, co dokładnie zostało mu sprzedane.

Obaj zdawali sobie sprawę, ile mogą zyskać na nowym syntetycznym barwniku, natychmiast więc połączyli siły i zaczęli produkować kolejne partie niebieskiego pigmentu

Otóż cyjanek w czystej postaci jest bardzo niebezpieczny, kiedy jednak zostaje włączony do większej molekuly, traci trujące właściwości, a niebieski pigment zawierał właśnie takie bezpieczne cząsteczki. (...)

80 lat od wynalezienia błękitu pruskiego dwaj chemicy, Francuz Pierre-Joseph Macquer oraz Szwed Carl Wilhelm Scheele, pewnego popołudnia najwyraźniej się nudzili i dla rozrywki postanowili dodać go do kwasu, a potem mieszkę podgrzać i sprawdzić, co się stanie. Otrzymali tlenek żelaza, lepiej znany pod nazwą rdza, oraz dziwną bezwoną parę, prawie niewykrywalną, gdyby nie zapach migdałów. Był to cyjanowodór,

białoniebieską cieczą posiadającą silne właściwości wybuchowe i nawet w temperaturze pokojowej ma postać lotną oraz nikły zapach gorzkich migdałów. Wszystkie formy cyjanów są śmiertelnie niebezpieczne: 50 do 100 miligramów (jedna setna objętości łyżeczki do herbaty) cyjanu potasu może zabić dorosłego człowieka.

O dziwo, kiedy cyjanek nie występuje oddzielnie, tylko stanowi część większej cząsteczki, niektóre jego postacie są zupełnie nieszkodliwe. Na przykład w błękitie pruskim jest on całkowicie bezpieczny, dzięki czemu Thomas Gainsborough nie padł trupem zaraz po namalowaniu „Błękitnego chłopca”. Brak zagrożenia ze strony cyjanu obecnego w większych cząsteczkach oznacza również, że każdy, kto codziennie przyjmuje multiwitaminę, najprawdopodobniej łyka cyjanek mocno (i bezpiecznie) połączony z witaminą B12 (cyjanokobalamina). Leki na depresję i refluks, zażywane przez miliony ludzi na całym świecie, również zawierają bezpiecznie „powiązany” cyjanek.

Cyjanek w żywności

Pomimo oczywistych niebezpiecznych właściwości cyjanek jest obecny w zaskakująco wielu produktach żywnościowych, m.in. w migdałach, fasoli limeniskiej (półksiężycowatej), soi, szpinaku oraz pędach bambusa. Nasiona i pestki roślin zaliczanych do rodziny różowatych, do której należą

Większość zabójców podaje ofiarom cyjanek sodu lub potasu w formie krystalicznej.

który po schłodzeniu i rozpuszczeniu w wodzie dał bardzo słaby kwas. Stał się znany jako kwas pruski, ale chemicy później woleli określać go właściwą nazwą chemiczną: kwas cyjanowodorowy. (...)

Trujące cyjanki występują w postaci stałej, ciekłej i gazowej. W tej pierwszej cyjanek ma formę białych kryształków i często łączy się z sodem lub potasem, dając odpowiednio cyjanek sodu i cyjanek potasu. Połączony z wodorem tworzy cyjanowodór, który po schłodzeniu jest

brzoskwinie, wiśnie, jabłka i migdałowce, również zawierają cyjanek. Spożycie niewielkiej ilości tej substancji nie stanowi zagrożenia dla zdrowia. Każdemu zdarzyło się przecieć połknąć pestkę jabłka i nic się nie stało. Jest tak dlatego, że ludzie posiadają pewien mechanizm, który umożliwia radzenie sobie z niewielką ilością cyjanu w pożywieniu. Niemal każda komórka naszego organizmu zawiera enzym zwany rodanazą, który szybko pozbawia cyjanek toksycznych właściwości, ▶

► przekształcając go w tiocyjanian, nieszkodliwy związek odfiltrowywany przez nerki i wydalany wraz z moczem. Człowiek jest w stanie pozbyć się w ten sposób około jednego grama cyjanku w ciągu doby. Problemy pojawiają się tylko wtedy, gdy organizm zostaje nagle przeciążony dużą dawką cyjanku – zwłaszcza kiedy jej celem jest morderstwo.

Większość zabójców podaje swoim ofiarom cyjanek sodu lub potasu w formie krystalicznej. Choć rozpuszczalność obu jest dobra, cyjanek potasu rozpuszcza się dzieśięć razy lepiej od cyjanku sodu. Niewielka porcja jednego lub drugiego dodana do kawy lub wina

w samym żołądku – co jest kluczową oznaką obecności cyjanku. Kiedy kryształki cyjanku – w postaci stałej bądź rozpuszczonej – napotykają sok żołądkowy, wydziela się również cyjanowodor. Ten gaz może się przedostać do krwi i wraz z nią zostać rozprowadzony po organizmie. Zatem ofiarę zabijają stała, ciekła i lotna postać cyjanku. (...)

Śmierć na Allegheny

Miedzy rzekami Allegheny i Monongahela, przed ich zbiegiem, który daje początek rzece Ohio, znajduje się Centrum Medyczne Uniwersytetu Pittsburskiego (University of Pittsburgh Medical Center, UPMC), znany

osiągnięciem administracji pittsburskiej uczelni, ponieważ za Ferrante'em szły miliony dolarów grantów na jego projekty badawcze. Był profesorem neurochirurgii, a jego badania dotyczyły przede wszystkim chorób neurodegeneracyjnych, takich jak stwardnienie zanikowe boczne. Niecałe pół roku po przeniesieniu się na wydział w Pittsburghu Ferrante został pierwszym laureatem nagrody im. Leonarda Gersona dla wybitnych naukowców.

Dr Cline również zaaklimatyzowała się w nowym miejscu jako szefowa działu neurologii kobiet. Była powszechnie lubianą lekarką, posiadała specjalizację z neurologii klinicznej, a zajmowała się głównie leczeniem zaburzeń padaczkowych u kobiet w ciąży. Przenosiny do Pittsburgha, oprócz awansu i własnego programu badań, dawały Autumn możliwość decydowania o godzinach pracy, a niewielka odległość od domu, którą mogła pokonać pieszo w kwadrans, pozwalała jej spędzać więcej czasu z sześciolletnią córką. Ale akurat w środę, 17 kwietnia 2013 r., pracowała wyjątkowo długo. Właśnie minęła 23.15 i Autumn czuła się wykończona po 15-godzinym dyżurze. Zanim opuściła szpital, aby pieszo pokonać 800 m dzielące ją od domu, wysłała mężowi wiadomość, że zaraz będzie. Pół godziny później Robert Ferrante zadzwonił na pogotowie.

Wyjaśnił, że Autumn wróciła do domu z pracy i zastała w kuchni. Telefonistka 911 zaczęła zadawać pytania, próbując uzyskać więcej informacji. W tle słyszała jęki Autumn. Co dziwne, choć dom znajdował się zaledwie kilkaset metrów od głównego szpitala uniwersyteckiego, w którym on i jego żona pracowali, Ferrante chciał, aby pogotowie zabrało Autumn do oddalonego o ponad 2 km Shadyside Hospital. 12 minut od wezwania ambulans dotarł na miejsce. Pracownicy pogotowia wpadli do kuchni, gdzie Autumn leżała nieprzytomna na podłodze.

– Po powrocie do domu skarżyła się na ból głowy, a potem zastała – poinformował jej mąż.

Wstępne badanie pokazało, że Autumn wciąż oddycha i ma wykonalny puls. Ratownicy medyczni

Cyjanek jest obecny w zaskakująco wielu produktach żywnościowych, m.in. w migdałach, fasoli limeńskiej, soi, szpinaku oraz pędach bambusa.

wystarczy, by zabić. Ponieważ mowa o naprawdę małej ilości, ofiary nie zaalarmuje zapach ani smak. Po połknięciu cyjanek wchodzi w reakcję z sokiem żołądkowym, dając kwas pruski, który powoduje poważne oparzenia chemiczne. Brak śladów takich oparzeń w przełyku wskazuje, że ofiara nie wypita nic żrącego, a przyczyna powstała

na całym świecie szpital i jeden z najlepszych medycznych ośrodków badawczych. W maju 2011 r. dwoje słynnych bostońskich neurologów, dr Robert Ferrante zwany „Bobem” i jego żona, dr Autumn Cline, rozpoczęło pracę na wydziale medycyny Uniwersytetu Pittsburskiego. Nakłonienie ich do przenosin z Massachusetts z pewnością było nie lada

#napomocUkrainie

16 1160 2202 0000 0002 7718 3060

z dopiskiem „Ukraina”

zapytali o leżącą na blacie plastikową torebkę z białym proszkiem, próbując ustalić, czy ma ona jakiś związek ze stanem kobiety. Ferrante wyjaśnił, że to kreatyna, którą jego żona leczy niepełność.

Stan Autumn gwałtownie się pogarszał, puls i ciśnienie szybko spadały. Chorą przeniesiono do karetki. Ratownicy medyczni zignorowali prośbę Ferrante'a i zawieźli ją na najbliższy oddział ratunkowy UPMC Presbyterian Hospital. Trafiła tam niewiele ponad godzinę po wyjściu z tego samego budynku. Może Ferrante liczył, że szanse na uratowanie jego żony będą mniejsze, jeżeli zostanie przewieziona do dalej położonego szpitala. Autumn przyjęto na oddział pomocy doraźnej. Miała wyraźne trudności z oddychaniem. Jej ciśnienie wciąż spadało i wynosiło już 48/36. W celu podtrzymania funkcji oddechowych została zaintubowana i podłączona do respiratora. Objawy sugerowały udar krwotoczny mózgu, ale tomografia nie pokazała żadnych nieprawidłowości. Tętno miała niewiarygodnie niskie, jednak nic nie wskazywało na zaburzenia aktywności elektrycznej serca. Pacjentce podano adrenalinę w celu podtrzymania pracy serca.

W czystej postaci cyjanek jest bardzo niebezpieczny, kiedy jednak zostaje włączony do większej molekuly, traci trujące właściwości.

Lekarze nie mieli pojęcia, co się dzieje z Autumn. Wykonano wkłucie centralne do żyły szyjnej, aby ułatwić podawanie leków i pobieranie krwi do badań. O dziwo, zamiast ciemnoczerwonej barwy, wynikającej z braku tlenu, krew pacjentki miała jasnoczerwony kolor krwi tętniczej. Okazało się, że poziom tlenu w jej żyłach jest dwukrotnie wyższy od prawidłowego. Komórki Autumn nie były w stanie wykorzystać dostarczanego im tlenu.

Pomimo heroiczych prób ratowania życia pacjentki w sobotę, 20 kwietnia, 31 minut po północy, Autumn zmarła. Śmierć 41-latk, która wcześniej nie miała kłopotów ze zdrowiem, nie jest normalna,

dlatego zwrócono się do Ferrante'a z prośbą o zgodę na przeprowadzenie sekcji zwłok w celu ustalenia przyczyny zgonu. On jednak stanowczo się sprzeciwił. Tak bardzo obstawał przy swojej decyzji, że kilku lekarzy zanotowało jego odmowę w karcie Autumn.

Rzecz w tym, że w takich wypadkach prawo Pensylwanii nakazuje przeprowadzenie sekcji zwłok,

Ludzie posiadają pewien mechanizm, który umożliwia radzenie sobie z niewielką ilością cyjanku w pożywieniu.

i brak zgody Ferrante'a nie miał tu znaczenia. Autopsja oraz badania krwi pobranej pacjentce w szpitalu wykryły coś zupełnie nieoczekiwanego i szokującego: obecność cyjanku. I to nie ilości śladowych, ale takich, które w ciągu kilku sekund są w stanie powalić człowieka. Skąd wziął się cyjanek w organizmie Autumn? Istniały tylko trzy możliwe wyjaśnienia: przypadkowe zatrucie, samobójstwo lub morderstwo.

Tak duża ilość cyjanku raczej nie mogła być wynikiem przypadkowego kontaktu z tą substancją, a samobójstwo wydawało się mało

card, która jest uniwersytecką kartą kredytową umożliwiającą badaczom bezpośrednie telefoniczne składanie zamówień, zwykle z 24-godzinnyim czasem realizacji. Według współpracowników dr. Ferrante'a skorzystał on z P-card tylko raz, 15 kwietnia, dwa dni przed zaślubieniem jego żony. Otóż jedynym zakupem dokonanym przy użyciu karty przez znakomitego wykształconego badacza

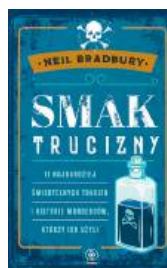
mózgu – zakupem potwierdzonym własnoręcznym podpisem tego badacza – był cyjanek.

Kiedy w komputerze Ferrante'a sprawdzono historię jego wyszukiwań w internecie, natrafiono na hasła „rozwód w Pittsburghu” oraz „wykrywanie zatrucia cyjankiem”. To przekonało śledczych do aresztowania doktora i postawienia mu zarzutu zamordowania żony. W trakcie trwającego 11 dni procesu oskarżenie podkreślało, że w nowo zakupionej butelce z cyjankiem w laboratorium Ferrante'a brakowało ponad 8 gramów tej substancji. (...)

W mowie końcowej oskarżyciel nazwał Ferrante'a mistrzem manipulacji i zapewnił przysięgłych, że wystarczy ułożyć wszystkie elementy układanki, aby zrozumieć, iż to właśnie naukowiec zamordował swoją żonę. Zrobił to, ponieważ sądził, że zamierza ona od niego odejść. Tamtej feralnej nocy Ferrante dał Autumn do wypicia zatrute napój, zadzwonił po pogotowie, a potem stał i patrzył, jak ona cierpi. Przysięgli naradzali się dwa dni – w sumie 15,5 godziny – zanim w końcu uznali oskarżonego za winnego otrucia żony cyjankiem.

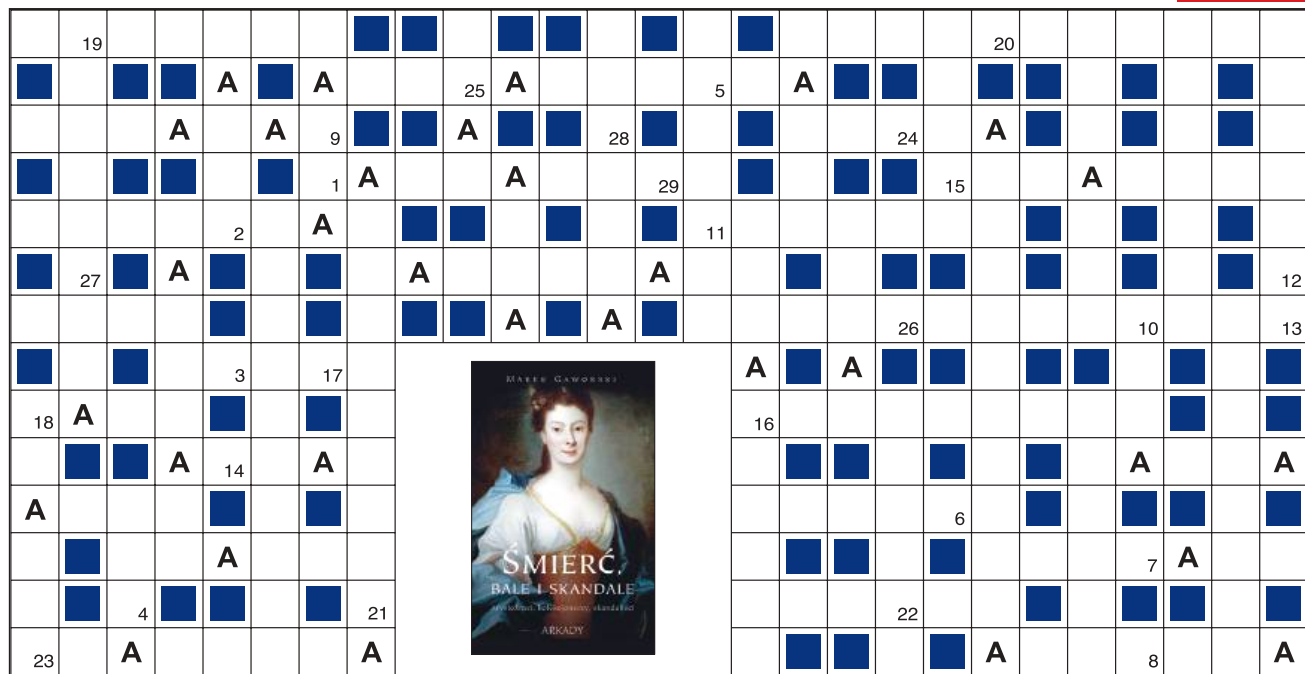
Ferrante odsiaduje wyrok dożywocia bez możliwości ubiegania się o wcześniejsze zwolnienie warunkowe.

Fragment książki Neila Bradbury'ego *Smak trucizny*, przeł. Agnieszka Jacewicz, Rebis, Poznań 2022



prawdopodobne. Współpracownicy Autumn opisywali ją jako troskliwą matkę i pełną pasji badaczkę, która z entuzjazmem mówiła o czekających ją projektach. Co ważne, żaden z tych, nad którymi pracowała, nie wymagał użycia cyjanku.

Naukowcy na większości uniwersytetów zwykle kupują potrzebne im substancje chemiczne oraz sprzęt za pośrednictwem uczelnianego działu zaopatrzenia, przy czym standardowo realizacja zamówienia zabiera od czterech do siedmiu dni. Bob Ferrante skorzystał z innej metody, a mianowicie z P-card, czyli *purchasing*



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery A ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 29 utworzą końcowe hasło.

- wspinaczka wysokogórska
- rzymski bóg miłości
- żołnierz w baterii
- ojciec Plejad i Hesperyd
- pogoda lub atmosfera, nastrój
- ...Kotta, matka Juliusza Cezara
- choroba taka jak beri-beri
- zwane faworytami lub pekaesami
- brać na swoje... – zobowiązywać się
- skomponował „Tańce węgierskie”
- harpagon, liczykrupa

- o czymś lichym, tandetnym
- pacjent pediatry
- filmowy w Cannes lub Wenecji
- sytuacja bez wyjścia, zastój
- deuter lub tryt wobec wodoru
- została wygnana z Lipiec
- cecha górskich serpentyn
- tekstu lub z podziałką
- wierzba szara
- nad nią Tykocin i Łomża
- niezrównoważony, postzerleniec
- odzyskaliśmy ją 104 lata temu
- brak rozwagi, nieroztropność
- otwór na polu naftowym
- motyw zdobniczy, np. palmeta
- wietrzna lub ostatnio malpia
- bambusożerny niedźwiedź
- szczeciński w puszcze
- kinowa prażona kukurydza
- kipiel, łamanie się fal na płycznach
- w niej linie do napełniania butelek
- beżlistna, cienka gałązka
- dyscyplina, karność
- ruchome to eskalator

- grzewczy już rozpoczęty
- nie trzymaj w niej oszczędności
- radiowy lub Izby Reprezentantów
- i rybny, i łokciowy
- był nim Perykles, Demostenes, Arystydes
- piosenki żeglarskie
- w pracy używa kitu i diamentu
- ...lekarSKI o jadalnych młodych pędach
- skręcony makaron lub lody
- taryfiarz
- uchylenie się przed ciosem
- wrażliwość uczuciowa
- placy – cieszy, cen – już nie

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

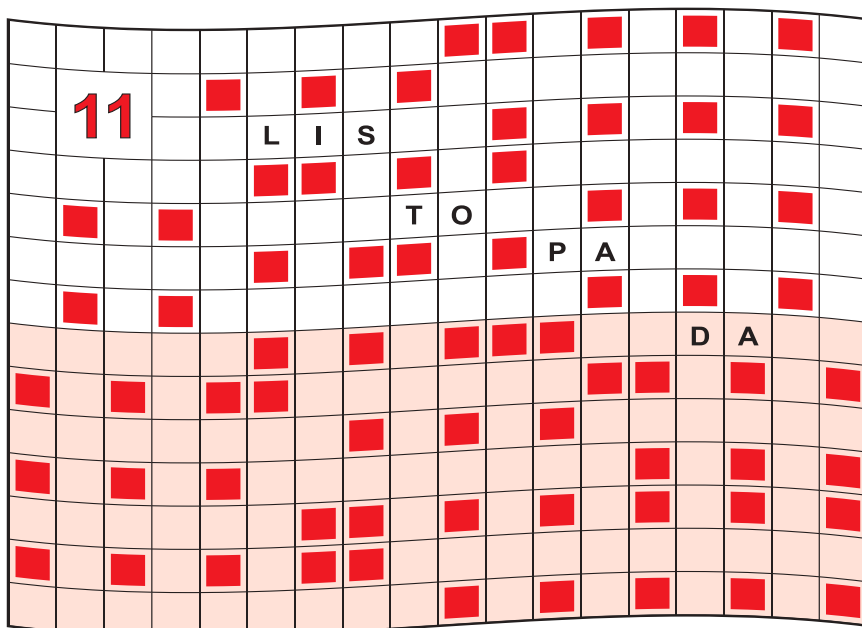
Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązywania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1090”. Do rozlosowania książki „Śmierć, bale i skandale” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 13 listopada 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1087” z nr. 43: Czas nie kruszy wspomnień.
Nagrody otrzymują: Ewa Nasadowska z Golubia-Dobrzyń, Jolanta Nowak z Bełchatowa, Ziemowit Wojteczek z Kielc.

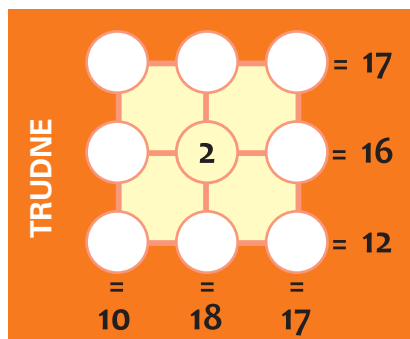
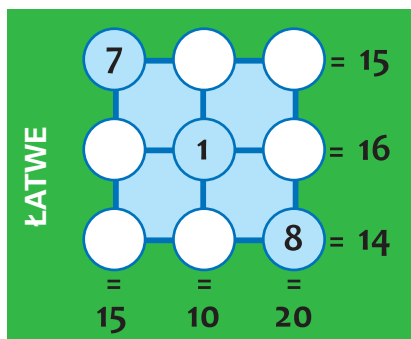


Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia.

- z krajów Maghrebu ona największa
- autor sonetów „Nad głębiemi”
- naukowiec, uczony
- dążeń, podróży lub strzału
- chatka prosiaków
- „Nasz... w Hawanie” Greene’a
- zmywak do przypalonych garnków
- kształcenie, wychowywanie
- Szwajcarska strzegąca papieży
- zbrojna lub owadów, turystów
- czasem pryska z paleniska
- wiostuje w składaku
- herbatą go nie częstuj
- ambona
- łagodny lub pikantny do frytek
- niedzielny za kółkiem niepewny
- sterczący fragment czegoś uszkodzonego
- całkiem dobrze zna całki
- popularny jak dorsz czy mintaj
- i nazwa ciasta, i kamienica pod nim
- nietot z pampasów
- wtedy pod kościołem stragany
- prowadzony artyleryjski
- gorąca w hot dogu
- przeciwnieństwo zawitości
- drobny wzór na jakimś tle
- kraj z Koszycami i Preszowem
- artysta indywidualista
- na kompot wigilijny
- i smolna, i chudzielec
- magik niejedną pokazuje
- wozy cygańskie w drodze
- drogi grzyb lub czekoladka
- i schowanie, i kryjówka
- „traktorowa” dzielnica Warszawy
- pieniędzy lub złomu
- ...do zajezdni
- opóźnienie wykonania czegoś

FUBUKI

Uzupełnij diagramy, tak aby w każdym znalazły się cyfry od 1 do 9 i aby uzyskać sumy wskazane na końcu każdego rzędu i każdej kolumny.



Rozwiązania na s. 64

SUDOKU

Uzupełnij diagramy, tak aby w każdym rzędzie, w każdej kolumnie i w każdym kwadracie 3 x 3 znalazło się 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

2		5	7	1				
		9	6	5		3	1	
	3		9		4	8	7	
6	1	7	3		9			
		3			2	1		
							3	
					7			
8		1	4	6		5		
	5	4	2		3			8

ŚREDNIE

				2				
2	4			6	5	1		
1				8	3			
		2	8					
	6	8				4	1	
4		5				2		8
		6	3			5		4
	2					3		
3	7	1		6		8		9

TRUDNE

9			5				6	
				9				
	8	3					5	4
3	6		9				8	7
			8	7	5			6
					1			
			5	7			9	
	2				8			
8			4			1	2	

PIEKIELNIE TRUDNE

		2						4
	1				3			6
9			7		1			
		7						
	4	6	5				2	7
1					6			
							9	
				3	5			
	7			1		8	6	2

Trzecia linia

Zwrócono nam uwagę, że nie zachowujemy symetrii. Naśmiewamy się z kierownictwa MSZ, że to zbiór dyletantów, a pomijamy inne komórki zajmujące się polityką zagraniczną. Na przykład – sejmową Komisję Spraw Zagranicznych.

O tak, rzeczywiście jest o czym pisać. Otóż przewodniczącym tej komisji został Radosław Fogiel, absolwent Katolickiego Liceum Ogólnokształcącego im. Filipa Neri w Radomiu. Na dalszą edukację nie starczyło mu zapału. Fogiel zastąpił na tym stanowisku Marka Kuchcińskiego, który objął funkcję szefa kancelarii premiera. Dodajmy, że również jego dossier dotyczące wykształcenia jest dosyć skromne. Kuchciński w stosownej rubryce pisze, że ma wykształcenie policealne i jest technikiem ogrodnictwa.

Swego czasu sejmowa Komisja Spraw Zagranicznych należała do najważniejszych w parlamencie, szefowanie jej to było wielkie halo, należne tuzom. Bronisław Geremek, profesor, przyjmowany w Europie na salonach, uczynił z niej ważny element polskiej polityki zagranicznej. Ale to było kiedyś. Dzisiaj kierują komisją ludzie niewykształceni, więc nie dziwmy się, że traktowana jest lekceważąco.

Żeby dokończyć ten wątek: otóż Fogiel ma w komisji zastępców. Po jednym – z PiS, z Lewicy i z KO. I cóż, jego głównym zastępcą z ramienia PiS jest słynny Przemysław Czarnecki. Sława Czarneckiego bierze się stąd, że zasnął w stanie upojenia na przystanku autobusowym, co media opisały. Dodajmy zatem do opisu jego kwalifikacji jeszcze jeden element –

w rubryce wykształcenie pan poseł pisze: średnie. Bo też zakończył edukację na naukach w liceum.

Oto kwiat PiS rzucony na dyplomację i sprawy zagraniczne. Można rzec: *res ad triarios venit* (sprawa doszła do trzeciego szeregu – red.).

Opozycja jest tu bardziej poważna. Zastępca przewodniczącego komisji z Lewicy, Maciej Konieczny, to magister kulturoznawstwa (i – jak się przedstawia – zawodowy działacz organizacji społecznych). I dopiero Paweł Kowal z KO może się pochwalić habilitacją i wiedzą na temat polityki zagranicznej. Teoretyczną i praktyczną (choć w niewielkim stopniu).

A co do MSZ – z kronikarskiego obowiązku dodajmy, że Arkadiusz Mularczyk rozpoczął pracę. Jest sekretarzem stanu ds. polityki europejskiej. W związku z tym przejął od Pawła Jabłońskiego nadzór nad tą polityką. Czyli nadzór nad Departamentem Polityki Europejskiej, którym kieruje Henryk Litwin.

Rzecz zapowiada się więc interesująco. Otóż Mularczyk, prawnik z wykształcenia, który z polityką zagraniczną nie ma nic wspólnego, będzie nadzorował pracę urzędnika, który pochwalić się może habilitacją, w MSZ pracuje od roku 1991 (zaczynał jako szef agencji konsularnej we Lwowie, później był m.in. ambasadorem RP w Kijowie) i – to rzecz dla naszej prawicy równie zła jak studia na MGIMO – kojarzony jest jako członek „zaciągu Geremka”.

Ciekawe, jak będzie im się współpracowało. Erydyta, i to nieprawego politycznie pochodzenia, oraz partyjny aparatczyk. W każdym razie współczujemy Litwinowi.

Attaché



Ludność ucieka przed walkami między rebeliantami z ugrupowania M23 a kongijskimi siłami zbrojnymi. Okolice Kibumbi na północ od miasta Goma, 29 października 2022 r.

PENETRACJE

ZDANIE

**GEN. BOGUSŁAW
PACEK,**
BYŁY REKTOR AKADEMII
OBRONY NARODOWEJ

Obawiam się, że gdyby nastąpił wybuch gorącego konfliktu amerykańsko-chińskiego, to w tej kwestii świat jest znacznie bardziej podzielony. Wspólne wystąpienie Chin i Rosji byłoby dla naszego zachodniego świata znacznym problemem. Przecież nawet Francja na ostatnim szczycie państw G7 nie wyzkała się udziału w dalszej rozbudowie Nowego Jedwabnego Szlaku i robienia biznesu z Chinami. Wiele państw widzi większe korzyści dla siebie we współpracy z Chinami niż z USA.

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

**MICHAŁ
KOŁODZIEJCZAK,**
LIDER AGROUNII

Jesteśmy ruchem. Młodym, mogącym na nowo uruchomić pewne procesy. Wolnego rynku nie ujarzmimy, bo on musi być wolnym rynkiem. Ale nim nie jest – to wolna amerykanka. Trzeba przywrócić zasady i ja jestem od zasad. W moim rodzinnym środowisku z zasady szukało się winnych poza sobą. Maszyna się psuje? A to tamten źle nasmarował. A przyczyn trzeba szukać w sobie. PiS ma 35%? Cieszę się, bo myślę, że kiedyś to samo dobro spotka Agrounię. Zatem ku Rzeczypospolitej przyjać!

odra

RADOSŁAW GAWLIK,
EKOLOG

Przy okazji katastrofy Wody Polskie ujawniły coś ciekawego. Ich pracownicy namierzili w dorzeczu Odry 282 nielegalne wyloty ścieków. Nie wiedzieli, co jest nimi odprowadzane do rzeki, ani że w ogóle istnieją. Poinformowali też, że spośród 5,8 tys. wylotów odprowadzających ścieki w zlewni Odry, czyli do niej i do jej dopływów, tylko 3,5 tys. ma pozwolenia wodnoprawne. Zostaje 2,3 tys. punktów zrzutów działających na zasadzie kompletnej partyzantki. Uważam, że prawdopodobnie przekroczyliśmy już punkt krytyczny, że już się nie da zawrócić i będziemy mieli kolejne katastrofy. Mało kto o tym mówi, ale w Polsce od 1951 r. temperatura wzrosła średnio o 2 st. C (na podstawie danych IMGW). Przeciętna światowa wynosi 1 st., u nas dwa razy więcej!

PISTYL

AGATA KULESA,
AKTORKA

Jestem szczęśliwa, że cały czas chce mi się wykonywać mój zawód. I że potrafię odpoczywać. Spędziłam długie wakacje w moim domku nad morzem, właściwie nie będąc ani dzień sama, bo ciągle ktoś przyjeżdżał. Czuję się wolna. Kiedyś jako młoda dziewczyna napisałam wypracowanie o wolności. Fajne jest to, że nie zmieniłam zdania: wciąż rozumiem ją jako czyste sumienie. Jeżeli nie jestem w nic uwikłana, nikogo nie okłamuję, nikt nie ma do mnie żalu, wtedy jestem wolna. To stan luksusowy, o który zawałczyłam.

Aby język giętki...

JACEK ŻAKOWSKI
O INDYWIDUALIZMIE

Można być samotnym liberałem, ale nie można być samotnym socjalistą. Nie można skutecznie działać jednoosobowo.

AGATA PASSENT O SOJUSZACH

Polak nie szuka sojuszy. Woli się zaharować, budując schron na działce, niż przyznać do tego, że lepiej się żyje wśród przyjaciół.

DAWID PODSIADŁO O HEJCIE

Najbardziej absurdalne komentarze wysyłam do brata i razem się z nich śmiejemy.

ANDRZEJ STASIUK O POLITYCE

Kiedy mówimy „polityka” w Polsce, to od razu stają przed oczami te wszystkie mordy, z którymi pięciu minut nie chciałbyś spędzić.

RAFAŁ KALUKIN O TOMASZU LISIE

Szef był apodyktyczny i zarazem chimeryczny. Trzeba było nieustannie odgadywać jego bieżące hierarchie upodobań.

MONIKA STRZĘPKA
O SPEKTAKLU „AMADEUSZ”

Przy podwyższonych cenach biletów każdy wieczór przynosi straty rzędu 25 tys. zł.

KRZYSZTOF VARGA
O ATAKACH NA SZTUKĘ

Wszyscy fanatycy zawsze atakowali sztukę, ponieważ sztuka jest niewinna i się nie odwinie.

KLAUDIA JACHIRA
O SKANDALISTACH

Prawdziwymi skandalistami są pisowcy, bo skandalicznie kradną, skandalicznie kłamią i skandalicznie niszczą nasz kraj.

MAJA KOMOROWSKA
O AKTORSTWIE

Gwiazdami na co dzień to my nie jesteśmy, ale trudno się do tej myśli przyzwyczaić.

KAROL STRASBURGER O CÓRCIE

Uczę córkę, że głupi ludzie żyją po głupiemu. A mądrzy żyją mądrze. Warto być mądrym.



Członkowie Porozumienia Rezydentów, Porozumienia Chirurgów Skalpel i Międzynarodowego Stowarzyszenia Studentów IFMSA-Poland zainaugurowali przed Sejmem kampanię „Bezpieczne Leczenie”. Domagają się wdrożenia systemu *no fault*, gwarantującego odszkodowania ofiarom zdarzeń niepożądanych i ochronę lekarzy.

MEMY BEZ ŚCIEMY



ROZWIĄZANIA

M	O	R	S	Z	C	Z	U	K		S	A	K	K		K
U			U	E	R		K	A	Z	A	L	N	I	C	A
R	11	S	O	L	I	S	T	A	C	G	E	J			
Z	J	A	Z	D		U	W	Z	B	I	Ó	R	K	A	
Y	S		P	R	O	S	T	O	T	A	E	O	K		
N	A	N	D	U	S		S	P	A	R	Ó	W	K	A	
E	Y	S	Z	T	U	C	Z	K	A	I	C	R			
K	I	K	U	T	R	Z				B	A	D	A	C	Z
N	K		Z	W	Ł	O	K	A		R	H				
G	W	A	R	D	I	A	O	E	T	R	U	F	L	A	
A	Y		S	Ł	O	W	A	C	J	A	C	E			
R	Z	U	C	I	K		I	Z	B	I	W				
J		I	R			E	D	U	K	O	W	A	N	I	E
M	A	T	E	M	A	T	Y	K		P	R	K		K	

7	5	3	15	3	9	5	17
6	1	9	16	6	2	8	16
2	4	8	14	1	7	4	12
15	10	20		10	18	17	

ŁATWE

2	8	5	7	3	1	4	6	9
4	7	9	6	5	8	3	1	2
1	3	6	9	2	4	8	7	5
6	1	7	3	8	9	2	5	4
9	4	3	5	7	2	1	8	6
5	2	8	1	4	6	9	3	7
3	6	2	8	9	5	7	4	1
8	9	1	4	6	7	5	2	3
7	5	4	2	1	3	6	9	8

ŚREDNIE

6	8	9	4	2	7	1	5	3
2	4	3	6	5	1	9	8	7
1	5	7	9	8	3	6	4	2
9	1	2	8	4	5	7	3	6
7	6	8	2	3	9	4	1	5
4	3	5	1	7	6	2	9	8
8	9	6	3	1	2	5	7	4
5	2	4	7	9	8	3	6	1
3	7	1	5	6	4	8	2	9

TRUDNE

9	4	2	5	8	3	7	6	1
6	1	5	7	9	4	8	3	2
7	8	3	1	2	6	9	5	4
3	6	1	9	4	2	5	8	7
2	9	4	8	7	5	3	1	6
5	7	8	6	3	1	2	4	9
1	3	6	2	5	7	4	9	8
4	2	9	3	1	8	6	7	5
8	5	7	4	6	9	1	2	3

PIEKIELNIE TRUDNE

6	3	2	8	5	9	7	1	4
7	1	5	4	2	3	9	8	6
9	8	4	7	6	1	2	5	3
8	5	7	1	4	2	6	3	9
3	4	6	5	9	8	1	2	7
1	2	9	3	7	6	5	4	8
4	6	1	2	8	7	3	9	5
2	9	8	6	3	5	4	7	1
5	7	3	9	1	4	8	6	2

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Naród z partią, partia z botem

W Danii swojego miejsca na scenie politycznej poszukuje Partia Syntetyczna, której „liderem” jest Przywódca Lars, będący... botem konwersacyjnym działającym na zasadzie tzw. uczenia maszynowego. Ugrupowanie, które liczy przede wszystkim na głosy osób niechodzących obecnie na wybory, ma wśród haseł wprowadzenie bezwarunkowego dochodu podstawowego. Na program formacji może wpływać każdy jej sympatyk z dowolnego kraju, który nawiąże rozmowę z Larsem. Jak bowiem wskazuje sama nazwa ugrupowania, bot syntetyzuje różne poglądy, uwzględnia odmienne zapamiętania i znajduje punkty wspólne. Pewnie jeszcze nie upija się publicznie i nie oszukuje na kilometrówkach?

Czy mycie skraca życie?

W wieku 94 lat, wkrótce po pierwszej kąpieli od półwiecza, zmarł irański pustelnik nazywany najbrudniejszym człowiekiem świata. Amou Haji od lat żywił się głównie padliną, najczęściej jeżozwierzy, pił wodę z kałuży lub z zardzewiałej puszki po oleju, a spał w ceglanej budzie, którą postavili dla niego zaniepokojeni mieszkańcy okolicy (wcześniej nocował w dziurze w ziemi). Mężczyzna odmawiał pomocy, a proponowanie mu czystej wody do picia lub wykąpania się, jak mówił, zasmucało go. Eremita bał się, że gdy się umyje, zachoruje. Niedługo po tym, jak dał się na mycie namówić, odszedł z tego świata. Przyczyną zapewne była nieleczona włośnica lub nałogowe palenie papierosów, ale przeciwnicy higieny i tak wiedzą swoje.

Robot żywemu nie przepuści

Na edynburskim Uniwersytecie Heriotta-Watta powstał robot, który potrafi z godną podziwu skutecznością eksterminować karaluchy. Urządzenie, wyposażone w dwie kamery i laser, może w przyszłości stanowić nieszkodliwą dla środowiska alternatywę dla środków owadobójczych, ale – jak podkreśla autor wynalazku – jego możliwości mogą być wykorzystane również na inne sposoby. Na razie w planach jest nauczanie robotycznego dezynsektora trafiania w konkretne części ciała owadów. Gregor Samsa miał szczęście w nieszczęściu, że nie dożył dzisiejszych czasów...

Duchamp by się uśmieł

Dzieło słynnego holenderskiego abstrakcjonisty Pieta Mondriana przez ponad 70 lat wisało do góry nogami i nikt tego nie zauważył. Mowa o kompozycji „New York City I”, składającej się z naklejonych poziomych oraz pionowych czerwonych, żółtych i niebieskich pasków, po raz pierwszy wystawionej w nowojorskim MoMA, a od 1980 r. udostępnianej zwiedzającym Kunstsammlung NRW w Düsseldorfie. Pomyłkę dostrzeżono

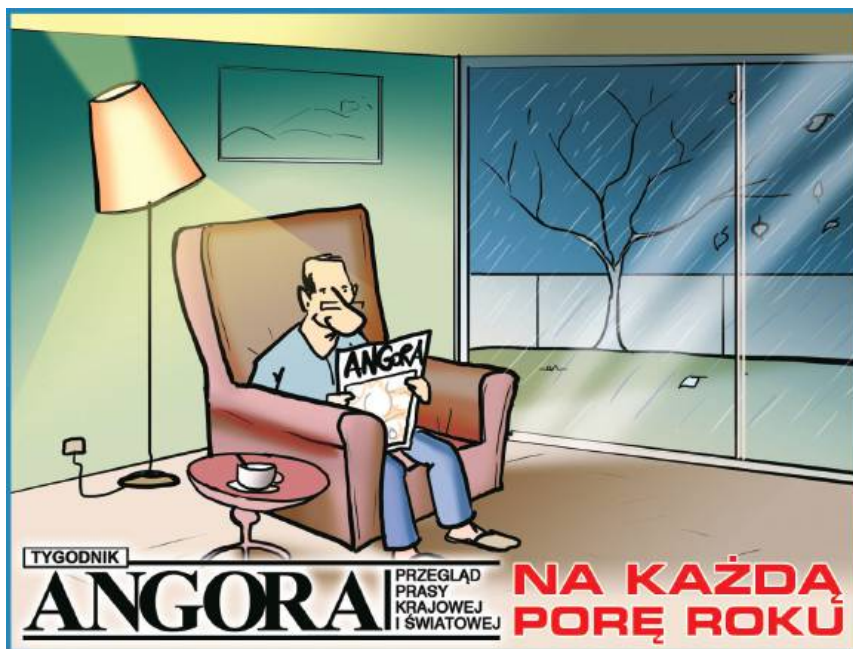


Chilijski fotograf Gabriel Guzman chce pokazywać morskie stworzenia szczególnie tym, którzy nie mają dostępu do podwodnego świata. Nz. rogatnica u wybrzeży Australii.

przy okazji wystawy zorganizowanej z okazji 150. urodzin artysty, a dowodem na nią jest m.in. fotografia wykonana po śmierci Mondriana w jego pracowni. Niemieckie muzeum poinformowało, że dzieło nie zostanie przewieszone, aby go nie uszkodzić (taśmy są już bardzo luźne), poza tym „pomyłka stała się częścią historii tej pracy”. Obstawiamy, że teraz stanie się ona jeszcze bardziej a(b)strakcyjna dla miłośników sztuki!

O dwóch takich... kryształach

Wystarczy 150 tys. dol., by wystać swoje DNA na Księżyc. Oto szczegóły: za wspomnianą kwotę amerykańska firma Space Crystals LLC oferuje stworzenie, w efekcie procesu krystalizacji w kosmosie (którego zresztą jeszcze nikt nie przeprowadził) dwóch kryształów zawierających Twój materiał genetyczny. Następnie jeden trafi do Ciebie, a drugi zostanie wystrzelony na powierzchnię Srebrnego Globu w kapsule zawierającej także dysk z Twoimi danymi. Brzmi kusząco, ale mamy pytanie: czy kapsuła będzie ubezpieczona od kradzieży przez Jacka i Placka?



FOT. MEMY GORSZEGO SORTU; PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, MEDIADRUUM/EAST NEWS



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogotkiewicz

e-mail: a.gogotkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),

Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),

Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek,

Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków),

Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),

Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogódowski,

Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski,

Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),

Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz,

Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,

Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,

Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzytary: Magdalena Gluska, Rafał Pyznar

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszów, ul. Pułtusza 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WPKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





ul. Strzelecka 26

Pojawiają się i znikają – choć nie zawsze. Goszczą na ścianach budynków przez kilka miesięcy lub stają się punktem orientacyjnym w mieście. Pochodząca z języka hiszpańskiego nazwa mural, określająca rodzaj naściennego, zwłaszcza wielkoformatowego malarstwa dekoracyjnego, wpisała się już w naszą świadomość. Współczesne murale mają najczęściej

ul. Wrzesińska 6



ul. Kawęczyńska 39

Murale i graffiti na warszawskiej Pradze

Krzysztof Żuczkowski

charakter reklamowy, społeczny czy dydaktyczny. Powstają na zamówienie i za zgodą właścicieli budynków. Graffiti natomiast jest znacznie mniejsze i ma na ogół anonimowego twórcę. Fotograf PRZEGŁĄDU Krzysztof Żuczkowski, przemierzając ulice warszawskiej Pragi, dokumentuje zmienny popkulturowy krajobraz stolicy.

ul. Białostocka 7





Mrożąca krew w żyłach przypowieść

– Variety

Komiczny

– Screen Daily

Bezlitosny

– Filmweb

Emocjonalny heavy metal

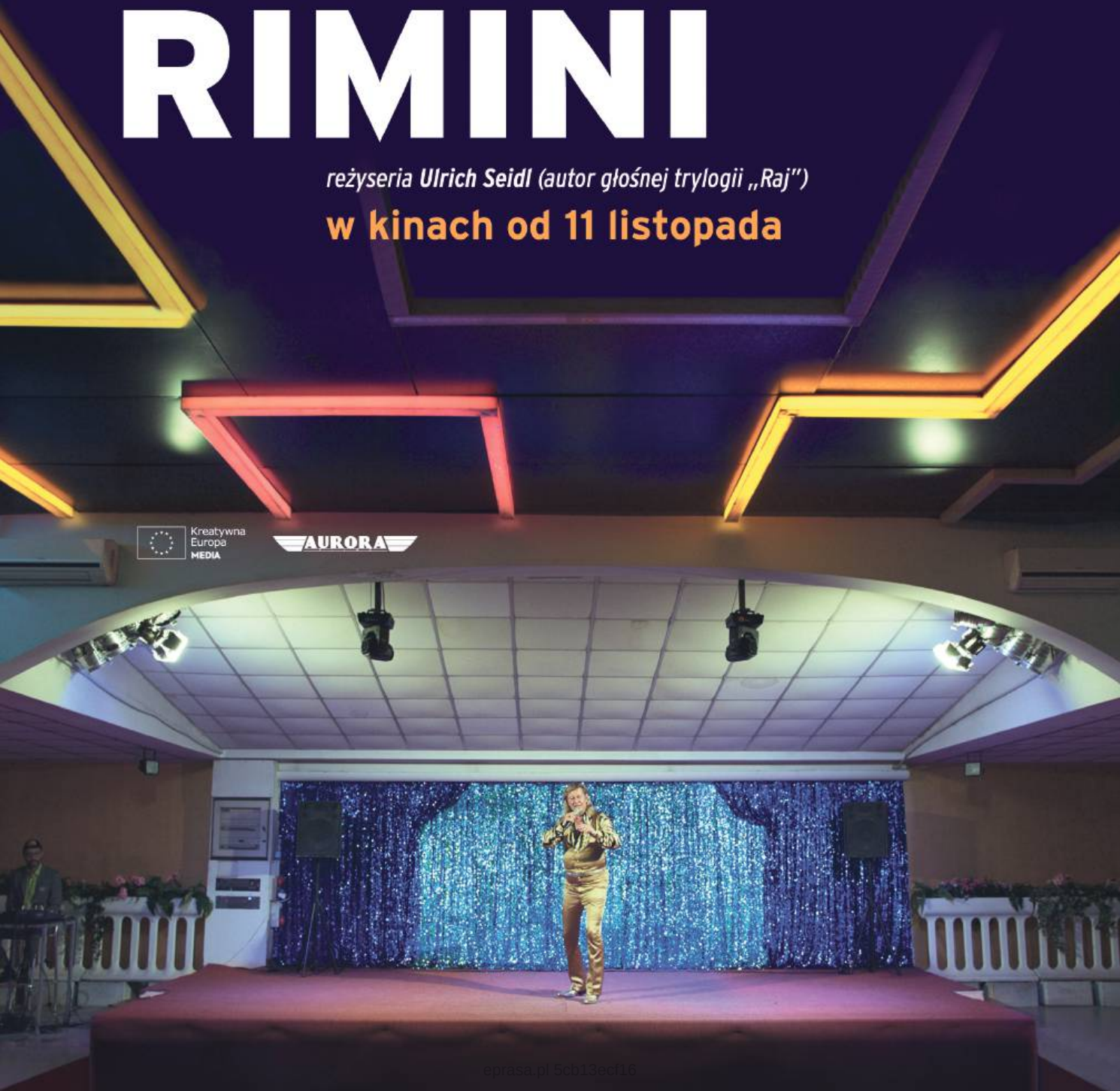
– Interia.pl



RIMINI

reżyseria *Ulrich Seidl* (autor głośnej trylogii „Raj”)

w kinach od 11 listopada



EnergacAMERIMAGE

30.
MIĘDZYNARODOWY
FESTIWAL FILMOWY

12-19.11.2022, TORUŃ
KUJAWSKO-POMORSKIE



projekt plakatu: PIOTR JABŁOŃSKI



PATRONAT HONOROWY PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ ANDRZEJA DUDY



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



MIASTO
TORUŃ

Partnerem głównym wydarzenia jest
Senat Województwa Kujawsko-Pomorskiego

WSPÓŁFINANSOWANE



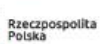
FUNDUSZE
EUROPEJSKIE
Program Regionalny



POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ



FUNDUSZE
EUROPEJSKIE
Program Regionalny



POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ

SPONSORZY I PARTNERZY OFICJALNI

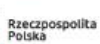


WSPÓŁFINANSOWANIE: MINISTER KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO, MIASTO TORUŃ,
WOJEWÓDZTWO KUJAWSKO-POMORSKIE ORAZ POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

SPONSOR STRATEGICZNY



FUNDUSZE
EUROPEJSKIE
Program Regionalny



POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ



POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ



POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ



POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ



POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ



POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ



POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ



POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ



POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ



POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ



POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ



POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego



WYDARZENIE WSPÓŁFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW EUROPEJSKIEGO FUNDUSZU ROZWOJU REGIONALNEGO W RAMACH
REGIONALNEGO PROGRAMU OPERACYJNEGO WOJEWÓDZTWA KUJAWSKO-POMORSKIEGO NA LATA 2014-2020



www.visitTorun.com

www.energacamerimage.pl

[f camerimage](https://www.facebook.com/camerimage)

[i camerimage.festival](https://www.instagram.com/camerimage.festival)

ORGANIZACJA
I PRODUKCJA

FUNDACJA
TUMULT

EUROPEJSKIE CENTRUM FILMOWE
CAMERIMAGE

eprasa.pl 5cb13ecf16